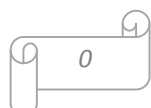




Emma Jensen



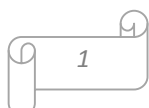
***Wspaniały
projekt***



*Dla mojego Z,
który był przy mnie przez cały czas,
gdy powstawała ta książka*

Przynętą była opowieść smoka...

- Sir William Davenant



Tamtej środy w Klubie White'a kilku podekscytowanych mężczyzn przepychało się między sobą. Każdy wychodził ze skóry, żeby jako pierwszy przekazać zaskakującą nowinę.

- Do miasta wrócił Tregaron!

Do sali weszli lokaj lorda Paxtona i kelner, który przyniósł wędzone śledzie na śniadanie. To na nich goście klubu skupili swoją uwagę. Arystokraci zresztą rzadko słuchali osób posiadających wiarygodne informacje.

Na ulicy Bond w pracowni krawieckiej „Schwarz i Noble” pan Noble mruknął do ucha swojemu partnerowi:

- Tregaron wrócił!

Pan Schwarz, zajęty zdejmowaniem miary z niczym niewyróżniającego się syna znanego księcia, niezwłocznie oddał metr innemu pracownikowi i ruszył z panem Noble'em po najlepszą czarną wełnę, jaką mieli w magazynie. Po drodze półgłosem rozważali, czy warto znów zacząć przyjmować zamówienia od Tregarona i tym samym zaryzykować utratę niektórych klientów.

Nie mało poważnych matron, wciąż młodych i pięknych, ale z co najmniej ośmioletnim stażem małżeńskim, chwyciło bladymi palcami filiżanki z poranną czekoladą i wspomniało tamten feralny rok.

- Tregaron wrócił - wzdychały same do siebie, siedząc przy długich, pustych stołach.

Ich partnerzy, w niektórych przypadkach mężowie, szeptali te same słowa do uszu swoich kochanek, inni do ukochanych psów.

Jakaś milę od Mayfair, w cuchnącym mroku dzielnicy Clerkenwell, niechlujna kobieta o czerwonej twarzy cisnęła pustą butelką po dżinie o przeciwległą ścianę pokoju.

- Ten przeklęty, plugawy szczur wrócił! - wymamrotała. - Niech go piekło pochłonie!

Jej mąż chrapał w najlepsze z twarzą w śmierdzącej brei, która stała przed nim na stole. Nawet nie drgnął, gdy wspomniany wyżej szkodnik przemknął mu po nadgarstku, porwał pół bochenka czarnego chleba i uciekł.

W tym samym czasie markiz Tregaron wyglądał przez wykuszowe okno na pierwszym piętrze swojego domu przy Hanover Square. Przed sobą miał zalany słońcem Londyn, za sobą - zrujnowane wnętrza mieszkania, którym nikt nie zajmował się przez ostatnich kilka lat. Ani jedno, ani drugie specjalnie go nie zainteresowało. Gdyby to od niego zależało, zostałby w Walii, gdzie wiatr tak samo smagał ziemię jak ludzi, piwo lało się strumieniami, a kobietom wystarczała odrobina szacunku i moneta lub dwie.

Miał jednak świadomość, że choćby nie wiem jak chciał, nie mógł zostać w swojej surowej, pięknej walijskiej posiadłości. Wzywały go obowiązki. Lekceważył je już zbyt długo, bo aż osiem lat. Nie zasiadał w parlamencie, nie zajmował się domem w Londynie, a co najważniejsze, nie szukał dobrze urodzonej, szanowanej, nudnej jak flaki z olejem panny, która urodziłaby mu dziedzica.

- Boże, miej litość - wycedził przez zaciśnięte zęby.

Odwrócił się od okna i szybkim spojrzeniem omiół salon. Po powrocie z Walii przekonał się, że przez osiem lat dom może całkowicie popaść w ruinę: szyby były powybijane, parkiet połamany, wszystko pokrywała gruba warstwa kurzu, gdzieś pojawiła się pleśń. Uświadomił sobie, że powinien być bardziej zatroszczyć się o rezydencję przed wyjazdem. Mógł zlecić sprawdzenie wszystkich rur i zbiorników, przykrycie mebli i wynająć kogoś, kto zaglądałby tu od czasu do czasu. Ale jemu na tym domu nie zależało ani teraz, ani wtedy.

Rezydencję do jej świetności doprowadzą pieniądze, a on miał ich w bród. Początkowo zamierzał po prostu kupić nową posesję, a tę - razem z wiążącymi się z nią przykrymi wspomnieniami - wystawić na sprzedaż. Pomyślał jednak, że w ten sposób okazałby słabość. Przecież posiadał całkiem przyzwoity dom, który wymagał zaledwie drobnego remontu.

Stwierdził, że na razie dosyć się napatrzył, i postanowił wracać do hotelu. W gruncie rzeczy jeśli jutrzejsze spotkanie z architektami zakończy się pomyślnie, następnym razem odwiedzi to miejsce dopiero po zakończeniu prac.

Zaprobował już wstępne projekty. Gdyby więcej czasu poświęcił tej sprawie, na pewno udałoby mu się zaangażować kogoś znanego - Wyatville'a albo jednego z Reptonów. Nawet zarozumiałego Nasha skusiłby odpowiednią sumą. Zła sława blakła przecież przy nieprzyzwoitym bogactwie.

Markiz nie miał jednak ochoty ustawiać się w długiej kolejce ani zniżać do pochlebstw nieuniknionych, jeśli wchodziło się w układy z

wziętymi fachowcami. Jemu zupełnie nieznana spółka „Buchanan i Buchanan" w zupełności wystarczy.

Zagwizdał.

- Gryffydd! - zawołał.

Żółty owczarek walijski, jego jedyny wierny towarzysz, wyskoczył z cienia, wzniesając wokół chmurę kurzu.

- Idziemy?

Zwierzę radośnie rzuciło się w kierunku schodów. Tregaron wcale nie miał mu tego za złe. Pokój, w którym się znajdowali, był w wyjątkowo opłakanym stanie i dobrze mogły się w nim czuć jedynie zarazki, robaki i duchy.

Zatrzymał się przed schodami, żeby spojrzeć na obraz na ścianie. Kiedyś wisiał nad kominkiem. Nie miał serca, aby go zniszczyć. Przedstawiona na płótnie kobieta, mimo że upłynęło tyle lat, wciąż zachwycała.

- Nie myśl, że będziesz nadal straszyć w tym domu - mruknął. - Dostyc tego.

Rzeczywiście nic go już nie łączyło z tą osobą, ale niestety zdawał sobie sprawę, że londyńczycy mają inne zdanie na ten temat. Na szczęście wiedział, że ze względu na jego majątek i tytuł mało kto ośmieli się wyrażać te opinie przy nim. Markizowi Tregaronowi IX oszczędza się wielu przykrości. Pozostałe jakoś zniesie.

Wyszedł za psem na dwór. Była majowa środa w Londynie - mieście, gdzie nie brakuje eleganckich lokali i ambitnych rozrywek. Markiz Tregaron IX skierował się do najbliższej mrocznej, wilgotnej

tawerny, gdzie zamierzał w jak najszybszym tempie elegancko i ambitnie się upić.

- Jest środa. - Zmęczona Catherine Buchanan zdjęła kapelusz i podała go siostrze. - Nie bardzo wierzę, że stryj Angus poszedł do kościoła.

Lucy wzruszyła ramionami.

- Ja tylko powtarzam ci jego słowa. - Krytycznym spojrzeniem zmierzyła słomkowy kapelusz Catherine i zmarszczyła brwi. - Naprawdę, Cate, czy ty nie możesz chociaż spróbować ubierać się modnie? Najadłabym się wstydu, gdyby mnie ktoś zobaczył, jak spaceruję po ulicy Oxford z tobą w tym kapeluszu.

Cate z trudem powstrzymała uśmiech i podała Lucy równie niemodny brązowy żakiet.

- Co za szczęście wobec tego, że w najbliższej przyszłości nie wybieramy się na Oxford, bo nie chciałabym patrzeć, jak cierpisz.

Lucy przewróciła oczami, których kolor podkreślała doskonale dobrana błękitna, muślinowa suknia.

- Czasem mam wątpliwości, czy jesteśmy spokrewnione.

- Ja też.

W gruncie rzeczy większość ludzi ze zdziwieniem przyjmowała wiadomość, że są siostrami. Lucy wyglądała jak porcelanowa lalka z różowymi policzkami, kasztanowymi lokami i delikatnymi kończynami. Cate tymczasem była równie wysoka jak większość mężczyzn. Jej niesforne rude kosmyki ciągle wymykały się spod spinek. Jasna, piegowata cera różowiała jedynie w chwilach największego wzburzenia, których nie doświadczała wiele. Jedyłą

cechą łączącą siostry były błękitne oczy Buchananów.

Dwudziestoletnia Lucy mnóstwo czasu spędzała, ucząc się trzepotania rzęsami, Cate natomiast wolała trzeźwo patrzeć na życie. W wieku dwudziestu sześciu lat nie miała ochoty trzepotać rzęsami z żadnego powodu, a w szczególności nie przed młodymi mężczyznami, dla których przeznaczone były takie sztuczki.

Cate spojrzała twardo na siostrę.

- A więc stryj Angus jest w kościele. A gdzie po-dziewa się stryj Ambrose?

- W jakimś muzeum - lekceważąco odparła Lucy. - Naprawdę chciałabym, żebyś poszła ze mną na zakupy, Cate. Nie mogę przecież wychodzić sama, a muszę mieć nową suknię na dzień.

- O ile dobrze pamiętam, ta, którą masz na sobie, była kupiona zaledwie miesiąc temu.

- Co z tego. Wstążka ma już niemodny kolor.

Cate przyjrzała się białej lamówce. Z rzędu kałamarzy stojących na stole wzięła jeden i podała go Lucy.

- Proszę, przefarbuj ją na niebiesko. Słyszałam, że błękit to najnowszy krzyk mody w Almacku.

- Cate, przestań!

- Naprawdę, Lucy. Księżniczka Lieven szepnęła mi to na ucho dziś rano w piekarni. Błękit, powiedziała, to kolor sezonu.

- Ty nie rozpoznałabyś księżniczki, nawet gdyby nadepnęła ci na stopę!

Cate udała zdziwienie.

- Jak to? Może zresztą to rzeczywiście nie była ona.

Lucy nie spodobała się ta odpowiedź.

- Pytam ostatni raz, pójdiesz ze mną na zakupy?

- Nie. Ja mam sporo pracy, a ty nie masz pieniędzy. Zresztą wcale nie chcę zmieniać sukni, a ty już się wypowiedziałaś na temat tej, którą mam na sobie.

- Och, Catey! Mogłam równie dobrze zostać w Edynburgu. Jestem tu tylko źle ubranym więźniem. Dlaczego nie odwiedzisz Deirdre Macvail i Sibyl Cameron? One na pewno bywają w towarzystwie i przedstawiłyby nas...

- Lucy. - Cate ostrożnie odstawiła kałamarz na stół. - Deirdre Macvail jest teraz księżną Conovar, a Sibyl Cameron jest hrabiną Hythe. W Tarbecie żadna z nich nie była moją przyjaciółką i obawiam się, że nie ucieszą się, gdy teraz zapukam do ich drzwi. Nie - uniosła dłoń, gdy siostra chciała zaprotestować. - Koniec dyskusji. Nie będę się narzucać dalekim znajomym tylko dla koneksji towarzyskich, które i tak ostatecznie nic nie znaczą.

- Nic nie znaczą? Jak możesz tak mówić? Deirdre jest księżną...

- A my należymy do zwykłej szlachty i pochodzimy z niewielkiej miejsciny w Szkocji - zdecydowanie odparła Cate. - Możesz sobie marzyć, ile zapragniesz, kochana Lucy, ale faktem jest, że nasza rodzina jest za bardzo związana z handlem jak na arystokratyczne gusta. Nikt nas nie zaprosi na żaden bal do Almacka.

Powiedziała to tonem nie znoszącym sprzeciwu i obrażona Lucy bez słowa opuściła pokój. Cóż, nic nowego.

I dobrze, pomyślała Cate, odkładając nieliczne zakupy. Wiedziała, że sprawiła siostrze przykrość, i źle się czuła z tego

powodu. Nie łudziła się jednak, że mogłyby zostać zaakceptowane przez arystokrację. Postanowiła, że nie będzie żadnego narzucania się dalekim znajomym ani ubierania w drogie stroje. Pieniądze należało raczej spożytkować na istotniejsze cele, na przykład jedzenie. Marzenia Lucy o podbiciu salonów tak szybko się nie spełnią.

Cate zerknęła na swoją praktyczną, żółtą muślinową suknię. Tuż nad kostką miała dużą atramentową plamę. Błękit indygowy, stwierdziła. Ona również będzie musiała poczekać na nowe ubranie. Jej wzrok powrócił do stołu. Oczywiście jeśli stryjowie nie dostaną nowego zamówienia, będzie zmuszona przefarbować suknię atramentem.

Westchnęła, odsunęła na bok parę butelek i z ułożonych na stole papierów zabrała do połowy napełnioną herbatą filiżankę. Lord Tregaron czekał na ostateczne projekty. Ożywiona pomyślała, że były one całkiem dobre. Otwarty plan budynku i gipsowe wykończenie powinny świetnie komponować się z grecką konstrukcją. Nowe podłogi i sufity wniosą życie do wymarłego domu. Tak, markiz na pewno będzie zadowolony ze szkiców.

O ile w ogóle je zobaczy. Cate ostrożnie odłożyła dokumenty, choć miała ochotę cisnąć nimi o ziemię. Mimo świetnych projektów Ambrose i Angus Buchananowie stracą i to zamówienie, jeśli zlekceważą potencjalnego pracodawcę.

Stryjowie powinni teraz być razem z nią w niewielkim wynajętym domu przy ulicy Binney i przygotowywać się do jutrzejszego spotkania z lordem Tregaronem. Tymczasem jeden przebywał w kościele, drugi w muzeum.

Cate nie miała wątpliwości, że w rzeczywistości obaj mężczyźni zaszyli się w jakiejś gospodzie. Najlepsze pomysły przychodziły do głowy starszym Buchananom dopiero po paru piwach. Na pewno w końcu wstąpią do muzeum i kościoła, żeby kątem oka zerknąć na jakiś posąg albo fresk. Przy odrobinie szczęścia może nawet trafią potem do domu.

Cate kochała stryjów bez zastrzeżeń tak samo jak siostrę. Wszyscy mieli dobre serca. Bez wahania dziewięć lat temu przyjęli na wychowanie córki zmarłego brata i zawsze okazywali im miłość. Ale podobnie jak Lucy nie potrafili twardo stąpać po ziemi. Angus Buchanan był najszcześniejszy, gdy mógł babrać się w glinie i gipsie, Ambrose wolał farby olejne.

Architektami natomiast byli marnymi. Nie żeby nie mieli talentu. Wprost przeciwnie, obaj posiadali wyjątkowe zdolności artystyczne. Nienawidzili jednak arytmetyki i fizyki, bez których uwzględnienia nie dało się przecież zaprojektować budynku. Najchętniej pozostaliby w Tarbecie, na brzegu jeziora Loch Lomond w swoim studiu, gdzie tworzyliby rzeźby i obrazy, które wszyscy podziwialiby, ale nikt by ich nie kupował.

Alpin Buchanan, najmłodszy z trzech braci, ojciec Cate, był z natury poetą. Nie grzeszył talentem, ale miał wiele entuzjazmu. Jego i jego arystokratyczną żonę cechowały inteligencja i hojność, która do ich domu przyciągała największych szkockich artystów. Jako dziecko Cate siedziała na kolanach Robbie'ego Burnsa, a jako nastolatkę namalował ją Henry Raeburn. Portret ten, pamiątka po ukochanych rodzicach, nadal wisiał w jej sypialni.

Tak, pomyślała z rozrzewnieniem Cate, życie w Tarbecie było kolorowe i bez trosk. Za to na pewno nie przynosiło żadnych zysków. Wiersze Alpina były drukowane tylko na koszt jego co zamożniejszych przyjaciół. Im również sprzedawał swoje utwory.

Angusowi udało się kiedyś sprzedać popiersie Persefony księciu Roxburghe. Jego wysokość niezwłocznie umieścił je w swojej myśliwskiej walizeczce, gdzie boginię oglądali mężczyźni bardziej zainteresowani bronią niż posążkiem, w dodatku w ogóle nie zaprzatający sobie głowy podziwianiem dzieł ekscentrycznego rzeźbiarza.

Ambrose najchętniej malował na blatach stołów. Jego ulubionym tematem była wojna trojańska. Trudno się więc dziwić, że damy, które ewentualnie mogłyby kupić malowany stolik, wolały pić herbatę w towarzystwie aniołków i róż. Oglądanie antycznej rzezi raczej nie sprzyjało trawieniu.

I tak bracia Buchananowie jako artyści nie dorobili się majątku. Aby zarobić na chleb i ubranie, założyli spółkę „Buchanan, Buchanan i Buchanan, Architekci”. Zaprojektowali kilka nieznaczących domów na Rynku Nowego Miasta w Edynburgu, z fantazją odnowili średniowieczną posiadłość barona z Lothian, który miał więcej pieniędzy niż gustu, i stworzyli niezliczone marmurowe figurki do ogrodów w przygranicznych posiadłościach.

Tuż po śmierci Alpina i Mary Buchanan przyszły wyjątkowo chude lata. Nadeszło zaledwie kilka zamówień na figurki do ogrodów, przysadzisty budynek banku w Aberdeen i jedną rezydencję w Edynburgu, która, ku niezadowoleniu Cate, po ukończeniu prac

wyglądała jak przeniesiona z sennego koszmaru egipskiego faraona. Potem, dokładnie trzy lata temu, otrzymali zlecenie przebudowy wiejskiej posiadłości zhańbionej żony lorda Maybole.

Pod względem architektonicznym budynek ten łączył w sobie styl włoski i współczesny oraz starożytną szkocką tradycję. Bracia Buchanan odnieśli olbrzymi sukces. Lady Maybole jako persona non grata nie była mile widziana w mieście, ale za to cieszyła się wielką popularnością wśród młodych arystokratów. Przyjmowała ich z otwartymi ramionami, choć niezbyt przyzwoicie, gdy jechali na południe na polowanie. Do Londynu szybko dotarła wieść o jej nowym niezwykłym domu. Architekci, teraz po prostu „Buchanan i Buchanan”, podążyli w tym samym kierunku.

Ich pierwszym klientem był lord Tregaron. Pewnie będzie również ostatnim, pomyślała Cate, wyglądając przez okno na wąską ulicę. Od przyjazdu do miasta stryjowie ani jednego popołudnia nie spędzili w domu. Odkąd przeczytali mętne wytyczne markiza - zawarte w zwiędłym liście przekazanym im przez oschłego prawnika - wracali do mieszkania tylko na kolację i od razu szli spać.

Nie był to najlepszy sposób prowadzenia interesów. Cate dobrze знаła stryjów. Jeśli pamiętają o spotkaniu z lordem, zajmą się nim z właściwą im ujmującą uprzejmością i bez trudu przekonają do swoich planów. Jeśli zapomnieli o nim, wszyscy będą musieli wrócić do Szkocji. Pieniądzy wystarczy im tylko na podróż do Edynburga i skromną egzystencję, dopóki nie otrzymają zamówienia na następną marmurową figurkę.

Cate wyprostowała ramiona, pochylone pod ciężarem wciąż tych samych zmartwień, pozbierała porozrzucane na meblach płaszcze i skierowała się na schody. Mogła siedzieć i załamywać ręce aż do przybycia Angus'a i Ambrose'a, ale czekały na nią inne, pożyteczniejsze zajęcia. Przede wszystkim należało znaleźć stryjom ubrania odpowiednie na spotkanie z markizem i w dodatku niepoplamione gipsem i farbą.

Cate niewiele wiedziała o markizie poza tym, że niedawno opuścił swoją walijską posiadłość i wrócił do Londynu, gdzie postanowił gruntownie przebudować rezydencję przy Hanover Square. Nie umknął również jej uwagi fakt, że Tregaron był bardzo bogaty. To w zupełności wystarczyło. Przy odrobinie szczęścia zaakceptuje projekty i pierwszy młot uderzy, zanim zdąży zmienić zdanie. Potem kto wie, może odniosą sukces i posypią się kolejne zamówienia.

Wszystko to było możliwe pod warunkiem, że nikt nie odkryje ich rodzinnego sekretu. Z natury optymistycznej Cate sprawa ta spędzała sen z powiek. Zawsze uważała, że największe tajemnice pierwsze wychodzą na światło dzienne. Co gorsza, oni już od dawna kusili los.

Londyn był ogromnym miastem, ale dzielnica Mayfair sprawiała wrażenie niewielkiej wioski w jego granicach. Cate podejrzewała, że wśród arystokracji niczego nie da się ukryć, a anonimowość w ogóle nie istnieje. Gdy więc następnego ranka przybyli na spotkanie z markizem, Cate z ulgą stwierdziła, że Hanover Square jest pusty.

- Twój dziadek miał tu dom, Catey - oznajmił Ambrose, gdy dorożka zatrzymała się.

- Pewnie tak. - Cate wzruszyła ramionami. Nie знаła ojca swojej matki. Przestał interesować się Mary, gdy córka wbrew jego zakazowi poślubiła Alpina Buchanana. Staruszek od dawna już nie żył, a jego tytuł arystokratyczny przeszedł na jakiegoś dalekiego krewnego. Cate miała zresztą teraz ważniejsze sprawy na głowie. Wysiadła z powozu i poprawiła stryjowi krawat. - Świetnie wyglądasz - pochwaliła.

Ambrose uśmiechnął się i poklepał ją czule po policzku. Ponieważ jednak zrobił to dłonią wielką jak bochenek chleba, głowa Cate odchyliła się do tyłu.

- Tak, pasuję do tego miejsca, jakbym się tu urodził.

Stryj popatrzył na ogromną, elegancką renesansową fasadę rezydencji markiza Tregarona. Cate pomyślała niespodziewanie, że wygląda jak dawny wojownik obserwujący zamek, który zamierza zdobyć. Trudno było sobie wyobrazić, że potężny Ambrose o pooranej zmarszczkami twarzy mógł malować delikatne stoliki.

Na architekta też zresztą nie wyglądał.

- Niech mnie licho, dużo się pozmieniało, odkąd ostatnio tu byliśmy. - Odwrócił się do brata. - Jesteś pewien, Angusie, że to ten dom?

Angus wygramolił się z dorożki i podniósł wzrok na marmurową fasadę.

- Tak, ten sam. Pamiętam nimfy.

Wskazał palcem na figurki zdobiące fronton. Cate szybko strzepnęła stryjowi odrobinę cementu z mankietu. Wkrótce trzeba będzie załatać rękaw. Angus, niski i drobny w takim samym stopniu, w jakim jego brat był potężny, bez przerwy wypychał kościstymi łokciami rękawy. Siostry nie mogły się nadziwić, że potrafił radzić sobie z gliną i kamieniem, z których powstawały jego rzeźby. Stryj bowiem sprawiał wrażenie eterycznego i ulotnego jak poranna mgiełka.

Cate rzuciła ostatnie krytyczne spojrzenie na mężczyznę. Wystroili się w świeżo oczyszczone płaszcze i udało im się, z jej pomocą, całkiem przyzwoicie zawiązać krawaty. W dodatku, o ile zdołała się przekonać, usunęli wszelkie ślady farby i gipsu spod paznokci. Może tylko rozczochrane włosy Ambrose'a przydałoby się podciąć, a gęste brwi Angusa przygładzić, ale poza tym wyglądali nieźle.

- Ambrose, masz tam te projekty, chłopie?

Ambrose machnął teczką przewiazaną jedwabną wstążką.

- Trzeci raz pytam, co to według ciebie jest, wariacie?

- Ale czy zajrzałeś do środka? - Angus uśmiechnął się przebiegle.

- Ja zajrzałam, zanim wyszliśmy z domu - oznajmiła Cate.

Stryjowie nie wybrali sobie dobrego momentu na słowne potyczki. Powstrzymała się, żeby nie wytknąć Angusowi, iż satysfakcja, którą odczułby gdyby jego podejrzenia się sprawdziły, zbladłaby w obliczu konsekwencji, jakie miałyby pozostawienie projektów w mieszkaniu.

- Wszystko jest przygotowane.

Popchnęła stryja lekko w stronę schodów.

- Dobra dziewczyna! - Uśmiechnął się Ambrose. Pociągnął w dół mankiety i przejechał dłonią po włosach, tworząc na głowie jeszcze większy nieład.

Cóż, zadumała się Cate, lord Tregaron mieszkał w Walii, pięknym, ale przecież dzikim kraju. Nie powinien zrazić się wyglądem stryjów. Spodziewała się, że ten światowy człowiek zapoznał się z dorobkiem spółki „Buchanan i Buchanan”, zanim ją wynajął.

Mógł go natomiast zdziwić wygląd Cate, a przynajmniej fakt, że towarzyszy stryjom. Obecność młodych dam na tego typu spotkaniach nie była mile widziana. Jednak dzisiejsze było tak ważne dla Buchananów, że Cate musiała mieć oko na stryjów i dopilnować, żeby nie popełnili jakiegoś błędu.

Lord Tregaron, pomyślała zadowolona, będzie zbyt pochłonięty podziwianiem projektów odbudowy rezydencji, żeby krzywić się na jej widok. Zamierzała trzymać język za zębami i nie rzucać się w oczy. Odezwie się tylko, jeśli będzie musiała. Stryjowie co prawda celowali w swoich profesjach, ale raczej nie potrafili skupiać się na

szczegółach. Cate nauczyła się więc delikatnie naprowadzać ich na właściwą ścieżkę.

Buchananowie będą się rozwodzić nad estetyką, markiz pokiwa siwą, łysiejącą głową, zgodzi się na proponowaną cenę i zniknie w Klubie White'a albo Boodle lub gdziekolwiek indziej, gdzie zechce dać odpocząć swojemu nękanemu reumatyzmem ciału. Jeśli im się poszczęści, Tregaron nie pokaże się w rezydencji, dopóki prace nie zostaną ukończone. Buchananów irytowała ciągła obecność zleceniodawców w miejscu pracy. Woleli być pozostawieni samym sobie, jedynie z rzadka odwiedzani przez lokajów.

Cate nie wątpiła, że zadanie, którego mieli się właśnie podjąć, wykonają z łatwością i porządnie. Nie była jeszcze wewnątrz domu, ale stryjowie, którzy obejrzeni go swoimi oczami artystów, opisali jej wszystko dokładnie. Wystarczy trochę męskiej siły, farby i gipsu, odrobina boskiej opatrności i Buchananowie wejdą na drogę sławy i bogactwa.

Z takim optymistycznym nastawieniem wygładziła schludną, błękitną spódnicę i podeszła do prowadzących do domu schodów. Żelazna poręcz obluzowała się, miejscami zatarł się też zdobiący ją wzór. Bliższe oględziny wykazały, że z drzwi gdzieś odpada wyblakła farba. W oknach na parterze brakowało szyb. Smętnie zwisały w nich zniszczone zasłonki. Pierwszy marmurowy schodek był wyszczerbiony. Po skrobacze do butów został jedynie metalowy sworzeń, jakby jakaś potężna dłoń wyrwała ją z podestu.

Stryjowie opisali ten dom jako „troszkę podniszczony” i „zaniedbany”. W oczach Cate jasna, kamienna fasada budynku była więcej niż zniszczona - była zrujnowana.

Odwróciła się, żeby na głos wyrazić swoje spostrzeżenia, ale Angus już stukał do drzwi zaśnieżoną mosiężną kołatką. Wewnątrz natychmiast rozległo się szczekanie psa. Było coraz głośniejsze w miarę, jak zwierzę zbliżało się do drzwi. Buchananowie odruchowo cofnęli się o krok. Cate wydawało się, że słyszy stukanie obcasów po posadzce, ale ujadanie psa skutecznie je zagłuszało. Niespodziewanie zapadła cisza i masywne drzwi otworzyły się.

W pierwszym odruchu Cate pomyślała, że z dwóch postaci, które ukazały się ich oczom, to prędzej mężczyzna niż pies byłby gotów rzucić się komuś do gardła.

Zwierzak o potężnym głosie sięgał swojemu panu zaledwie do łydki. Był śmiesznym, małym stworzonkiem o sierści w kolorze musztardy, spiczastych uszach nietoperza, wąskim pyszczku i tłustym ciele trochę za długim w stosunku do krótkich nóg. Według Cate wyglądał jak opasły lis bez ogona. Uśmiechał się teraz do niej szeroko i chętnie pogłaskałaby go, gdyby nie groźna mina jego właściciela.

- Czym mogę państwu służyć?

Mężczyzna miał głęboki, ostry głos, pasujący do jego mrocznej aparycji. Był wysoki jak stryj Ambrose i prawie równie szeroki w ramionach, za to w pasie znacznie szczuplejszy. Miał posturę greckiego boga, a twarz satyra. Nie był brzydki. Przeciwnie, spod czarnej grzywki spoglądały na nią bursztynowe oczy. Klasyczny nos i

szerokie usta godne były mistrzowskiej ręki rzeźbiarza. Cate dostała gęsiej skórki.

- Słucham? - powtórzył, przenosząc wzrok z jednego mężczyzny na drugiego.

- Ja... my... - zaczął Angus. - No... Ambrose odsunął go na bok.

- Przyszliśmy zobaczyć się z markizem, chłopcze. - Jego postura wykluczała uprzejmość, nie wspominając nawet o dobrych manierach.

- Biegnij do niego i zaanonsuj Buchananów.

Mężczyzna stał przez chwilę bez ruchu.

- Proszę - odezwał się w końcu i przesunął na bok, żeby mogli wejść do środka. - Następnym razem przyjdę tu dopiero, gdy zakończycie prace, więc wykorzystajmy ten czas jak najlepiej.

Cate, patrząc, jak gospodarz znika we wnętrzu domu, uświadomiła sobie, że to nie lokaj otworzył im drzwi, ale sam lord Tregaron. Był trzydzieści lat młodszy, niż się spodziewała, i dziesięć razy bardziej przerażający.

Stryjowie też się zorientowali i popędzili za swoim ewentualnym chlebodawcą. Angus, sprawujący obecnie pieczę nad projektami, upuścił niechcący teczkę. Ambrose walnął się ogromną pięścią w czoło, niewątpliwie karcąc się za nieodpowiednie zachowanie wobec markiza. Skąd mógł jednak wiedzieć, z kim ma do czynienia?

Cate podążyła za nimi ogarnięta złymi przeczuciami. Gdy weszli marmurowymi schodami na piętro, stwierdziła, że dom rzeczywiście jest w opłakanym stanie. Podłogi i ściany pod grubą warstwą kurzu były popękane. W powietrzu czuło się wilgoć i, o ile się nie myliła, odór robactwa.

Tregaron dumnie wyprostowany kroczył korytarzem. Dziwny mały piesek deptał mu po piętach. Z mebli i obrazów, które mijali, spadały kłęby kurzu i pajęczyny. Markiz zatrzymał się przy którychś z kolei drzwiach i popchnął je. W pierwszej chwili ani drgnęły, ale po chwili poddały się z cichym trzaskiem.

- To - oznajmił - jest moja biblioteka. Nie interesuje mnie, co zrobicie z resztą domu, ale ten pokój ma pozostać nietknięty.

Cate zerknęła do środka i stwierdziła, że w tym pomieszczeniu najlepiej czułby się wampir. Było tu mroczno i wilgotno. Spod niedbale rzuconego na fotel koca wyglądało porwane obicie. Książki wlały się po całej podłodze, roztaczając wokół nieprzyjemną woń stęchlizny.

- Jaki okropny bałagan - bez zastanowienia powiedziała Cate. - Trzeba tu będzie posprzątać. Przydałyby się nowe meble i dywan, a może nawet cała podłoga. Dobrze też byłoby wstawić nowe okna, może sześć na sześć szyb, żeby zastąpić te, które są. Szkoda, bo to pierwszorzędny gatunek...

Urwała nagle. Ołówki, którymi stryjowie zapisywali coś w swoich kieszonkowych notesikach, zamarły. Tregaron spojrzał na nią lodowatym wzrokiem.

- Kim pani jest? - spytał rozdrażniony. - Kim ona jest? - zwrócił się do Angusa, zanim zdążyła się odezwać.

Odpowiedział mu Ambrose.

- To nasza bratanica, milordzie, panna Catherine Buchanan. Jest...

- Wyjątkowo elokwentna. - Tregaron z kamiennym wyrazem twarzy przyjrzał jej się uważnie, po czym odwrócił się do okna. - Sam zadecyduje, jakie prace są tu konieczne, i was poinformuję. To wszystko?

Cate pomyślała, że co prawda dopiero zaczęli, ale marzyła już tylko o tym, żeby jak najszybciej zakończyć tę nieprzyjemną rozmowę. Zirytowała ją obraźliwa uwaga markiza.

Powiedział, że nie będzie kręcił się po rezydencji podczas remontu. Dzięki Bogu chociaż za to.

Cate nie miała wiele do czynienia z arystokracją. Nie utrzymywała bliskich kontaktów z własną rodziną, a ci mieszkańcy Tarbetu, w których żyłach płynęła błękitna krew, rzadko tam przebywali. Lady Leverham była bardzo miłą osobką, może trochę roztrzepaną. Mąż zwykle pozostawał w jej cieniu. Deirdre Macvail i Sibyl Cameron związały się z utytułowanymi arystokratami, ale Cate nigdy nie przyjaźniła się z żadną z nich, a po ich ślubach zupełnie straciła z nimi kontakt.

O ile się orientowała, jej wyniośli rówieśnicy nosili dumnie uniesione głowy i nie szczędzili swoim rozmówcom uszczypliwych docinków. Nie powinna się więc spodziewać, że lord Tregaron będzie inny. Z satysfakcją wyobraziła sobie za to, jak Tregaron wciska swój arystokratyczny zadek w zniszczone fotele, z których wystają sprężyny. Ani trochę nie będzie przejmowała się jego obraźliwymi uwagami.

- Ale co z projektami, milordzie? - nerwowo spytał Angus. - Z umową...?

- To, co widziałem, w zupełności mi wystarczy. - Lord odwrócił się bokiem do Buchananów. - A jeśli chodzi o umowę, czyli, jak rozumiem, o przepływ gotówki z mojej kieszeni do waszych, zajmie się tym mój prawnik. Sądzę, że sobie poradzicie, chciałem tylko zobaczyć ludzi, którzy będą przebudowywać mój dom.

- Och, ale my nie będziemy go przebudowywać - zaprotestował Ambrose.

Tregaron machnął lekceważąco ręką.

- Róbcie, co chcecie, nie będę się wtrącał. Teraz już idę. Rozumiem, że chcecie dokładniej obejrzeć wnętrza. Klucz jest w zamku we frontowych drzwiach. Proszę go zabrać, jak będziecie wychodzić. - Ukłonił się nieznacznie. - Panowie. Panno Buchanan.

Po tych słowach wyszedł, jego piesek za nim. Cate zorientowała się, że stoi z otwartą buzią, dopiero wtedy, gdy w ustach poczuła smak kurzu. Rozległ się trzask zamykanych drzwi i powietrze w pokoju zawirowało, jakby zwiastując burzę. Odwróciła się do stryjów i stwierdziła, że obaj wpatrują się w pusty korytarz z głupimi minami.

- Cóż. - Cate potrząsnęła głową z niedowierzaniem. - Przyjemniaczek, nie ma co. Co to będzie za radość pracować dla niego.

- Catey, słuchaj... - zaczął Angus.

- Nie ma sensu się obrażać - wtrącił Ambrose. - Potrzebujemy...

- Tak, tak. Potrzebujemy pieniędzy. - Cate uśmiechnęła się z przymusem. Schyliła się i z podłogi podniosła pomietą książkę. Był to zbiór poezji Herricka. Otworzyła je na stronie z „Ohydną obojętnością”. - Nie obawiajcie się. Nie zamierzam wycofywać się z

umowy. Dopóki wszechpotężny lord Tregaron nie będzie nam wchodził w drogę, jestem przekonana, że wszyscy skorzystamy na tym zleceniu.

Stryjowie nie wyglądali na szczególnie przekonanych. Cate spuściła wzrok i z przerażeniem stwierdziła, że powoli odrywa pomięty róg kartki. Natychmiast rzuciła tomik na biurko. Upadając, wzniecił porządną chmurę pyłu.

- Chyba powinniśmy zwiedzić pozostałe pomieszczenia Hadesu, prawda? - spytała, opędzając się od kurzu.

Cała trójka w minorowych nastrojach wyszła z pokoju.

Tregaron szybkim krokiem oddalał się w stronę Piccadilly i hotelu Albany, gdzie się zatrzymał. Niespodziewanie przystanął. Gryffydd, zupełnie nie-zmęczony szybkim spacerem, niecierpliwie szturchnął nosem kostkę swojego pana. Odezwał się w nim instynkt psa pasterskiego, który w tym przypadku miał skierować markiza do domu, gdzie czekał na nich obiad.

Tregaron tymczasem zatrzymał się i, ku ogromnemu niezadowoleniu pieska, odwrócił, żeby spojrzeć na dom, z którego wyszli. Nie ruszył w drogę powrotną, tylko patrzył na ulicę George. Nie interesowały go eleganckie rezydencje, ich modnie ubrani mieszkańcy czy powozy. Myślami był wewnątrz swojego popadłego w ruinę domu, którego zarys majaczył w oddali.

Panna Catherine Buchanan. Sprawiała wrażenie wygadanej, spostrzegawczej jędzy. Pomyślał, że na szczęście zatrudniał jej stryjów, a nie ją samą. Co prawda nie miał najmniejszego zamiaru odwiedzać tej przeklętej nory przy Hanover Square dopóki nie

zostanie doprowadzona do porządku, ale na myśl o tym, że panna Catherine Buchanan będzie przechadzała się na swoich długich nogach po zaniedbanych korytarzach, poczuł się nieswojo. Nie wątpił, że potrafiłaby swoim ostrym wzrokiem poodrywać ze ścian tapety. Co więcej, nie zdziwiłby się, gdyby w ten sam sposób pozbyła się boazerii i gipsu. Cóż, zaoszczędziłoby mu to wydatków.

Miejsce kobiet pokroju Catherine Buchanan było w Szkocji, skąd pochodziła. Tam mogłaby na swoich długich nogach wędrować po wzgórzach i dolinach, sypać ludowymi przysłowiami jak z rękawa i pomagać biednym, co Szkotki miały zwyczaj czynić. Panna Buchanan nie pasowała do snobistycznego Londynu.

Również jeśli wziąć pod uwagę jej wzrost. Była wyższa niż wielu mężczyzn i niewiele niższa od niego, a on mierzył metr dziewięćdziesiąt. Stanowiła ciekawostkę w niemodnym muślinie, wysoka, szczupła, pozbawiona kobiecych krągłości, z kaskadą rudych włosów.

Te dzikie, gęste włosy przyciągnęły nie tylko nikłe światło wpadające przez zakurzone szyby, ale i jego uwagę. Zresztą zainteresowała go również jej twarz o zadartym nosku, delikatnie zaokrąglonej brodzie, szerokich ustach i wysokich kościach policzkowych, dumnych jak klify Dover.

Panna Catherine Buchanan nie była piękną. Mimo to nie dało się jej nie zauważyć i markiz nadal czuł na sobie pełne dezaprobaty spojrzenie jej niezwykle błękitnych oczu.

A więc nie przejęła się stanem jego domu. Tym gorzej dla niej, bo przecież zatrudnił jej stryjów tylko ze względu na opłakany wygląd

rezydencji. Z wdzięczności za jego hojność i sumę, którą niewątpliwie zapłaci Buchananom, powinna zwijać się jak w ukropie. Oczywiście Tregaron nie dbał o zdanie Catherine. Miał ważniejsze sprawy na głowie niż podstarzałe stare panny, szczególnie takie o niewyparzonym języku i długich nogach. Dostyc tego, nie będzie więcej zaprzętał sobie nią głowy.

- Idziemy, Gryffydd - polecił, odwracając się na pięcie.

Szczęśliwy piesek natychmiast podążył za nim, pochłonięty perspektywą zbliżającego się obiadu. Od czasu do czasu trącał pana nosem, upewniając się, że ten nie zbcoczy z właściwej drogi.

- Domem już się zająłem. Teraz trzeba znaleźć odpowiednią kobietę.

Sporo ostatnio zastanawiał się nad tą sprawą. Nie do końca chciał się ożenić, ale jego walijscy dzierżawcy domagali się, aby zabezpieczył im spokojną przyszłość. Tregaron był przekonany, że Edgar St. Clair-Wright, jego brat cioteczny i domniemany spadkobierca, nie nadawał się na zarządcę. Nie tylko nie lubił krewnego, ale przede wszystkim nie ufał mu. Osoba, która z upodobaniem ubiera się w kamizelki w kropki i z oddaniem pielgrzymka chodzi na wyścigi konne, nie powinna dostać w spadku tysięcy akrów ziemi.

Co prawda nie widział Edgara od bardzo dawna, a przecież ludzie się zmieniają. Z drugiej strony, w czasach gdy się jeszcze spotykali, kuzyn był wyniosły, zarozumiały i głupi. Tregaron nie spodziewał się, że Edgar odwiedzi go w Walii, i rzeczywiście na wygnaniu, które sam sobie narzucił, nikt nie mącił mu spokoju.

Podjejrzał, że kuzyn zdążył już narobić długów na konto tytułu, który spodziewał się otrzymać.

Cóż, wcześniej czy później przekona się, czy gepard zmienił swoje cętki. Tregaron wiedział, choć myślał o tym niechętnie, że będzie musiał pojawić się w towarzystwie. Rozpoczął się właśnie nowy sezon. Wkrótce miał zebrać się parlament. Okres swatów również zbliżał się nieubłagane. Wiedziony poczuciem obowiązku, szedł na rzeź, nazywaną przez społeczeństwo kulturalną rozrywką.

- Boże, dopomóż - mruknął pod nosem.

Gryffydd, sądząc, że każde słowo, które nie jest poleceniem, oznacza obiad, rozradowany ruszył dalej w podskokach.

Tregaron nie zamierzał iść hałaśliwą ulicą Bond, której unikał, jeśli tylko mógł. Jednak pogrążony w myślach nie zauważył, dokąd poniosły go nogi. Niespodziewanie znalazł się w samym środku handlowej części Mayfair.

Przyspieszył kroku. Niewiele sklepów było w stanie go zainteresować. Wiedział, że czeka go wizyta u panów Schwarza i Noble'a, musiał wybrać się do Hoby'ego i Plimptona, oraz Locks, znanych sklepów z męską odzieżą. Miał również odwiedzić jubilera, któremu zamierzał zlecić oczyszczenie i przeróbkę części rodzinnej biżuterii. Na to miał jednak jeszcze co najmniej kilka tygodni, a ubraniami mógł się zająć jutro. Nie przejmował się, że nie podąży za najnowszymi trendami mody. Stroje, w których chodził podczas ostatniej wizyty w mieście, nie zdążyły się zniszczyć, bo w Walii nie potrzebował eleganckich garniturów. Zresztą wiedział, że „Schwarz i Noble”

przygotują mu pełną garderobę w ciągu zaledwie kilku dni. Pieniądze i arystokratyczny tytuł mogły wiele zdziałać.

Tregaron zatrzymał się natomiast przy księgarni. W Walii brakowało mu jedynie słowa pisanego. Mimo że zamawiał sobie różne materiały, chciał więcej, tęsknił za zapachem świeżej farby drukarskiej, cierpkimi komentarzami Przeglądu Edynburga, radosnego przepychania się pod drukarnią w oczekiwaniu na najnowsze wydanie wiadomości.

Na widok wyraźnej dezaprobaty w oczach Catherine Buchanan oglądającej zaniedbaną bibliotekę poczuł bolesne ukłucie w sercu. Jednak żadna krytyka nie mogła równać się z wyrzutami, które sam sobie robił. Resztę domu mogło piekło pochłonąć, ale nigdy sobie nie wybaczy, że pozwolił, aby jego sanktuarium spotkał tak okrutny los.

Na swoje usprawiedliwienie miał jedynie to, że osiem lat temu był bliski utraty zmysłów.

Zatrzymał się przed wystawą, żeby przerwać bolesne wspomnienia. Za szybą widział rzędy nowych książek przygotowanych do oprawienia, kilka czekało już na nabywcę. Pomyślał, że na pewno znajduje się tam najnowsze dzieło Byrona, utwory Southeya, Wordswortha, Platona, Cervantesa, Tomasza z Akwinu i innych dawno nieżyjących twórców. Podszedł bliżej drzwi i zastanawiał się, czy nie wejść. Wtedy w szybie dostrzegł swoje odbicie.

Od kilku lat unikał luster. Odkąd przestał się w nich rozpoznawać, starał się patrzeć w nie tylko wówczas, gdy musiał. Skrzywił się, bo zobaczył nieznaną mu zacięty wyraz twarzy, puste

oczy, zaciśnięte zęby. Rozumiał, że cechy te nierozzerwalnie związały się z jego osobą, ale jeszcze się do nich nie przyzwyczał.

Obok jego odbicia nagle pojawiło się drugie, małego chłopca, kominiarczyka. Jak inni mu podobni miał dorosłe, poważne oczy w usmolonej twarzązce aniołka. Na ramieniu niósł torbę z narzędziami, większą niemal od niego samego. Wystawały z niej różne długie, wąskie przyrządy, wyglądające jak strzały w kołczanie. Chłopczyk uśmiechnął się, ukazując liczne luki w uzębieniu, i przytknął palce do podniszczonej czapki.

Tregaron sięgnął do kieszeni po szylinga. Dziecko uciekło natychmiast, gdy dostało pieniędzy. Mały, zaniedbany chochlik wśród eleganckich dam i dżentelmenów. Taki był Londyn.

- Idziemy, Gryffydd - polecił uszczęśliwionemu psu i szybkim krokiem oddalił się od księgarni.

Kilkadziesiąt metrów dalej znów musiał się zatrzymać. Ogromny mężczyzna wypadł ze sklepu krawca specjalizującego się w szyciu strojów myśliwskich.

Markiz przeprosił, ale spotkał się ze spojrzeniem, które ze zirytowanego szybko zmieniło się w zdegustowane.

- Tregaron - rzucił pogardliwie mężczyzna.

- Earith.

Arogancki, nietolerancyjny, wpływowy książę Earith, zawsze budzący grozę, teraz, w średnim wieku, przerażał jeszcze bardziej. Ognistoczerwone włosy gdzieś przyprószone były siwizną, a poczerwieniałe policzki wyglądały, jakby zaraz miała z nich trysnąć krew.

- Słyszałem plotki, że wróciłeś - warknął. - Nie mogłem w nie uwierzyć.

Tregaron westchnął cicho.

- Mam tu dom i zasiadam w Izbie Lordów - odparł chłodno.

W oczach księcia wyraźnie dostrzegł wściekłość. Ciekaw był, jakimi epitetami zostanie zaraz obrzucony. Gdy książę w końcu odezwał się, Tregaron wcale się nie zdziwił.

- Trzymaj się z daleka od mojej córki, Tregaron! Przysięgam, że cię zabiję, jeśli choćby spojrzysz na nią.

Tym razem markiz westchnął głośno.

- Myślałem, że lady Olivia wyszła za mąż - wycedził. - Czy byłby książę na tyle uprzejmy, żeby przekazać moje spóźnione gratu...

- Nie Zilvia, ty łajdaku! Chloe.

- Chloe? - W pierwszej chwili Tregaron nie zrozumiał. Po chwili jednak przypomniał sobie młodszą siostrę ślicznej lady Zilvii. Pamięć podsunęła mu obraz oślepiająco białych nieustannie trzepoczących falbanek. Nieustannie podskakująca dziewczynka miała głos bardziej przenikliwy od miauczenia kota.

- Przysięgam, Tregaron, jedno słowo...

Markiz o mało nie wybuchnął śmiechem. Uniósł dłoń.

- Nie sądzę, żeby książę przywiązał jakąkolwiek wagę do moich słów, ale daję mu słowo honoru, że nie mam i nie będę miał żadnych zamiarów wobec jego córki. - Zanim Earith zdążył otworzyć usta, żeby powiedzieć, że słowa „Tregaron” i „honor” nic nie znaczą, jeśli znajdują się w tym samym zdaniu, markiz dotknął kapelusza. - Do

widzenia, księżę - pożegnał się, ominął potężnego mężczyznę i ruszył dalej.

Dopiero przy końcu ulicy zorientował się, jak wielkie wzbudza zainteresowanie. Nie wiedział, czy zawdzięcza je spotkaniu z księciem, czy też czemu innemu. Ścigały go ciekawskie, chłodne i pełne potępienia spojrzenia.

Tak, markiz Tregaron wrócił do miasta i wyglądało na to, że zamierza kłuć ludzi w oczy swoją przeszłością jak niewywabialną atramentową plamą na białej koszuli. Kiedyś liczył na zrozumienie ze strony swoich rówieśników, dawnych znajomych, na tolerancję choćby, jeśli nie na przebaczenie. Skręciwszy na Piccadilly, doszedł jednak do wniosku, że w gruncie rzeczy powinien był mieć więcej rozumu.

Cate ostrożnie trąciła palcem tłusty zadek nimfy namalowanej na suficie salonu. Kawałki tynku opadły dziewczynie na głowę. Bóg jeden wie, skąd w tym miejscu wzięło się tyle wilgoci, ale trzeba się będzie z nią uporać.

- Tej też musimy się pozbyć - zawołała ze szczytu drabiny. -
Zgniła.

Na dole Calum MacGoun mruknął coś pod nosem. Cate stłumiła uśmiech. Pochodzący z Glasgow MacGoun, którego wynajęli na nadzorcę robotników, lubił marudzić. Buchananowie pozwalali mu na to, bo w głębi serca był dobrym człowiekiem, a przede wszystkim jak nikt znał się na swojej pracy. Angusa i Ambrose'a zapędziłby w kozi róg, gdyby ci nie uważali pracy nad budynkami za dyshonor dla tak wielkich artystów jak oni.

- Powinno się go zastrzelić - mruknął MacGoun.

- Zgadzam się w zupełności. - W ciągu dwóch tygodni, które minęły od ich spotkania, Cate miała wystarczająco dużo czasu, żeby przemyśleć godną pogardy arogancję intrygującego markiza.

Krytyczne uwagi nieustannie płynące z ust nadzorca dawały jej doskonały pretekst do wypowiedzenia własnych. -Tak samo powinno się ukarać tego, kto namalował te obrzydlistwa.

Kilka źle namalowanych i niezaprzeczalnie brzydkich nimf i satyrów umieszczono w bardzo atrakcyjnych miejscach, które można było wykorzystać na coś ciekawszego. W tym akurat punkcie sufit

miał kształt łagodnie wygiętej kopuły i oryginalny wzór przedstawiający rozgwiazdy zaprojektowany przez niezrównanego sir Johna Soana do jego własnej jadalni świetnie powinien tu pasować. Podzielony na parę części sufit będzie się doskonale prezentował w złocie i purpurze przeznaczonych dla całego pokoju, ale przede wszystkim dzięki niemu dom nabierze nowoczesnego, dziewiętnastowiecznego wyglądu.

Zadowolona Cate parsknęła śmiechem, przyglądając się kolejnej niezgrabnej nimfie.

- Natychmiast zejdz stamtąd, dziewczyno - polecił MacGoun, zupełnie nie przejmując się tym, że zwraca się do swojego pracodawcy. - Nie będę dwa razy powtarzał. Zaraz sobie potłuczysz głowę i przybiegniesz do mnie z płaczem, ale nawet nie licz na pociechę.

I nadzorca, i robotnicy dobrze przyjęli obecność Cate. Nie buntowali się też przed spełnianiem jej poleceń. Ambrose i Angus kręcili się po domu wystarczająco często w ubraniach poplamionych farbą i tynkiem z dokumentami pod pachą. Jednak tylko Cate wiedziała, co musi być zrobione i jak trzeba się za to zabrać.

Stwierdziła, że przyjazne nastawienie mężczyzn wynika z faktu, że większość jest Szkotami pokroju MacGouna i nie ma lekceważącego stosunku do kobiet jak Anglicy. W dodatku wiedziała, czego chce, i twardo stąpała po ziemi. Robotnicy to szanowali. Witali grzecznie stryjów, wpatrywali się z podziwem w Lucy, gdy odwiedzała siostrę, ale słuchali tylko Cate. I z nią rozmawiali.

- Mamy mały problem z tym planem, panno Cate -odezwał się któryś. - Jamie zajmuje się podłogą i nic z niego nie rozumie.

Cate kiwnęła głową i zaczęła schodzić z drabiny. Obaj mężczyźni uprzejmie odwrócili się tyłem. Bardzo to było miłe, ale zupełnie niepotrzebne, bo Cate nauczyła się wchodzić i schodzić z drabiny, skromnie przyciskając spódnice do nóg. Na wsi często nosiła stare spodnie ojca, ale w mieście wolała nie ryzykować.

Wystarczy, że podczas odnawiania rezydencji hrabiny Maybole zakładała bryczesy. Posesja znajdowała się na wsi i Cate uznała, że w męskim ubraniu, spiętych włosach i z usmoloną twarzą nie będzie przyciągała niczyjej uwagi. Pomyliła się i drogo zapłaciła za swoją naiwność.

Potrząsnęła głową, żeby opędzić się od przykrych wspomnień. Zacisnęła zęby i zeszła na dół, gdzie od razu wygładziła spódnice, żeby przypadkiem nie przylegała do ciała w nieprzyzwoitych miejscach. Nigdy nie wiadomo, kto może się niespodziewanie pojawić w drzwiach.

Z jakiegoś powodu dla mieszkańców Londynu nie istniało coś takiego jak prywatność. Cate obył się o uszy historie o londyńczykach, którzy myszkowali po domach nieznanym im ludzi, żeby na przykład obejrzeć zniszczenia po pożarze, mieszkania znanych ludzi czy nawet ofiar morderstwa. Nic takiego oczywiście nie działo się w Mayfair. Zdążyła się jednak przekonać, że mieszkańcy tej dzielnicy są tak samo wścibscy, może tylko bardziej próbują to ukryć. Kilkakrotnie w ciągu ostatniego tygodnia modne panie i elegancy panowie - mieszkańcy okolicznych rezydencji - pukali do drzwi, a

nawet wchodzili do środka bez pukania, i życzyli sobie obejrzeć dom. Mający głowę do interesów Buchananowie umieli szukać klientów. Zabawiali wścibskich gości, a Cate w tym czasie niechętnie wycofywała się w cień. Oczywiście ubrana w spódnicę, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Teraz podążyła z Gordie'm, zastępcą MacGouna, na korytarz. Tam, wśród rozrzuconych płytek podłogowych, kucnął Jamie. Niziutki góral, wpatrzony w ułożony przed nim wzór, w zamyśleniu pocierał czubek łysej głowy. Na dźwięk kroków uniósł głowę i skoczył na równe nogi.

- Przepraszam, panienko, ale nie wiem... - urwał, wzruszył ramionami i wymownie wskazał na rozrysowany na papierze projekt, który trzymał w ręce. - Wapień ma być tutaj, a tam marmur? A może tam?

Cate spojrzała mu przez ramię i westchnęła zrezygnowana. Jamie trzymał papier do góry nogami, a w dodatku ktoś poplamiał go herbatą i farbą. Och, stryju Ambrose! skarciła krewnego w duchu i wzięła projekt ze spracowanej ręki Jamie'ego. Przetrzęsnęła kieszenie w poszukiwaniu ołówka, który zawsze nosiła ze sobą, i podeszła do ściany. Najpierw przyczepiła do niej rysunek, potem poprawiła go, żeby był czytelniejszy. - Proszę - powiedziała. - Te duże kwadraty to biały wapień. Mniejsze kwadraty w środku to czarny marmur. A na krańcach dookoła podłogi są - najciekawszy według niej motyw - kolorowe płytki. Poplamiony rysunek nie był wyraźny, ale kolory dało się rozróżnić: rdzawy, złoty i zielony. Wykorzystanie kolorowych płytek ceramicznych do wyłożenia podłogi było wyjątkowo śmiałym i

nowatorskim pomysłem. Niewiele londyńskich domów miało takie podłogi. Cate nie wątpiła, że wkrótce ich liczba znacznie wzrośnie.

- Potłuką się, mówię ci - zawyrokował MacGoun, który właśnie stanął w drzwiach.

Cate wiedziała, że nie mówił tego złośliwie, tylko po prostu stwierdzał fakt. Ta świadomość często powstrzymywała ją od rzucania w niego ołówkami, notesami czy nawet młotkami, jeśli były akurat pod ręką.

- Nie potłuką - zaprotestowała, choć wcale nie była pewna trwałości materiału. - To ręczna robota. Pozostaną nienaruszone na tej podłodze nawet za sto lat, gdy markiz Tregaron będzie wachał kwiatki od spodu.

Wzdrygnęła się, gdy Gordie niespodziewanie uderzył otwartą dłonią w ścianę.

- Właśnie! - zawołał i jeszcze raz walnął w mur. -
Przypomniałem sobie!

- Co takiego? - spytał MacGoun.

- No, co zrobił ten markiz. Dlaczego rozwścieczył cały Londyn.

Cate nie miała pojęcia, że Tregaron kiedyś naraził się społeczeństwu, ale sądząc po ich krótkim spotkaniu, wcale się nie zdziwiła. Zaciekawiała się natomiast. Gordie, urodzony w górach, ale od dawna mieszkający w stolicy, pracował w Mayfair od dobrych dziesięciu lat i potrafił zajmująco gawędzić.

- Co zrobił? Opowiadaj - poprosiła.

Ku jej zdziwieniu mężczyzna zaczerwienił się po czubki uszu.

- Bardzo mi przykro, panienko - wymamrotał -ale nie mogę.

- Nie możesz?

- No bo to jest tak. Postanowiłem sobie, że nigdy nie będę się źle wyrażał o tym, kto mi płaci pensję, dopóki mi ją płaci. To przynosi pecha. Jak powiedziałem kolegom, że lord Pickering zatrudnił mnie, żebym zbudował mu pokój do gier z lustrami i schowkami do oszukiwania, upuściłem sobie cegły na stopę. A wcześniej, kiedy wspomniałem o skłonności George'a Reynoldsa do mocnych trunków, spadłem z drabiny prosto do ogrodu różanego sąsiada. A jeszcze wcześniej...

- Wystarczy, Gordie - spokojnie przerwała Cate, choć zaczynała już tracić cierpliwość. - Rozumiemy.

Jej ciekawość została jednak rozbudzona. Jaka szkoda, że nie miała kogo zapytać o przeszłość markiza.

- Jedną rzecz muszę mu jednak przyznać. - Kark Gordie'ego był wciąż różowy, ale mężczyzna przynajmniej przestał przestępować z nogi na nogę. - Markiz musi być inteligentnym człowiekiem, skoro zatrudnił Buchanánów, panno Cate, zamiast na przykład Nasha czy kogoś takiego.

Cate uśmiechnęła się z przymusem.

- Nie sędzę, żeby jego lordowska mość w ogóle zwrócił się do kogoś oprócz nas - odparła. - Spółka „Buchanan i Buchanan” miała wolne terminy, była chętna do pracy i tania. Ale my mu pokazemy, jaki dobry zrobił interes, prawda, panowie?

MacGoun chrząknął. Jamie uśmiechnął się szeroko. A Gordie oznajmił:

- Tak, oczywiście, panno Cate. Cate musiała już wracać na drabinę.

- Jeszcze jedno. Dopilnujcie, aby mnie uprzedzono, na wypadek gdyby nasz inteligentny markiz postanowił tu niespodziewanie wpaść. Jego obecność każdego mogłaby przyprawić o zawał serca.

Choć nie była katoliczką, miała ochotę przeżegnać się razem z Jamie'm. Uważała, że nawet odrobina boskiej opatrności działałaby dla Buchananów cuda.

Tregon poprawił się na wyjątkowo niewygodnym, mikroskopijnym foteliku w salonie u babki i sklął w duchu Sheratona, Chippendale'a i innych im podobnych architektów. Zawsze bał się, że coś zepsuje w czasie swoich odwiedzin w tym domu. Jego obawy dotyczyły również właścicielki rezydencji.

Nieważne, że babka była twarda jak stal i ostra jak nóż. W modnych wśród jej rówieśniczek butach na koturnach liczyła zaledwie metr pięćdziesiąt wzrostu i nie mogła ważyć więcej niż czterdzieści kilogramów nawet obwieszona ciężką biżuterią.

Teraz zerknęła na podłogę przez ozdobne okulary zawieszzone na wysadzonym brylantami łańcuszku.

- Czy nie prosiłam cię, żebyś nie przyprowadzał tej śliniacej się bestii do mojego domu, Colwinie?

- Prosiłaś - odparł grzecznie.

- Ty jednakże zignorowałeś tę prośbę.

- Owszem. - Popatrzył na Gryffydda, który wcale się nie ślinił, tylko uśmiechał szeroko do markizy ze swojego miejsca przy jej krześle. Tam najwygodniej było kobiecie podrzucać psu ciasteczka,

gdy myślała, że wnuk nie widzi. - Czy mam poprosić Willsa, żeby go zabrał?

Lady Tregaron natychmiast machnęła ręką, która sprawiała wrażenie zbyt kruchej i delikatnej dla kolekcji zdobiących palce pierścieni.

- Nie, nie. Skoro to stworzenie już tu jest, niech zostanie. Mój lokaj ma ważniejsze zajęcia niż uganianie się za psem po całym domu.

- Jak sobie życzysz. - Tregaron zerknął na zegar. Kątem oka dostrzegł, jak pierwszy kawałek herbatnika znika między szczękami Gryffydda. Gdy się odwrócił, pies miał okruszki na nosie, a babka poprawiała dłonią nienaganną fryzurę. - Dobrze wyglądasz, babciu.

- Już to mówiłeś - odgryzła się markiza - zaraz po przyjeździe. A ja wcale nie wyglądałam dobrze. Wyglądam staro.

- Ja tego nie widzę.

- Więc potrzebne ci okulary. Wszyscy mężczyźni w rodzinie Clair-Wrightów powinni nosić okulary, ale nie chcą się do tego przyznać.

- Dziadek kiedyś zestrzelił ci piórko z kapelusza z odległości stu metrów - przypomniał jej Tregaron, jak zawsze po części przerażony tą historią, po części zaintrygowany namiętnym, ryzykownym, jak słyszał, związkiem łączącym dziadków. - Śmiem twierdzić, że takiego wyczynu mógł dokonać tylko ktoś o doskonałym wzroku.

- On mierzył mi między oczy - rzuciła babka, ale w jej spojrzeniu pojawił się wyraz melancholii zadający kłam ostrym słowom. - Zresztą sam fakt, że zdarzyło się to ponad czterdzieści lat temu, świadczy o tym, jak jestem stara i zniedołężniała.

Lady Sarah Tregaron, z domu lady Sarah Granville, siostra zmarłego hrabiego Heathfielda i ciotka obecnego, rzeczywiście była nieco posunięta w latach. Skończyła już siedemdziesiąt pięć. Mimo to była rześka i żwawa. W jej rysach nadal można było odnaleźć ślady urody, z której niegdyś słynęła. Mijające lata pozostawiły na twarzy babki delikatną pajęczynę zmarszczek i zmieniły niegdyś jasnoblonde włosy w białe. Fakt, że przeżyła nie tylko męża, ale i syna, przyćmił nieco iskrę rozświetlającą jej brązowe oczy. Ona jednak nigdy nie przestała żyć i angażować się w sprawy bliskich.

Była próżna. Wymagająca, złośliwa i bezwstydnie wyniosła. Na całym świecie tylko jej zależało na Tregaronie.

W czasie jego pobytu w Walii jako jedyna spośród krewnych i znajomych przyjeżdżała do niego w odwiedziny. Markiz jej o to nie prosił i nie chciał się z nią widzieć. Ona mimo to co trzy miesiące wsiadała w swój starodawny powóz i bez względu na pogodę pokonywała w nim kilometry znajdujących się w opłakanym stanie walijskich dróg. Robiła to, chociaż nienawidziła wsi do tego stopnia, że gdy dwadzieścia pięć lat temu zmarł jej mąż, przysięgła, że jej stopa nigdy już nie postanie na tej przeklętej ziemi.

Zmieniła jednak zdanie. Prawdopodobnie po raz pierwszy w życiu złamała słowo, gdy jej wnuk zamknął się przed światem w swoim walijskim domu. W końcu po trzeciej wizycie, gdy stało się jasne, że babka będzie go uszczęśliwiać swoją obecnością bez względu na to, czy mu się to podoba, czy nie, zaproponował, że odwiedzi ją w Sussex, niewielkiej posiadłości, którą zajmowała, kiedy wyjeżdżała z Londynu. Rezydencja graniczyła z domem, w którym się

wychowywała i który często odwiedzali pogodni Granville'owie. Dalecy kuzyni na pewno zachowywaliby się uprzejmie przy Tregaronie, ale krzywiliby się na jego widok i cieszyli, gdyby odchodził.

Lady Tregaron nie przystała na sugestię wnuka. Uparła się, że w zabłoconych buciorach i z brudnym psem przyniósłby zbyt wiele szkód w jej wymuskanej posesji. Przyjęła jednak od niego nowoczesny powóz i kontynuowała odwiedziny.

Po powrocie do Londynu Tregaron natychmiast przyszedł się z nią zobaczyć. Pojawiał się u babki co drugi dzień. Raczyła go zbyt mocną herbatą i ciętymi uwagami, ale zawsze był to mile spędzony czas. Nigdy nie rozmawiali o wydarzeniach sprzed ośmiu lat. Markiza jednak, nie zwracając uwagi na protesty wnuka, ciągle przypominała mu o obowiązku, jaki ma wobec swojego tytułu i posiadłości.

- Ty - mówiła właśnie - też się starzejesz. Niedługo skończysz czterdzieści lat, prawda?

- Trzydzieści siedem - poprawił, choć dobrze wiedział, że babka zna datę jego urodzin co do godziny.

- Trzydzieści siedem. Najwyższy czas postarać się o dziedzica. Nie krzyw się, Colwinie. Nie chcesz przecież zginąć w młodym wieku jak twój ojciec i pozostawić wszystkie obowiązki niedorostkowi. Tobie tak wczesne odziedziczenie tytułu nie zrobiło dobrze. Podobnie będzie z twoim synem.

Tregaron milczał. Wytykanie babce, że nie ma jeszcze syna i bez względu na dobre chęci nie zdobędzie go w najbliższym czasie, miało się z celem. O wiele bardziej niestosowne byłoby przypomnianie

markizie, że ukochany tato mógł uniknąć tragicznej śmierci. Żaden trzydziestopięciolatek nie powinien bezczelnie i w dodatku nieudolnie uganiać się za żoną podejrzanego, piekielnie zazdrosnego i groźnego pułkownika, szczególnie gdy kieruje nim nie miłość, a jedynie nuda i pożądanie.

Niestety mężczyzn w rodzinie St. Clair-Wrightów nie cechowała ani prawość, ani uczciwość. Od wieków cieszyli się złą sławą i Tregaron wcale się wśród nich nie wyróżniał. Był po prostu kolejnym jabłkiem ze zwyrodniałej jabłoni.

- Naprawdę, Colwinie, można by pomyśleć, że wcale ci na mnie nie zależy. Wygląda na to, że umrę, nie wzięwszy prawnuka na ręce i niepewna co do losów ukochanego tytułu i majątku.

Tregaronowi cisnęła się na usta kąśliwa uwaga. Starej jędzy daleko jeszcze było do grobu. Wcale też nie obchodził jej arystokratyczny tytuł ani majątek. Straciła nimi zainteresowanie po śmierci męża, gdy stała się ogólnie poważaną i podziwianą panią Sussex.

Gwoli sprawiedliwości musiał przyznać, że jemu okazywała troskę, choć czasem w dziwny sposób. Nigdy nie używała imienia nadanego mu na chrzcie, za co był jej niezmiernie wdzięczny. Nazywała go natomiast imieniem, które nosił do dwunastego roku życia, gdy po śmierci ojca przejął tytuł markiza. Choćby z tego powodu babka nie zasługiwała na sarkastyczną odpowiedź. Dał jej więc typową.

- Jeśli spróbujesz, babciu, pozostać jeszcze trochę na tym ziemskim padole, obiecuję, że postaram się znaleźć jakąś niewinną istotę, przy pomocy której przedłużę nasz ród.

Markiza parsknęła i upuściła herbatnik prosto w otwarty pysk Gryffydda, nie krępując się wzrokiem wnuka. Tregaron uśmiechnął się blado.

- Na razie odnowię dom i sprawię sobie stroje, których nie powstydziliby się sam Brummell.

- Zepsute, aroganckie indywiduum - mruknęła, nie wyjaśniając, czy chodzi jej o znanego dandysa, czy też o wnuka.

- Może i tak. A propos, mam umówione spotkanie u krawca. Najwyraźniej te kilka kamizelek, które już mam, to za mało. Czeka na mnie kolejna partia.

Obojętny wyraz twarzy babki zniknął na moment.

- Tak szybko wychodzisz? Miałam nadzieję, że zostaniesz na kolację. - Opamiętała się i wyprostowała dumnie. - Kucharz przygotowuje całe mnóstwo jakichś potraw - oznajmiła i machnęła lekceważąco dłonią, udając brak zainteresowania - a wiesz, jak mnie drażni nadmiar jedzenia.

- Babciu...

- Nie wyobrażam sobie, jak udaje ci się zjeść coś porządnego w tych okropnych, nędznych pokojach, które wynająłeś. Hańba. Nie przychodź do mnie, gdy zaczniesz przymierać głodem.

Apartament, który Tregaron wynajął w hotelu Albany, w zupełności zaspokajał jego potrzeby i oferował przyzwoite posiłki. Pozostałe rzeczy konieczne do życia brał z innych miejsc, także z

domu. Gdyby nie był całkowicie przekonany, że w ciągu dwóch tygodni oboje zwariowaliby, zdecydowałby się zamieszkać z babką. Jednak na razie nie miał powodu się skarżyć. Mógł się cieszyć wolnością, a markiza wiedziała, że wystarczy, by posłała po niego lokaja i zjawi się u niej w ciągu kwadransa.

- Babciu...

- Colwinie, wiesz, że wcale mnie nie obchodzi, gdzie jadasz...

Dostrzegł błaganie w oczach babki i nie potrafił sprawić jej przykrości.

- Dopiero dochodzi trzecia. Wrócę na kolację. Markiza krótko kiwnęła głową, z trudem tłumiąc zadowolone westchnięcie.

- Jak sobie chcesz. Najlepiej będzie, jeśli zostawisz u mnie tę bestię. Mam silne nerwy, a nie można tego powiedzieć o tłumach przechadzających się po ulicy Bond.

- Świetny pomysł. Tak właśnie zrobię. Ukłonił się i wyszedł. Wiedział, że jeszcze zanim dotrze do drzwi, babka przeniesie się ze swojego twardego, mikroskopijnego krzeselka na wygodną sofę. Talerz z herbatnikami postawi sobie w zasięgu ręki, a Gryffydd usadowi się jej na kolanach.

Tregaron szybkim krokiem udał się ulicę Hill. Pokusa była silna, ale oparł się jej i nie skierował się w stronę Hanover Square. Przez ostatnie dwa tygodnie trzymał się z daleka od rezydencji. Cały czas pochłaniało mu wyszukiwanie strojów i przeglądanie codziennie napływających zaproszeń. Kilka szanowanych dam ignorowało go, ale nie brakowało takich, które chętnie widziałyby go na organizowanych

przez siebie kolacjach, balach i niekończących się wieczorkach przy muzyce Glucka i Purcella.

Zadziwiające, pomyślał Tregaron, jakie zbrodnie można popełnić i wciąż być tolerowanym przez społeczeństwo.

Jutrzejszego wieczoru wybierał się na przyjęcie do Hythe'ów. Zamierzał wystroić się w modny garnitur, sączyć letni szampan i badać teren. Na pewno rzuci mu się w oczy co najmniej kilka atrakcyjnych, niewykształconych i świetnie urodzonych panien. One i ich rodziny ze względu na jego tytuł i majątek bez wahania przyjmą zaloty mimo krążących o nim plotek. On na szczęście potrzebował tylko jednej kobiety i nie wątpił, że znajdzie ją wśród wyższych sfer.

Dlaczego więc, pomyślał zirytowany, zbliżając się do ulicy Bond, ciągle myślę o Catherine Buchanan?

Cate tymczasem marzyła o ciepłej wodzie, i to w dużej ilości. Po całym długim dniu spędzonym w domu przy Hanover Square pragnęła tylko się wykapać. Niestety, jej życzenie nie miało się spełnić. Gdy tylko przestąpiła próg mieszkania, Lucy zażądała, aby poświęcić jej trochę uwagi i zabrać na spacer do parku. Najwyraźniej stryjowie, którzy tego dnia zjawili się w miejscu pracy zaledwie na chwilę, nie raczyli również wrócić do domu.

- Nie możesz mnie tu ciągle więzić, Cate! Potrzebuję świeżego powietrza, żeby sobie przypomnieć, że nie zostałam strącona do stęchłego lochu!

Och, ten wieczny dramat. Tak wyglądało życie z Lucy. Cate mogła przypomnieć siostrze, że zaledwie wczoraj większość dnia spędziły w mieście na zakupach. Wydawały pieniądze z pierwszej

zaliczki na niezliczone fatalaszki dla Lucy. Nie bardzo mogły sobie na nie pozwolić, ale Cate uważała, że należą się siostrze.

Mogła także wspomnieć, że przez ostatnie dwa tygodnie Lucy rzadko przebywała w domu. Co prawda stryjowie zawsze odprowadzali ją do mieszkania, zanim zniknęli w gospodzie, ale zdążyła zobaczyć Katedrę Św. Pawła, Muzeum Brytyjskie, Opactwo Westminsterkie, a ostatnio nawet Devonshire House w czasie wycieczki zorganizowanej nie wiadomo jakim cudem przez stryja Ambrose'a.

Cate natomiast, biorąc pod uwagę, że prawie cały czas była pochłonięta pracą, niewiele widziała poza ulicami łączącymi ich skromne mieszkanie z rezydencją Tregarona.

Wyrzuty sumienia, które ogarnęły ją ze względu na trudną sytuację Lucy - dziewczynie rzeczywiście towarzystwa dotrzymywały głównie książki - zniknęły, gdy tylko przyjrzała się strojowi siostry. Lucy założyła swoją najnowszą suknię z białego muślinu, wokół jej szyi lśnił delikatny złoty łańcuszek matki.

Podjeżenia Cate wzbudził nie tylko wyszukany ubiór siostry, ale i fakt, że Lucy nie znosiła przechadzek tam, gdzie można było napotkać brud, trawę lub nisko latające ptaki.

- Do Hyde Parku? - spytała ostrożnie. - Teraz?

- Jak tylko zmienisz sukienkę - odparła Lucy, rzucając smutne spojrzenie na poplamioną spódnice Cate. - Ja się tu duszę!

Cate kolejny raz przygryzła język, żeby nie zaproponować siostrze spędzenia dnia wśród opadającego tynku i unoszącego się w powietrzu kurzu. Zamiast tego zerknęła na stertę czasopism

rozłożonych na stole. Dziwne. Lucy nigdy nie zwracała najmniejszej uwagi na prasę. Wystarczył rzut oka na otwartą gazetę, żeby wszystko zrozumieć. Mimo rozpaczliwej próby Lucy, żeby wyrwać siostrze pismo, Cate szybko przebiegła wzrokiem artykuł i przekonała się, dlaczego dziewczyna tak bardzo chciała się wybrać na spacer.

- Wśród osobistości, które niedawno powróciły do miasta i które można spotkać na popołudniowym spacerze w Hyde Parku o siedemnastej - przeczytała na głos Cate - są lord Aubert, ich wysokości książę i księżna Conovar - rzuciła ostre spojrzenie siostrze, ale ta beztrąsko wyglądała przez okno - lord i lady St. Helier. Zgodnie z posiadanymi przez nas informacjami kariatyda lady Jersey... Och, Lucy!

- Co?

- Naprawdę nie chcę cię rozczarować. Nie lubię się też powtarzać, ale narzucanie się Deirdre nic tu nie pomoże. Spotkanie lady Jersey w Parku także nie wpłynie na twoją sytuację, choćbyś nie wiem jak pięknie wyglądała. Nie należymy do ich klasy i musisz się w końcu z tym pogodzić. Im szybciej, tym lepiej.

Lucy poczerwieniała. Cate zorientowała się, że siostra zaraz wybuchnie, i przygotowała się na odparcie ataku.

Nagle rozległo się stukanie kołatki.

Lucy zaczęła się uwijać jak trąba powietrzna. Po złości nie zostało ani śladu. Zebrała gazety i wcisnęła je pod kanapę, po czym rzuciła się sprzątnąć z pozostałych stolików. Zanim Cate się zorientowała, pokój był gotowy na przyjęcie gości.

Cate jednak czuła się zbyt zmęczona, żeby ekscytować się czymkolwiek przybyciem. Zresztą nie miała wątpliwości, że ten, kto zapukał do drzwi, chciał zobaczyć się ze stryjami, których i tak nie było w domu.

- Lucy - zaczęła zmęczonym tonem - to na pewno tylko...

W progu pojawiła się pokojówka w przekrzywionym czepku.

- Lady Leverham, panienko - oznajmiła.

Lucy rzuciła siostrze pełny satysfakcji uśmiech i rzuciła się do przedpokoju.

- Lady Leverham! - zawołała. - Jak to miło z pani strony, że nas pani odwiedziła. Myślałam o pani, odkąd przyjechałyśmy do Londynu...

Cate skrzywiła się i westchnęła.

- Becky, herbata! - poleciała Lucy. - Droga lady Leverham, musi mi pani opowiedzieć, jak miewają się nasi znajomi z ukochanego Tarbetu.

Chwilę później, wciąż zagadując gościa, Lucy zaciągnęła daleką znajomą do pokoju.

Na pierwszy rzut oka lady Leverham wcale się nie zmieniła. Jej pulchną twarz wciąż okalały kruczoczarne włosy, oczy zasnuwała ledwo dostrzegalna mgiełka, a uśmiech był tak samo słodki jak dawniej. Nawet jeśli zdziwiło ją nadmiernie wylewne powitanie Lucy, nie okazała tego.

Gdy tylko siostra skończyła wymieniać znajomych z Tarbetu, których chciałaby spotkać w Londynie, wtrąciła się Cate.

- Lady Leverham - przywitała się uprzejmie i wskazała gościowi krzesło. - Jak miło panią widzieć. - Z ulgą spostrzegła, że dama nie zabrała ze sobą swojego nieznośnego ulubieńca. - To dla nas zaszczyt gościć panią w naszych skromnych progach.

- Ale z ciebie przewrotna dziewczyna! - Lady Leverham usadowiła swe obfite kształty na krześle i pogroziła Cate pulchnym palcem. - Powinnyście powiadomić mnie o waszym przyjeździe do Londynu!

Lucy rzuciła Cate kolejne uszczęśliwione spojrzenie.

- Nie chciałyśmy się narzucać. Nie sędzę...

- Narzucać się? Bzdury! Jak można narzucać się przyjaciołom?

Cate знаła setki sposobów na narzucanie się przyjaciołom, a tysiące na narzucanie się zwykłym znajomym, ale najwyraźniej lady Leverham uparła się twierdzić, że są sobie bliskie. Dama słynęła z trzech rzeczy: ze swojego ulubieńca, zainteresowania średniowieczem i słabej pamięci. Najwyraźniej teraz ta ostatnia cecha wzięła górę. Cate, mając przed sobą upartą sąsiadkę i zachwyconą siostrę, nie zamierzała niczego więcej wyjaśniać.

- Sibyl bardzo chciała mi towarzyszyć - ciągnęła dama, wspominając swoją siostrzenicę, obecnie hrabinę, która nigdy nie przyjaźniła się z żadną z sióstr - ale oni są teraz bombardowani roślinami, kieliszkami i krzesłami, a hrabia zgubił pudło z tymi zbutwiałyymi książkami, bez których się nigdzie nie rusza... Zresztą, nieważne. Pudełko się znajdzie, a krzesła trafią na swoje miejsce. Sibby prosiła, żebym wam to przyniosła.

Spomiędzy fałd okrycia wydobyła torebkę, a z niej nieco pomiętą kartę. Lucy rzuciła się na nią jak głodny wilk.

- Och, Catey, to zaproszenie! Na jutrzejszy wieczorek w rezydencji lorda i lady Hythe! Teraz już musisz iść ze mną na zakupy. Moja nowa błękitna suknia wystarczy, ale trzeba ją będzie trochę upiększyć koronką i może szalem...

Lady Leverham uśmiechnęła się z pobłażaniem.

- Tak trzymaj, moje dziecko! Dam ci adres mojej krawcowej, choć tobie może się ona wydać trochę staroświecka.

Cate przypomniała sobie średniowieczne stroje, w których lubowała się lady Leverham, i pomyślała, że krawcowa na pewno okaże się staroświecka -i droga.

- Och, Boże, omal bym nie zapomniała - niespodziewanie oznajmiła starsza pani. - Sibby słyszała od Tarquina, który z kolei dowiedział się o tym od Conovara... albo od Taranta... Holcombe'a? - Potrząsnęła niecierpliwie głową. - Wszystko jedno. Czy mam rozumieć, że wasi szanowni stryjowie łaskawie oferowali swoje usługi markizowi Tregaronowi?

- Tak - odruchowo odparła Cate, zastanawiając się, ileż to szylingów pochłonie odświeżenie sukni Lucy na przyjęcie Sibyl Hythe. Sama miała nadzieję, że z pomocą wspomnianych wcześniej krzeseł i roślin i może zasłony lub dwóch uda jej się wtopić w tło.

- Słyszałam, że wrócił, ale nie dawałam wiary plotkom. Z taką reputacją powinien trzymać się z dala od ludzi trochę dłużej niż osiem lat! Co za tupet!

Cate, która czuła się bardziej jak bierna słuchaczka niż uczestniczka rozmowy, błyskawicznie podjęła temat.

- Naprawdę? Nie miałam pojęcia, że markiz przebywał... na wygnaniu.

- Nie wiedziałaś? - nie wierzyła lady Leverham. - Zresztą to możliwe, skoro na tyle lat zaszyłyście się w Szkocji. - Nachyliła się do przodu i zniżyła głos. - Nigdy mu tego nie udowodniono, ale nikt też tego nie kwestionował.

- Czego? - zapytała Lucy, nie próbując nawet ukryć dręczącej ją ciekawości.

Odpowiedź lady Leverham nie mogłaby bardziej zdziwić Cate.

- Wasi stryjowie, moje drogie - wyszeptała dama - oferowali swoje usługi człowiekowi, którego ręce są splamione krwią. Osiem lat temu Tregaron zamordował żonę.

Tregaron nigdy wcześniej nie był w rezydencji Hythe'ów. Hrabia ożenił się niedawno, wcześniej nie urządzał przyjęć. Był nudny jak flaki z olejem i właśnie dlatego markiz postanowił akurat u niego pojawić się publicznie pierwszy raz po powrocie z Walii. Każda z obecnych u Hythe'a panien świetnie będzie nadawała się żonę, jako dobrze wychowana, mało wymagająca, skromna kobieta.

Na pewno jego osoba przyciągnie niepożądaną uwagę, nawet jeśli parę osób zdecyduje się do niego odezwać. Będzie jednak otoczony dokładnie takimi młodymi damami, jakich szukał, do jakich bez wątpienia należała też nowa hrabina Hythe: przyzwoitych i poważnych.

Gdy wszedł do budynku, doznał szoku.

Na wszystkim, co się nie ruszało, stały albo świece, albo rośliny. Z sali balowej płynęła głośna muzyka. Wokół roiło się od czerwono noszonych biesiadników o zaróżowionych policzkach. W dodatku, chyba że Tregaronowi się przywidziało, mała czarna małpka przeskakiwała z krzesła na kandelabr, potem na żyrandol, trajkocząc jak najęta.

Poza tym pierwsi goście dopiero po jakichś dziesięciu minutach zaczęli zauważać jego obecność. A i wówczas szmer rozmów był znacznie słabszy, niż się spodziewał. Oczywiście mogła to sprawić głośna muzyka, ale równie dobrze po ośmiu latach wygnania ludzie mogli zapomnieć o skandalu związanym z jego imieniem. Było to

mało prawdopodobne, ale biorąc pod uwagę, że stateczny hrabia Hythe we własnej osobie właśnie minął Tregarona, jak zwykle poważny, ale w wieńcu z kwiatów na głowie, wszystko mogło się wydarzyć.

Markiz poczuł się pewniej. Niestety tylko dopóki pierwsza matrona na jego widok nie odwróciła się plecami, a po niej następna i następna. Cóż, tego się przecież spodziewał. Nawet nie zdziwił się, że lady Broadford najwyraźniej zapomniała, iż kiedyś wyciągnął jej zasmarkanego, zsiniałego syna z przerębli w stawie. Wówczas jej wdzięczność nie miała granic. Teraz odwróciła się na pięcie tak zgrabnie, że nie uroniła ani kropli szampana z kieliszka.

Były też osoby, które nie okazywały mu wzdargy. Nikt nie wyglądał może przyjaźnie, ale w oczach niektórych wyczytał ślad zainteresowania, w innych typowo kobiece domysły. Wszystko to wziął za dobrą monetę.

Umyślnie przyjechał nieco spóźniony. Kolejka gości czekających na przywitanie z gospodarzami zdążyła zniknąć, podążył więc za Hythe'em do zatłoczonego salonu. Tam zirytowany hrabia ściągnął z głowy wieniec i rzucił go lokajowi. Akurat gdy Tregaron zamierzał zbliżyć się do Hythe'a, aby z nim pogawędzić, w nadziei że wpojone mu dobre maniery powstrzymają go od obraźliwego zachowania, wybuchło zamieszanie.

Do pokoju wpadła małpa, wykorzystując meble, obrazy, kandelabry i przypadkowych gości, aby jak najszybciej dotrzeć do celu. Piski kobiet zagłuszyły orkiestrę. W powietrze poleciało kilka wachlarzy i mnóstwo kieliszków. Małpka, głośno skrzecząc,

wylądowała na ramieniu jakiegoś lokaja, zwinęła się w kłębek i skoczyła w górę. Hythe z wyrazem obrzydzenia i rezygnacji cofnął się o jeden perfekcyjnie wymierzony krok.

Zwierzę zaledwie musnęło mu kłapy marynarki i ześliznęło się w dół. Uderzyło o podłogę i pisnęło donośnie.

Obawy, że stworzenie doznało urazu, szybko się rozwiały. Z tłumu gości wybiegła młoda, ładna dziewczyna o lśniących, brązowych włosach i przemiłym uśmiechu i pospieszyła do małpki.

- Och, Galahadzie, znowu? - oburzyła się. Schyliła się nad skulonym zwierzątkiem. - Czy ty się nigdy nie poprawisz?

Wyciągnęła do małpy smukłą ramię. Stworzenie spokojnie chwyciło ją za nadgarstek, po czym wspięło się na bark, błyskawicznie wyciągnęło kobiecie z włosów lśniącą szpilkę i zaczęło ją żuć.

- Sibyl - Tregaron usłyszał niezadowolone mruknięcie Hythe'a.

Dama wzruszyła ramionami. Małpce nie spodobał się ten ruch, bo zaczęła się wiercić.

- Przepraszam - odezwała się dziewczyna. - Myślałam, że ciocia Alfie się nim zajmuje.

- Na ciocię Alfie - padła sucha odpowiedź - nie można liczyć w takich sprawach, prawda?

- Nie, raczej nie - odparła Sibyl wcale niespeszona zirytowanym tonem hrabiego. - Ale ona bardzo się stara. - Uśmiechnęła się szelmowsko do Hythe'a i odeszła z małpką na ramieniu.

Tregaron miał wrażenie, że zwierzę pokazało hrabiemu język.

Patrząc za znikającą w tłumie kobietą, pomyślał, że ma ona w sobie coś wyjątkowo atrakcyjnego. Jednak on szukał kogoś zupełnie innego. Jego żona nie mogła być zuchwałą ani impertynencka. Nie mogła mieć dzikiej, źle wychowanej małpki. Zresztą dobrze wychowanej też nie. Nie żeby nie lubił zwierząt. Przecież od ponad siedmiu lat miał Gryffydda. Trzeba było jednak wyraźnie powiedzieć, że stworzeń, które niszczą ubrania swoich właścicieli i wprowadzają zamęt na eleganckich przyjęciach, nie wolno trzymać w domu.

To spotkanie towarzyskie okazało się o wiele bardziej ożywione, niż oczekiwał, i w dodatku o wiele mniej poważne. Nagle ktoś poklepał go po ramieniu. Gdy odwrócił się, zobaczył uśmiechniętą twarz elegancko ubranego młodzieńca, który wydał mu się znajomy.

- To naprawdę Tregaron! - zawołał mężczyzna. - Słyszałem, że wróciłeś, ale musiałem cię zobaczyć na własne oczy. Niech mnie, to już chyba z dziesięć lat albo i więcej.

Młodzieniec rzeczywiście mu kogoś przypominał ze swoimi ciemnymi włosami i śmiejącymi się oczami. Gospodarza balu... Tregaron zamrugał.

- Julius?

Młodszy brat Hythe'a uśmiechnął się szeroko.

- Tak, tak, wiem. Dorosłem. Każdemu się to zdarza. Ale zaraz, ty nie masz żadnego kieliszka.

Markiz z rozbawieniem patrzył, jak Julius Rome chwytając kieliszek szampana z tacy niesionej przez przechodzącego obok lokaja. Wcisnął Tregaronowi szkło do ręki i sięgnął po następny

kieliszek, a potem jeszcze po dwa. W rezultacie obaj mieli zajęte obie ręce.

Tregaron nie był bliskim przyjacielem brata hrabiego, gdyż dzieliła ich zbyt duża różnica wieku. Za to ich matki bardzo się lubiły, więc w młodości często się spotykali. Tregaron zapamiętał Romea jako wesołego, inteligentnego chłopaka. Najwyraźniej wcale się nie zmienił.

- Stary dobry Tarquin - oznajmił Julius po wypiciu jednego kieliszka szampana. - Zawsze we wszystkim celował. Stan małżeński bardzo na niego wpłynął. Zawsze był dobrym człowiekiem, ale strasznie sztywnym. Poznałeś jego żonę? Chyba nie, skoro jesteś w mieście od niedawna.

Tregaron nie wiedział, co jeszcze wiedział Rome. Gdy wydarzył się skandal, Julius był na uniwersytecie, ale na pewno już słyszał o całej sprawie.

- Nie miałem przyjemności poznać lady Hythe -odparł ostrożnie, uważnie wpatrując się w twarz rozmówcy. - Bardzo chętnie jednak naprawię ten błąd.

- Wcale się dziwię - radośnie odrzekł Julius. - Domyślam się, że sam rozglądasz się za ewentualną żoną. Bóg jeden wie, po co inaczej zjawiłbyś się na przyjęciu u mego brata. Biedaczysko manieri miał nieskazitelne, ale bawić się nie umiał. Nie mogłeś wiedzieć, jak bardzo się zmienił. No, ale gdzie jest... Ach, tak, tutaj. Chodźmy. Przedstawię cię Sibyl, a ona zapozna cię z innymi młodymi damami.

- Sibyl?

- Moja bratowa. Cudowna dziewczyna.

Nie mogło być dwóch o takim imieniu na tym balu Tregaron odnalazł wzrokiem małpkę, nadal siedzącą na ramieniu kobiety... Lady Hythe, poprawił się w ducha A więc taką żonę wybrał sobie nudny jak flaki z olejem Hythe. On sam taką kobietę chciał wprowadzić do swego domu, aby dodała mu szacunku i powagi.

Stwierdził, że powinien jeszcze raz przemyśleć swój plan.

Rozejrzał się po zebranych pannach. Większość była ładna, nawet jeśli to tylko młodość dodawała im uroku. Wszystkie pochodziły z arystokratycznych rodzin i znały etykietę. Niektóre odziedziczyły fortunę, inne nie, ale jemu nie zależało na pieniądzach. Kilka na pewno będzie inteligentnych. Jedna lub dwie niewątpliwie mu się spodobają.

W tłumie gości dostrzegł Chloe Somersham i musiał stwierdzić, że rzeczywiście wyrosła na piękną dziewczynę. Jak na jego gust była jednak zbyt niska, a poza tym nadal wykazywała skłonność do podskakiwania w miejscu. Jej wady jednak bladły w porównaniu z niechęcią, którą czuł do nieobliczalnego, wyniosłego księcia Earith. Nie, lady Chloe nie poświęci żadnej uwagi, choć nie ze względu na nią samą.

Przesunął wzrokiem po czubkach głów: blondynki, brunetki, rude. Nagle jego oczy spoczęły na dumnie uniesionej, znajomej brodzie.

- Nie będziemy na razie przeszkadzać lady Hythe, Juliusie - powiedział. - Sprawia wrażenie... zajętej.

Rome wzruszył obojętnie ramionami i Tregaron wiedziony dziwnie silnym impulsem ruszył w kierunku Catherine Buchanan.

Nie spodziewał się ujrzeć jej na tego rodzaju przyjęciu. Nie sądził, że ktoś mógł ją na nie zaprosić. A jednak była tu, wciśnięta w róg między zasłoną i jakąś rośliną doniczkową. Nie sposób było jej nie zauważyć, bo przerastała o głowę większość zebranych kobiet i wielu mężczyzn. W świetle świec jej włosy lśniły rudym blaskiem. Miała na sobie białą suknię o nieco dziwnym kroju, który wprawdzie przypominał modne wzory, ale tylko gdy mu się dobrze przypatrzyć. Całość wyglądała jak kostium aktora odgrywającego jakąś rolę w tragedii Sofoklesa.

Catherine wyglądała w nim jak Diana albo Hera. Jej boskość nie wynikała jednak ze skromności, urody czy delikatności. Catherine Buchanan brakowało jedynie luku albo kopii do kompletnego wizerunku. Zbliżając się do niej, Tregaron zastanawiał się, czy nie przydałaby mu się zbroja.

Cate wyczuła, że markiz się zbliża, jeszcze zanim go dostrzegła. Może sprawił to fakt, że goście rozstępowali się przed nim z szelestem sukien i fraków, ale coś ją tknęło. Gdy podniosła wzrok, stał przed nią: czarnowłosy, w czarnym garniturze, ponuro skrzywiony. Nie, nie, poprawiła się. Tregaron wcale się nie krzywił. Takie tylko odniosła wrażenie z powodu... cóż, wybujałej wyobraźni i rewelacji lady Leverham.

Zresztą historia, którą usłyszały z Lucy, była dosyć niejasna. Nieszczęśliwe małżeństwo, stwierdziła lady Leverham. Żonę Tregarona opisała jako zbyt młodą, zbyt rozpieszczoną i zbyt piękną, a markiza jako wiecznego ponuraka, który nigdy się nie uśmiechał. Przeżyli kilka smutnych lat, było parę kłótni przy ludziach, a w końcu

nadeszło przyjęcie u Jermynów, po którym nad ranem piękną, młodą markizę znaleziono ze złamanym karkiem na kamiennym tarasie dziewięć metrów poniżej balkonu znajdującego się przy jej sypialni.

Tregarona długo nie można było odnaleźć, wyszeptała lady Leverham, ściskając w pulchnej dłoni flakonik z solami trzeźwiącymi, którego jednak nie użyła. Wrócił do Londynu i przebywał w swojej bibliotece, gdy posłańcy zastukali do jego drzwi.

Nikt nie spostrzegł, jak wychodził z przyjęcia niedaleko Windsoru, i nikt nie zauważył jego nieobecności. Nikt nie widział upadku lady Tregaron. Nie udało się obalić jego zdecydowanego stwierdzenia, że wyjechał do miasta i dotarł do siebie jeszcze przed kolacją, a do północy zdążył już opróżnić butelkę porto. Ponieważ o północy lady Tregaron jeszcze świetnie się bawiła, sprawa została umorzona.

Jednak kilkoro rozsądnych ludzi wiedziało lepiej, upierała się lady Leverham. Ludzie wiedzieli.

Cate patrzyła na markiza i zastanawiała się, czy człowiek taki jak on mógłby popełnić morderstwo. Zabić może każdy, pomyślała, o ile stawka jest atrakcyjna. Jednak morderstwo z zimną krwią... Czy niewierność żony, bo choć lady Leverham nie wypowiedziała tych słów na głos, wyraźnie dała im to do zrozumienia, mogła popchnąć go do tego czynu? Przecież i wśród arystokratów rozwiązyły tryb życia nie należał do rzadkości, ale nikomu to nie przeszkadzało pod warunkiem, że kochankowie byli dyskretni. Najwyraźniej markiz uważał inaczej. Natomiast większość gości obecnych na przyjęciu miała mu za złe, że

osiem lat temu zareagował w tak ohydny sposób. Ludzie rozstępowali się przed nim, potem wbijali mu w plecy zimny wzrok.

Cate nie wierzyła, że Tregaron jest mordercą. Takie rzeczy się wie...

- Panno Buchanan...

Przełknęła ślinę i odruchowo uniosła nieco brodę do góry.

- Dobry wieczór, lordzie.

Była wściekła, że ją dostrzegł. Wydawało jej się, że świetnie się ukryła w rogu sali. Założyła nawet białą suknię, bo wiedziała, że wiele kobiet będzie ubranych na białe. W zasadzie nie miał prawa jej zobaczyć. Gdy tylko zgodnie z obowiązującą etykietą została przedstawiona lordowi Hythe i kilku niezainteresowanym jej osobą gościom, umiejętnie ukryła się wśród zieleni. Wmawiała sobie, że jest wyjątkowo szczęśliwa, iż do tej pory nikt nie zakłócił jej spokoju.

Teraz jednak lord Tregaron nacierał w jej kierunku jak jeden z czterech jeźdźców Apokalipsy. Do głowy by jej nie przyszło, że może go tu spotkać. Miała pecha, że ją wypatrzył, i chciała, żeby jak najszybciej przeniósł się gdzie indziej. W dodatku rozboleła ją brzuch, niewątpliwie z powodu bliskości mężczyzny, który mógł, choć nie musiał, mieć skłonność do przemocy. Trzeba było być ślepym, żeby nie spostrzec, jak jedna po drugiej głowy gości odwracają się w ich kierunku.

Stwierdziła, że odprawienie markiza to nie najlepszy pomysł, podobnie zresztą jak próba dowiedzenia się, czy rzeczywiście w napadzie zazdrości zepchnął swoją piękną żonę z balkonu.

Tregaron przerwał jej rozmyślania.

- Jak się pani miewa, panno Buchanan? - spytał chłodnym, choć grzecznym tonem.

- Dziękuję, dobrze - odparła po chwili. - A pan? - zapytała nieco przygaszona.

- Nieźle. A pani stryjowie? Są tu dzisiaj?

Co za uprzejme pytanie, pomyślała Cate, szczególnie że markiz prędzej spędziłby wieczór w towarzystwie szalonego króla niż architektów ze Szkocji. Ludzie pokroju Tregarona nie pochwalali spoufalania się niższych klas z wyższymi sferami.

- Towarzyszmy lady Leverham - odpowiedziała krótko. Nie uznała za stosowne informować markiza, że chociaż lady Hythe łaskawie wystosowała zaproszenie dla całej rodziny, Ambrose i Angus wybrali rozrywkę na trochę innym poziomie. Podśluchała, jak szeptali coś o grze w kości i Covent Garden. -Stryjowie nie przyszli.

- Ach, tak. Ufam, że cieszą się dobrym zdrowiem i samopoczuciem.

Ta krótka rozmowa wydała się Cate wyjątkowo banalna. Wbiła wzrok w nieprzeniknioną twarz markiza, próbując zrozumieć, dlaczego w ogóle się do niej odezwał. Wymiana uprzejmości, z jednej strony dowodząca dobrego wychowania, z drugiej była zupełnie nie na miejscu, jeśli wziąć pod uwagę ich poprzednie spotkanie i jego reputację. Odważyła się spojrzeć Tregaronowi głęboko w oczy, żeby znaleźć odpowiedzi na nurtujące ją pytania.

Tym razem milczała zbyt długo. Markiz wykrzywił usta w grymasie, który trudno byłoby nazwać uśmiechem, i popatrzył na nią rozbawiony.

- I tak to jest.

- Słucham?

- Po prostu pewne sprawy łatwo przewidzieć, panno Buchanan. Zresztą, nieważne. Zakładam, że pani stryjowie miewają się dobrze.

- Och, oni... Ja...

- Zakładam również, że pani nie tańczy. Cate spojrzała na niego zdziwiona.

- Lordzie?

Wyprowadzona z równowagi uniosła głowę. Ze względu na swój wzrost rzadko patrzyła na ludzi z góry.

- Albo nie tańczy pani z zasady, albo ma już pani zamówione wszystkie tańce tego wieczoru. A może właśnie skręciła sobie pani kostkę albo wciąż trwa pani w żałobie po jakimś dalekim krewnym. Proszę się nie obawiać, panno Buchanan. Nie będę pytał. Nie będę też żądał wyjaśnień, gdy zobaczę panią później na parkiecie. Wszystko rozumiem.

Cate zawsze uważała się za bystrą osobę. Tym razem jednak sporo czasu zajęło jej dotarcie do sedna sprawy. Gdy wreszcie pojęła, co miał na myśli, odezwał się znowu.

- Chciałem jedynie uprzejmie się zachować. Choć z drugiej strony nikt nie uważa mnie za uprzejmego czy nawet cywilizowanego, więc nie będę udawał zaskoczonego. Pozwolę sobie jednak wyrazić nadzieję, że miło spędzi pani resztę tego wieczoru. Dobranoc pani.

Cofnął się o krok. Cate wbrew zdrowemu rozsądkowi poczuła dotkliwe wyrzuty sumienia. Zwykle zachowywała się powściągliwie, ale nigdy niegrzecznie, nawet gdy rozmawiała z osobą wyjątkowo

niemiłą. Zdawała sobie również sprawę z tego, iż niemądrze jest obrażać swojego chlebobawcę.

- Rzeczywiście nie tańczę, lordzie - przyznała szczerze - ale dziękuję za - w ostatniej chwili uprzytomniła sobie, że o nic jej nie poprosił - za pamięć i życzenia. Prace w pana rezydencji przebiegają sprawnie. Myślę, że będzie pan zadowolony z rezultatu.

Nigdy nie umiała się podlizywać i nie wiedziała, czy jej słowa zostaną dobrze przyjęte. Cóż, za późno, żeby się nad tym zastanawiać.

Tregaron dłuższą chwilę wpatrywał się w nią w milczeniu. Cate nagle pomyślała, że już wie, jak czuje się kura, choćby i koścista, w obecności lisa. Poczowała mrowienie w palcach nóg, które szybko przeniosło się w górę. Zaczęła wyobrażać sobie balkon, ciepłą letnią noc, iskrzące emocje... gdy przemówił.

- Guzik mnie obchodzi ten dom, panno Buchanan. Zresztą panią też, jak mniemam. To nie pani sprawa. Więc - ukłonił się ledwo dostrzegalnie - raz jeszcze dobranoc.

Z tymi słowami oddalił się i szybko zniknął w rozstępującym się przed nim tłumie. Cate poczuła na sobie kilka ciekawskich, taksujących spojrzeń. Wcisnęła się głębiej w swój kącik i zastanawiała, czy wszyscy obecni słyszą szalone bicie jej serca.

Markiz Tregaron wytrącił z równowagi dumną ze swojego twardego charakteru i odwagi Cate Buchanan. A ona nie wiedziała, jak to się stało.

Instynkt podpowiedział jej, że powinna już wracać do domu. Zamierzała pożegnać się z lady Leverham i Hythe - obie traktowały ją wyjątkowo ciepło i serdecznie - znaleźć siostrę i wyjść. Nie szkodzi,

że przyjechały powozem lady Leverham. Do domu miały zaledwie kilka przecznic i mogły je spokojnie przejść piechotą. Może tak nie wypada, ale przynajmniej szybko będą u siebie.

Cate nie odsunęła się od ściany, bo zorientowała się, że na razie nigdzie się nie wybiorą. Lucy, którą z trudem można było dostrzec wśród gromadki młodych mężczyzn, świetnie się bawiła. Promieniała, flirtowała, co chwila słychać było perlisty śmiech. Tłumek otaczających ją wielbicieli gęstniał. Wszystko wskazywało na to, że Lucy Buchanan z Tarbetu, córka nikogo w szczególności, posiadająca niewiele więcej ponad urodę, była na najlepszej drodze, aby zostać królową balu, jeśli nie najbardziej pożądaną panną w mieście.

Cate wolałaby raczej wejść bosymi stopami na rozżarzone węgle, niż zepsuć siostrze najlepszy jak dotąd wieczór w jej życiu.

Obawiała się jednak, że Lucy szybko dozna rozczarowania. Owszem, panowie, także arystokraci, zwracali uwagę na ładną buzię i cięty język. Flirtowali, służyli ramieniem w czasie spacerów po malowniczych parkach i dawali kwiaty. Ale nigdy nie żenili się z dziewczynami ich pokroju. Szczególnie że i w ich sferach nie brakowało ładnych buź i ciętych języków, którym w dodatku towarzyszyły tytuły i okazałe fortuny.

Cate uważała, że gdyby Lucy zakochała się w jakimś przeciętnym młodzieńcu, uniknęłaby rozczarowania. Znała jednak siostrę i wiedziała, że dla niej liczą się tylko dwa typy mężczyzn: nieszczęśliwi poeci i wyniośli arystokraci. Codziennie przeglądała Timesa, skupiając się głównie na kolumnach poświęconych plotkom, i bez przerwy rozprawiała o rymach albo spadkach.

Każdy arystokrata z wyjątkiem przemilego, choć cichego męża lady Leverham patrzył wysoko ponad głowę Cate Buchanan. Każdy poeta patrzył w gwiazdy, a w kieszeni miał kurz. W gruncie rzeczy Cate lubiła poetów. Jej ukochany ojciec był jednym z nich. Niestety, na żadnym poecie nie dało się polegać w sprawach finansowych.

Natomiast arystokracji nie znosiła.

Tregaron ze swoją kamienną twarzą nie należał pod tym względem do wyjątków. Tylko dlatego, że przez chwilę zawahała się w swoich opiniach, gdy zwrócił na nią uwagę i mówił do niej głębokim, niepokojącym głosem...

- A niech mnie! Tej twarzy nie spodziewałem się zobaczyć w Londynie!

Cate znieruchomiała. Nie musiała się odwracać -za nic by zresztą tego nie zrobiła - żeby rozpoznać osobę, która wypowiedziała te słowa. Ten głos słyszała wielokrotnie, czasem delikatny jak aksamit, czasem ostry i nieprzyjemny, a czasem panowały takie ciemności, że nie widziała twarzy mężczyzny, który mówił. Że też musiał się zjawić dziś na przyjęciu, akurat na pierwszym balu, w którym brała udział! Niepotrzebnie przyszła. Gdyby nie Lucy...

Krew zadudniła jej w uszach, odwróciła się powoli. Nogi odmawiały jej posłuszeństwa, ale odnalazł ją i musiała stawić mu czoła.

Był tam - szczupły, przystojny, elegancki. Gdyby był kamieniem szlachetnym, oślepiąłby swoim blaskiem. Poza tym wyglądał dokładnie tak samo jak wtedy. Miał tylko inny krój krawata.

I wcale na nią nie patrzył.

Stał parę metrów od niej wraz z grupką znajomych. Klepali po plecach jakiegoś mężczyznę i zasypywali go pytaniami o podróż na kontynent. Za wszelką cenę chciała usiąść, ale bała się ruszyć z miejsca, żeby nie zwrócili na nią uwagi.

Akurat gdy sądziła, że zaraz osunie się na kolana, usłyszała obok siebie inny cichy, przyjemny i kulturalny głos.

- Ponieważ nie byliśmy sobie przedstawieni, panno Buchanan, obawiam się, że uważa mnie pani za wyjątkowo aroganckiego. Odnoszę jednak wrażenie, że przydałaby się pani chwila spokoju. Jeśli pani pozwoli, odprowadzę ją w bardziej zaciszne miejsce.

Sparaliżowana strachem Cate nie usłyszała, że ktoś do niej podszedł. Odwróciła się i przekonała, że twarz nieznajomego pasuje do jego głosu. Była miła i przyjazna. Niestety wiedziała, że nie może pozwolić obcemu mężczyźnie wyprowadzić się z przyjęcia, choć była to kusząca propozycja.

- Nazywam się Julius Rome. Jestem do pani usług. - Podał jej ramię. - Mój brat, Hythe, powiedziałby pani, że można mi zaufać, choć jestem trzpiotem. Od matki natomiast dowiedziałyby się pani, że ze mnie istny książe.

Ponownie wbrew rozsądkowi zaufała instynktowi i przyjęła ramię. Na miękkich kolanach pozwoliła się wyprowadzić z sali.

Tregaron odprowadził ich wzrokiem do drzwi i powrócił do rozmowy z Charlesem Vaerem. Nigdy nie darzył sympatią tego człowieka, który po wkroczeniu w wiek średni zrobił się nadętym bufonem, ale Vaer zwrócił się do niego niemal po przyjacielsku.

Chodziło oczywiście o jego córkę, która pomimo niekwestionowanej urody, okazałego posagu i nienaganej reputacji pozostawała niezamężna. Jeśli wierzyć Vaerowi, równie subtelnemu jak odurzony byk, Elspeth była niemal po słowie z księciem Conovar i księciem Hythe - nie w tym samym czasie, oczywiście - dopóki jej miejsca nie zajęły kolejno wdówka z Irlandii i niewychowana stara panna ze Szkocji.

Vaer nie wyliczył co prawda Tregaronowi wszystkich zalet córki, ale niewiele brakowało. Markiz nie był zbyt zainteresowany ofertą. Nie znał ani żony Conovara, ani Hythe'a. Vaer wskazał mu córkę, która rzeczywiście wyglądała prześlicznie i stała wśród arystokratycznej elity. Najprawdopodobniej posiadała większość cech, jakie przypisywał jej ojciec, który jednak osiągnął wręcz przeciwny skutek, wspominając o starej pannie ze Szkocji. Markiz natychmiast przypomniał sobie o Catherine Buchanan.

Wcześniej kątem oka obserwował ją, jak stała nieruchomo dokładnie w tym miejscu, gdzie ją zostawił. Nie przyciągała uwagi, ale rzucała się w oczy. Nie wyglądała ani na szczęśliwą, ani na niezadowoloną. Po prostu była. Tregaron z przerażeniem uświadomił sobie, że Catherine Buchanan niepodzielnie zawładnęła jego myślami.

Teraz słuchał monotonnych narzekań Vaera, ale przede wszystkim niecierpliwie czekał na powrót Rome'a. Młodzieniec pojawił się dopiero po dobrym kwadransie. Tregaron natychmiast grzecznie przeprosił Vaera i podążył za Juliusem w kąt salonu.

- Dlaczego, u licha, tak długo to trwało? Odprowadziłeś ją w jakieś spokojne miejsce?

Rome, zamiast się obrazić albo dociekać, dlaczego markiz tak się interesuje tą kobietą, wzruszył ramionami.

- Nie takie, jak zamierzałem. Chciałem ją odprowadzić do pokoju Sibyl, ale gdy tylko znaleźliśmy się w korytarzu, postanowiła wrócić do domu. Podziękowała mi i poprosiła, żebym pożegnał od niej Alfie Leverham, i uciekła. Dogoniłem ją dopiero w połowie ulicy Mount.

Tregaron wcale się nie zdziwił, że Catherine sama nocą wyszła na dwór. Spodziewał się po niej czegoś takiego. O mało nie uśmiechnął się, gdy wyobraził sobie, jak panna Buchanan długimi susami przemierza ulice Mayfair.

- Rozumiem, że odprowadziłeś ją do domu. Rome wyprostował się urażony, że markiz pomyślał, iż mógł postąpić inaczej.

- Oczywiście. Mieszka na ulicy Binney w takim nędznym, małym domku. Cóż. To ciekawa osóbka, ta twoja panna Buchanan. Przez cały czas była blada jak ściana, ale usta się jej nie zamykały. Trajkotała o pogodzie, jakbyśmy byli na jakimś obiedzie. Dziwna, ale raczej sympatyczna.

Tregaron zwrócił uwagę, że Julius nazwał Catherine jego panną Buchanan, ale nie skomentował tego. Z jakiegoś powodu nie chciał, żeby młodzieniec doszukiwał się sympatycznych cech u Catherine. O ile w ogóle je posiadała.

- Nie sądzę, że mi zdradzisz, co ją tak wystraszyło - niby od niechcienia rzucił Rome.

- Nie jestem pewien.

Zauważył, że w pewnym momencie niebezpiecznie zbladła. Zwrócił też uwagę na grupkę młodych mężczyzn, których pojawienie się wywołało u niej tę reakcję. Gramble, Reynolds, Fremont i kilku innych. Mało ciekawe postaci. Wątpił, żeby Catherine знаła kogokolwiek z nich, ale jakiś głos podpowiedział mu, że tak jest. Wiedział, że trudno ją wytrącić z równowagi, ale w tej chwili potrzebowała pomocy.

Wyobrażał sobie, że gdyby sam zjawił się u jej boku, rzuciłaby jakąś chłodną uwagę i odeszła, może nawet depcząc mu po palcach. Wybrał więc inne rozwiązanie, a Julius świetnie spełnił swoją misję.

- Dziękuję - powiedział z wdzięcznością. - Jesteś dobrym człowiekiem, Rome.

Julius uśmiechnął się szeroko.

- No, tak. Zostało nas jeszcze kilku. Tregaron stwierdził, że nie musi odpowiadać.

Uznał również, być może na wyrost, że młodzieniec mu jest mu przyjazny. Oczywiście takie zachowanie mogło wynikać z naturalnego, dziecięcego jeszcze optymizmu Rome'a. Zresztą nieważne. Jeden sprzymierzeniec w Londynie to więcej niż Tregaron miał przez osiem lat.

- Naprawdę, Cate, nie mogę uwierzyć, że mi nie powiedziałaś! - Lucy machnęła swoim małym koronkowym parasolem, o mało nie zaczepiając o brodę siostry. - Dlaczego ukrywałaś to przede mną?

Znużona Cate podała plik najnowszych projektów MacGounowi, który szybko się oddalił. Nadzorca był skrzywiony jak zwykle, ale tym razem Cate wiedziała, że to z powodu Lucy. Podczas gdy dla pozostałych pracowników wizyty Lucy były czymś w rodzaju święta, dla MacGouna stanowiły jedynie przyczynę niepotrzebnych opóźnień.

Cate w pełni się z nim zgadzała. Kochała siostrę, ale wolała, żeby dziewczyna trzymała się z dala od Hanover Square. Paplała jak najęta i odwracała uwagę mężczyzn od pracy do tego stopnia, że zaledwie kilka minut temu murarz zaklinał sobie stopę w wiadrze. No i przeszkadzała Cate. Teraz upierała się, aby porozmawiać o sprawach, o których Cate wolała zapomnieć, między innymi o wczorajszym balu. Do tej pory szczebiotała o przedwczesnym wyjściu siostry, o pięknych dekoracjach i eleganckich strojach, głównie męskich.

- Dlaczego? - powtórzyła, gdy cisza przedłużała się.

- Nie przyszło mi to do głowy - odparła Cate, w dużej mierze zgodnie z prawdą.

Lucy parsknęła z niedowierzaniem.

- Ten człowiek nie jest stary ani brzydki, za to bogaty jak Krezus i w dodatku jest markizem, a tobie nie przyszło do głowy, żeby mi o nim wspomnieć?

Zirytowana Lucy tupnęła nóżką, wzniecając wokół siebie chmurę kurzu. Zamachała dłonią, żeby oczyścić powietrze.

- Och, dlaczego ty nie możesz pracować w czystych miejscach?

Cate uśmiechnęła się krzywo.

- Zawsze się staram specjalnie dla ciebie, kochanie, ale jakoś mi się nie udaje. A jeśli chodzi o lorda Tregarona, wiedziałaś równie dobrze jak ja, że jest bogatym markizem. Nasze zdania na temat wieku mężczyzn znacznie się różnią i już dawno przestałam się zastanawiać, jaki wiek jest według ciebie do przyjęcia, a poza tym wcale nie uważam, że Tregaron jest przystojny.

Nie do końca powiedziała prawdę, ale w życiu człowieka są sytuacje, gdy nie trzeba dzielić włosa na czworo i wybrać mniejsze zło.

- W dodatku ma okropny charakter i jeszcze gorszą reputację.

- Mhm. Wiem o tym - Lucy rozmarzyła się nieco -ale ma też takie piękne ramiona. Okryte zachwycającym płaszczem. Założę się, że kosztował więcej niż moja i twoja garderoba razem wzięte.

- Ach, tak. Więc przyznajesz, że to, w co się ubieram, to jest garderoba?

Lucy zignorowała tę uwagę.

- Żałuję, że nie poprosił mnie wczoraj do tańca. Ale by była sensacja! Na pewno miał na to ochotę, ale niestety nie skorzystał z okazji.

- Ktoś was sobie przedstawił? - zdziwiła się Cate.

- Nie, ale pan Rome mógł się tym zająć.

- Pan Rome - mruknęła Cate i wzdrygnęła się na wspomnienie wczorajszych wydarzeń - jest dżentelmenem w każdym calu.

Była mu niezmiernie wdzięczna. Bez jego pomocy czekałoby ją spotkanie o wiele mniej przyjemne niż rozmowa z Tregaronem.

- Jest przemiły, prawda? Zachował się z taką galanterią, gdy zabrał cię do domu, kiedy zasłabłaś. -Lucy przyjęła do wiadomości kłamstewko siostry. -Jaka szkoda, że nie jest dziedzicem. Byłby dobrym kandydatem na męża.

- Dla ciebie czy dla mnie? - spytała ironicznie Cate. Nie dostała odpowiedzi. Lucy skierowała się do wyjścia. Uważnie przyglądała się pustemu pokojowi, w którym pozostał jedynie parkiet. Przejechała palcem w rękawiczce po podłodze i skrzywiła się na widok smugi brudu, która pozostała na jasnej skórze. Zakręciła się zgrabnie, czym spowodowała kolejne nieszczęście. Zapatrzony w nią robotnik, który zrywał ze ścian zniszczone tapety, upuścił na ziemię ciężką szpachlę.

- Jasna zieleń - oznajmiła Lucy, rozejrzawszy się po pomieszczeniu. - Ja urządziłabym ten pokój na zielono. Na ścianach jedwab, na meblach brokat. Tak, jasna zieleń i złocenia. A reszta tego - wskazała na gzyms, szukając w myślach słowa, które słyszała tysiące razy, ale nie potrafiła zapamiętać - musi stąd zniknąć. Jest za mało gustowne.

Cate tymczasem zamierzała zastąpić gzymsy czymś o wiele mniej gustownym, zupełnie pozbawionym wstążek czy zawijasów. Planowała również przejść z salonu do głównej sypialni, gdzie miała

zająć się sufitami. Zmieniła jednak zdanie. Niespodziewane zainteresowanie Lucy dekoracją wnętrz było aż nadto oczywiste. Trzpiotka najwyraźniej wyobrażała sobie siebie rozguszczoną w salonie, niewątpliwie w sukni dopasowanej do jasnozielono-złotego wnętrza i odpowiedniej dla tytułu markizy. Cate nie miała ochoty wysłuchiwać propozycji siostry co do buduaru. Już teraz było w nim za dużo pulchnych, gipsowych aniołków, które zresztą wkrótce zostaną usunięte.

W miarę jak Cate zapoznawała się z rezydencją Tregarona, coraz trudniej było jej uwierzyć, że markiz w ogóle mieszkał w tym domu. Wszystko świadczyło o tym, że urządziła go kobieta, i to o wyjątkowo ekstrawaganckim guście. Zupełnie jak tornado, wszędzie zostawiała ślady swojej obecności: zasłony z różowego aksamitu w salonie, połączane medaliony i karnisze, sufity ozdobione pretensjonalnymi scenami.

Z wyjątkiem zniszczonej biblioteki, do której Cate nie weszła od pierwszego dnia prac, nic nie wskazywało, że ponury markiz w ogóle przebywał w tym domu.

Wszędzie natomiast natykała się na ducha zmarłej lady Tragaron. Jej rzeczy osobiste zostały usunięte z rezydencji, podobnie zresztą jak markiza. Zostały jedynie jego książki. Robotnicy zabrali trochę mebli i innych drobiazgów na strych. Cate nie miała pojęcia, gdzie podziały się pozostałe przedmioty. Dokąd je wywieziono osiem lat temu, zanim dom został zamknięty na cztery spusty? Tak czy inaczej, nawet jeśli Tregaron urządził którykolwiek z pokoi po swojemu, nie pozostawił po sobie ani śladu.

- Catherine! - w rozważania Cate wciął się głos Lucy.

- Hmm?

- Nie słyszałaś tego, co powiedziałam?

- Złocenia - westchnęła Cate. - Gzyms.

Lucy parsknęła.

- Pytałam, czy można oczekiwać, że markiz przybędzie na przyjęcie u Wardourów?

- Skąd mam to, u licha, wiedzieć? Nie jestem jego sekretarką ani nie mam wglądu w kalendarz przyjęć arystokracji londyńskiej.

Dopiero teraz dowiaduję się, że jest jakieś przyjęcie w rezydencji Wardourów.

Żeby uciąć dalszą dyskusję, zwinęła projekty w rulon, wetknęła je pod pachę i skierowała się do saloniku na tyłach domu, gdzie niedługo miały się rozpocząć prace. Lucy, wcale niezbita z tropu, pospieszyła za nią. W korytarzu rozlegały się uderzenia młotów, trzask drzwi i wesołe pogwizdywanie robotników.

- Oczywiście, że wiesz o nim, Cate. Idziemy na nie z lady Leverham we wtorek...

-Nie.

- Słucham?

- Nie - powtórzyła Cate. - Ty możesz iść, ja się nie wybieram. - Przypomniał jej się wczorajszy wieczór i aż wstrząsnęła się ze zgrozy.

- Nie jestem ci już potrzebna. Nie mam ochoty więcej podpierać ścian i truć się letnią lemoniadą. Zostaję w domu.

- Ale Catey, Wardourowie...

- Tyle dla nich znaczę, co jakaś owca. Jestem jednak przekonana, że są zaprzyjaźnieni z lady Leverham, a to działa na twoją korzyść.

- Ale teatr - nalegała Lucy.

Rzeczywiście. Cate pomyślała, że przykro byłoby jej zrezygnować z być może jedynej okazji, by zobaczyć pana Keana, pana Brahama i panią Porter w „Pameli” czy „Makbecie”, które uwielbiała czytać, ale nigdy nie widziała wystawionych na scenie.

- Same bzdury - rzuciła.

- Park Vauxhall Gardens.

Akrobaci, sztuczne ognie, muzyka pod gołym niebem.

- Na pewno hałaśliwy i zatłoczony.

- Okazja dla mnie, żebym poznała markiza! Cate stanęła jak wryta w progu saloniku.

- Lucy... - Omijając nieustannie kręcących się po korytarzu robotników, Cate wepchnęła siostrę do pustego, zakurzonego pokoju.

- Nie wolno ci interesować się markizem.

- A dlaczego?

- Bo arystokraci nie żenią się z kobietami naszego pokroju. - Pomyślała, że proponują inny rodzaj związku, nie małżeństwo. - W tym zakątku świata nie popełnia się mezaliansów. Lucy fuknęła.

- Lord Newling i pan Faringdon-Smyth są świetnie utytułowani albo wkrótce będą - Lucy przyłożyła rąbek błękitnej sukni do ściany - i oświadczyli mi się. Tak, ten kolor by tu pasował.

- Kim są... - Cate opadła szczęką, projekty wylądowały na podłodze. - Oświadczyli się?

- Tak. Na razie dwóch. I to zaledwie po jednym wieczorze. Lady Leverham twierdzi, że w tym sezonie żadnej dziewczynie się to nie przydarzyło.

- Wspaniale - chłodno podsumowała Cate. - Rozumiem, że propozycje te padły, gdy byłaś w towarzystwie lady Leverham.

- Nie. Akurat zdążyłam wrócić od niej. Ci panowie odwiedzili mnie w domu. Jeden za drugim. Postawiliby mnie w bardzo niezręcznej sytuacji, gdyby przyjechali jednocześnie. Przynieśli też piękne kwiaty. Orchidee od lorda Newlinga... a może on przyniósł róże?

Kwiaty?

- A przyzwoitka?

- Och, to. Zawinęłam Becky w jakiś szal, usadziłam ją w kącie salonu i powiedziałam panom, że to moja droga, stara i głucha ciotka Rebeka. Po krótkim powitaniu żaden na nią nawet nie spojrzał.

- Lucy!

- A co miałam robić? Ciebie nigdy nie ma w domu, stryjów też!

Cate musiała przyznać siostrze rację. Wychodziła do pracy wcześniej, wracała wieczorem, a stryjowie tego akurat dnia przyjechali na Hanover Square jeszcze przed południem zadowoleni i wyjątkowo gotowi do pracy. W innych okolicznościach Cate serdecznie pogratulowałaby siostrze zaradności. Przebrać pokojówkę za starą ciotkę Rebeke to był rzeczywiście błyskotliwy pomysł.

- Mimo to, Lucy...

- Nie bój się. Odrzuciłam jedno i drugie oświadczyzny. Czekam na coś ciekawszego. Newling jest przemiły, ale nie potrafi skończyć

ani jednego zdania bez jąkania się. Natomiast pan F kreska S ma wyjątkowo gadatliwą matkę. Nie zniosłabym dzielenia z nią stołu, a co dopiero domu. Ciekawe, czy lord Tregaron ma matkę? Na pewno kiedyś miał, ale może teraz już nie. Zresztą nie muszą przecież razem mieszkać czy jadać...

Zmęczona, jakby przez dłuższy czas szła pod wiatr, Cate potarła dłonią czoło.

- Nie wiem, czy ma matkę, ale za to przekonałam się, że jest arogancki, gburowaty i wyniosły, co sprawia, że spożywanie posiłków w jego towarzystwie musi być wyjątkowo nieprzyjemne.

- A więc go nie lubisz. - Lucy wbiła w nią spojrzenie swoich niewinnych, błękitnych oczu.

- Nie.

Dziewczyna roześmiała się.

- Naprawdę, Catey. Gdybym patrzyła na ludzi tak jak ty, miałabym zaledwie kilku znajomych.

Cate wcale nie sądziła, że jest nieprzychylnie nastawiona do ludzi. Chciała powiedzieć siostrze, wykrzyzczyć jej, że co innego nie lubić kogoś, a co innego nie ufać mu.

Zamiast tego skrzyżowała ramiona i oznajmiła:

- Krążą plotki, że markiz pozbył się swojej żony. Jeśli nie znajdujesz w nim nic odpychającego, pomyśl o tym.

Pochyliła się, żeby podnieść z podłogi projekty, które wcześniej upuściła. Rozwinęły się i zatrzymały kilkadziesiąt centymetrów dalej. Zebrała je i chciała się wyprostować, ale jej uwagę przyciągnął ruch za drzwiami. Powoli jej wzrok sunął w górę po pysku dyszącego

żółtego psa, przez zakurzone buty, bryczesy i kamizelkę do krawata. W ciemnym korytarzu nie była w stanie dostrzec twarzy markiza, ale nie miała wątpliwości, że rozpoznałaby go w najciemniejszej jaskini.

Tregaron natomiast widział Catherine dokładnie, także jej twarz, która z czerwonej zrobiła się blada jak ściana. Kobieta skrzywiła się zdenerwowana, co nie dodało jej uroku, natomiast było dosyć wymowne. Została przyłapana na krytykowaniu go i przeraziła się, że on w odwecie zerwie umowę z Buchananami.

O ile zdążył się zorientować, w każdym jej słowie tkwiło ziarnko prawdy.

Podjął decyzję bez zastanowienia.

- Dzień dobry, panno Buchanan. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam w prywatnej rozmowie.

Catherine ściągnęła brwi, niepewna teraz, czy słyszał jej uwagi. Wzrok Tregarona powędrował ku drugiej kobiecie. Ta ani trochę nie wyglądała na zmieszaną. Była natomiast piękna jak anioł w słonecznej aureoli.

Anioł, wykazując jak najdalej posuniętą subtelność i dyskrecję, szturchnął Catherine koniuszkiem parasola. Cate zamrugła, wyprostowała się i przełknęła ślinę.

- Dzień dobry, lordzie. Nie wiedziałam... Nie spodziewano się pańskiej wizyty.

Tregaronowi wydało się, że Cate została ponownie szturchnięta, bo znów zamrugła.

- Ufam, że pani stryjowie wybaczą moje najście. Przechodziłem tędy i pomyślałem, że wstąpię na chwilę.

Odwrócił się do drugiej kobiety i czekał, aby zostali sobie przedstawieni.

- Ach, tak, oczywiście. Lordzie Tregaron, pozwoli pan, że mu przedstawię moją siostrę, pannę Lucy Buchanan. Odwiedza...
Odwiedzamy właśnie stryjów.

- Widzi pani, w ilu sprawach się zgadzamy? - Postąpił do przodu i gdy Lucy ochoczo dygnęła i podała mu drobną dłoń, pochylił się nad nią w ukłonie. - Jestem zaszczycony, że mogę panią poznać, panno Lucy.

Być może dziewczynie brakowało wewnętrznej siły, którą posiadała jej siostra, ale z pewnością nie wdziękzyła się jak idiotka. Zresztą nawet gdyby to robiła, każdy mężczyzna by jej wybaczył.

- Przyjemność leży po mojej stronie, lordzie Tregaron - odparła.

Głos miała nieco wyższy niż Catherine i zupełnie pozbawiony szkockiego akcentu. Czyżby celowo? Choć Lucy Buchanan zrobiła na nim wrażenie dosyć przyziemnej osoby, wyczuł w niej zadatki na dobrą aktorkę. Nie mógł powiedzieć, że wydało mu się to nieatrakcyjne.

Kątem oka dostrzegł, jak Catherine pochyla się, żeby pogłaskać Gryffydda. Nicpoń natychmiast przewrócił się na plecy, nadstawiając brzuch.

- Podziwiałam pańską rezydencję, lordzie - odezwała się Lucy.

- Czyżby? - On widział tylko kurz i puste ściany. Czyli nastąpiła znaczna poprawa. - Ja muszę przyznać, że wcale bym jej teraz nie rozpoznał.

Pośrodku ściany widniała dziura wielkości tacy. Tregaron dostrzegł przez nią przylegający pokój, który kiedyś był ulubioną jadalnią jego żony. Och, jak ona uwielbiała przyjmować gości. W drugiej ścianie też wykuto dziurę, przez którą prześwitywał salon. Sielankowy fresk na suficie w tym pomieszczeniu został zredukowany do kilku pastelowych plam. Zniknęła centralna nimfa odziana w gazę, która miała twarz jego żony. Namalował ją zauroczony artysta, któremu markiza nigdy nie zapłaciła.

Nigdy nie przyszło mu do głowy, żeby zostawić jakieś wytyczne co do fresków, ale teraz nie miało to już żadnego znaczenia.

W każdej posadzce brakowało drewna lub marmuru. W korytarzu o mało nie stoczył się w przepaść, ale na szczęście jego uwagę przyciągnął krzyk dziwnego, niskiego mężczyzny o szarej skórze i włosach.

Równie dobrze mogło to być ostrzeżenie, jak i uwaga na temat pogody, bo nie zrozumiał ani słowa.

Diabelsko droga tapeta, którą wybierała jego żona, zniknęła ze ścian. Jedynie gdzieniegdzie zostały jej resztki. Po podłodze walały się kawałki gzymsów i medalionów. W powietrzu unosił się kurz.

Tregaron wolał sobie nie wyobrażać, jak wyglądają pokoje na piętrze.

- Lucy - w jego rozmyślania wdarł się głos Catherine. - Znajdź, proszę, stryjów. Jestem przekonana, że lord Tregaron pragnąłby z nimi porozmawiać.

Tak rzeczywiście było, choć chciał jedynie podziękować im za świetną pracę i prosić, aby ją kontynuowali. Lucy natomiast nie

spodobał się ten pomysł. Wydeła swoje różane usteczka i potrząsnęła głową.

- Och, Cate...

Catherine nie powiedziała ani słowa. Jej milczenie musiało jednak być bardzo wymowne, bo zaledwie kilka sekund później Lucy grzecznie przeprosiła go, obiecała, że za chwilę wróci, i lekkim krokiem ruszając opuściła pomieszczenie. Został sam na sam z Catherine. Cate, przypomniał sobie jak nazwała ją siostra. Pasowało do niej to zdrobnienie.

- Panno Buchanan...

- Lordzie...

Zaczęli mówić jednocześnie i zbici z tropu umilkli.

- Pani pierwsza - odezwał się w końcu Tregaron. Zauważył, że Catherine miała na sobie kolejną brzydką suknię, tym razem żółtą. Nie komponowała się ona dobrze z niesforną kaskadą rudych włosów i nie pasowała krojem do wysokiej, szczupłej sylwetki Cate. Była niemodna i niezbyt czysta. Panna Buchanan wyglądała w niej jak nieporządny, rozczochrany urwis.

Teraz miała w palcach zakurzoną spódnicę, choć odważnie patrzyła mu w oczy.

- Lordzie, obawiam się, że byłam... wyjątkowo nieuprzejma. Wczoraj wieczorem ja... byłam po prostu niegrzeczna i chcę za to przeprosić.

Gdyby usłyszał od niej: „O co ci chodzi, człowieku?“, mniej by się zdziwił. Wcale nie uważał Cate Buchanan za niewychowaną, ale

oczekiwał, że jak Junona, Boudicea czy którakolwiek z legendarnych wojowniczek będzie stanowcza i nieprzejednana.

Wiedział, że nawet by jej do głowy nie przyszło, że zrobiła coś więcej, niż uraziła jego dumę. Zagrała na jego uczuciach.

W dodatku nie próbowała nawet przeprosić go za to, że o mało nie nazwała go zbrodniarzem, bezlitosnym mordercą. Jednak mądry człowiek przyjmuje to, co mu się proponuje, i cierpliwie czeka na więcej. Z zaskoczeniem uświadomił sobie, że w towarzystwie tej pełnej życia i energii kobiety wcale nie czuje obecności żony w domu, który znienawidził.

- Nic się nie stało - odparł szorstko.

- Ale ja czuję, że muszę...

- Dosyć! - Skrzywił się niezadowolony, że stracił panowanie nad sobą. - Proszę - dodał ugodowo - nie mówmy już o tym.

Widział wyraźnie, że swoją wypowiedzią zbił Cate z tropu. Był ciekawy, jak zareagowałyby, gdyby przyznał, że czuje się równie niepewnie jak ona. Najprawdopodobniej wcale by mu nie uwierzyła. Czarne charaktery romantycznych romansów nigdy nie czuły się niepewnie.

Nie bardzo wiedział, co powiedzieć, i z ulgą przyjął powrót Lucy. W przedpokoju rozległ się jej słodki głos, a wkrótce potem ona sama pojawiła się w progu. Tregaron pomyślał, że każdy mężczyzna całymi miesiącami mógłby czerpać przyjemność z samego obserwowania, jak słodka Lucy wchodzi i wychodzi z pokoju.

Dziewczyna zachwiała się, gdy jeden ze stryjów, ten potężniejszy, poklepał ją po plecach.

- Dobra robota! - ryknął i w kilku ogromnych susach pokonał odległość dzielącą go od markiza.

Tregaron odniósł wrażenie, że zbliża się do niego dąb. Gryffydd sprytnie usunął się z drogi.

- Dzień dobry, lordzie! Tregaron stał odważnie w miejscu.

- Witam pana, Buchanan - przywitał się, nie wiedząc, czy ma do czynienia z Angusem, czy z Ambrose'em.

Uścisnął potężną dłoń i skrzywił się, gdy poczuł, że ramię o mało nie wypada mu ze stawu. Za mężczyzną stał jego brat.

- Dzień dobry.

Zakurzeni i najwyraźniej zmęczeni ciężką pracą Buchananowie ucieszyli się na widok Tregarona zupełnie jak Lucy. Tymczasem naburmuszona Cate wycofała się w róg pokoju. Markiz odniósł wrażenie, że w jakiś sposób nie pasowała do swojej rodziny i może nawet utrudniała pracę stryjom. Miał jedynie nadzieję, że nie stara się ochłodzić ich entuzjastycznego podejścia do przebudowy domu.

- Przepraszam, że przeszkadzam, panowie... - zaczął.

- Ależ skąd - oznajmił wspaniałomyślnie potężny Buchanan. - Przecież to pański dom.

- Rzeczywiście - zgodził się Tregaron - ale nie chciałem, żebyście myśleli...

- Och, my Buchananowie nigdy nie myślimy - odezwał się drobniejszy z braci. - Nie ma nic gorszego dla klienta niż myślący robotnik.

- Ach, Angus, ty wariacie. Jego lordowska mość zastanawia się, czy zmienimy jego rezydencję w kupę gruzu.

Tregaron zerknął na liczne dziury w ścianach i przełknął ślinę.

- Ja, eee... no, tak. Rzeczywiście powiedziałem, że nie będę się tu kręcił i patrzył wam na ręce...

- Ależ proszę się kręcić, lordzie.

- I patrzeć też. Wygodniej będzie panu patrzeć mi na ręce, bo te cholerne ramiona Ambrose'a całkiem zasłaniają widok.

- Dobrze, proszę patrzeć na Angusa, ale zadawać pytania mnie. Ja tu jestem ekspertem...

Cate gorączkowo zastanawiała się, jak przerwać paplanie stryjów, zanim wypnie im się coś, co należało zachować w tajemnicy. W tym momencie do pokoju wpadł Gordie. Zastępca MacGouna przedstawiał sobą niezwykle widok. Od stóp do głów pokryty szarym gipsem wyglądał jak upiór. On sam zdawał się zupełnie nie zwracać uwagi na swoją powierzchowność, podobnie jak Buchananowie. Zachowywał się całkiem zwyczajnie, tylko co chwila pocierał dłonią czoło.

W pierwszym momencie Cate pomyślała, że nic się nie stanie. Nie przyszło jej do głowy, że Gordie może nie zauważyć stojącego przy oknie lorda Tregarona.

- Mamy problem, panno Cate - zaczął jak zwykle. Nie spostrzegł, że znacząco pokręciła głową. - Szyby do tych okien...

Cate zakaszła.

- Och, przepraszam, panienko. - Gordie cofnął się szybko. - Nie powinienem był tak tu wpadać, nie w takim stanie. Dusi się pani teraz od kurzu, prawda?

- Gordie...

- Nie, nie. To moja wina, panienko. Zaraz otworzę okno. A jeśli chodzi o szybę... - Stał jak wryty w połowie drogi do okna z oczami wielkimi jak spodki. - Ja... eee...

Cate szybko rozejrzała się po pokoju. Stryjowie podobnie jak robotnik zapomnieli języka w gębie. Lucy przycisnęła dłoń do ust. Tregaron mierzył wzrokiem jękającego się Szkota, jakby ten miał ciało pomalowane farbą, a nie ubrudzone gipsem, i mówił po szkocku, a nie po angielsku. Cate stwierdziła, że markiz raczej nie oczekuje, iż przybysz zostanie mu przedstawiony.

- Może powinieneś porozmawiać ze stryjem Angusem - na dwa ostatnie słowa położyła szczególny nacisk - na temat szyb, gdy lord Tregaron nas opuści - zasugerowała. - Chyba nie chcemy, żeby słuchał o takich przyziemnych sprawach.

Gordie podniósł rękę, żeby podrapać się po głowie. Kolejna chmura kurzu uniosła się w powietrze.

- Tak... tak... oczywiście. - Skłonił się niezgrabnie. - Proszę mi wybaczyć, lordzie. Panowie. Panienko... - Odwrócił się na pięcie i rzucił do drzwi.

- Stój!

Wszyscy odczuli głos Tregarona jak uderzenie biczem. Gordie zamarł.

- Lordzie... - zaczęła Cate. Tregaron odstepił od okna.

- Chyba wiem, co się tu dzieje.

Cate zacisnęła palce na materiale spódnicy tak mocno, że rozerwała go.

- Na... naprawdę?

- W rzeczy samej. - Kamienna twarz markiza nic nie wyrażała. -
I muszę powiedzieć, że nie jestem z was zadowolony.

- Och, lordzie, proszę...

- Rzeczywiście powiedziałem, że nie będę tu przychodził. Może powinienem był was powiadomić, że zmieniłem zdanie. Jednak, jak zresztą sami przyznaliście, jest to mój dom i będę się tu zjawiał, gdy tylko przyjdzie mi ochota.

- Oczywiście, lordzie, ale...

Tregaron spojrział na Cate lodowatym wzrokiem.

- Nie pozwolę, żebyście sobie myśleli, że możecie mnie oszukiwać.

Och, my Buchananowie nie myślimy, przemknęło Cate przez myśl. Teraz w końcu będą musieli zapłacić za swoje niedbalstwo.

- Nie pozwolę, żebyście sobie myśleli, że zupełnie się nie interesuję tym, co się tutaj dzieje. Jestem ciekawy, jak sobie radzicie, i nie życzę sobie, żebyście ukrywali przede mną jakieś problemy. Czy to jasne? Tak się składa, że chcę posłuchać o szybach. - Wyszedł na środek pokoju i popatrzył na ścianę działową. - Bardzo mnie na przykład interesuje ta dziura. Co to jest? Wentylacja? - spytał sucho.

Serce Cate, które jeszcze minutę temu waliło, jakby chciało jej wyskoczyć z piersi, powoli zaczęło powracać do normalnego rytmu.

- Wentylacja? Skądże - odparł Angus. - Ta ściana będzie zburzona.

Ambrose zatarł ręce i uśmiechnął się.

- Następna też. W gruncie rzeczy przyszedł pan w najodpowiedniejszym momencie. Od rana zbieraliśmy się, żeby się za nią wziąć.

Faktycznie, pomyślała Cate. Stryjowie przyjechali z samego rana. Żwawo wzięli się do pracy, z niecierpliwością oczekując na tę wielką chwilę. Tylko dzięki nadzorowi MacGouna i Cate, która przewidująco schowała niektóre narzędzia, nie rzucili się na ścianę z wigorem nastolatków.

Najwyraźniej jednak Angusowi udało się znaleźć dwa potężne młoty. Przed wejściem do pokoju postawił narzędzia na podłodze przed drzwiami. Teraz je podniósł. Jednym machnął lekko, jakby to była laska, a drugi podał markizowi. Tregaron, trzeba mu to przyznać, nie skrzywił się ani nie upuścił młota na stopę.

Oparł go na ziemi.

- A to ma służyć do...

- Rozwalenia reszty tej ściany - oznajmił stryj Angus, jakby była to najoczywistsza rzecz pod słońcem.

Markiz spojrział na niego zaskoczony. Cate znów chciała się wtrącić, ale ubiegł ją Ambrose.

- To takie nowatorskie rozwiązanie, puszczenie pokoi rzędem jeden za drugim jak w korytarzu kreta.

Cate zbladła. Niezupelnie w ten sposób opisałyby swój pomysł, ale przynajmniej Ambrose wyobrażał sobie mniej więcej efekt końcowy. Postanowiła pozwolić mu skoczyć wyjaśnienia, ale pożałowała tej decyzji zaledwie minutę później.

- Kreci korytarz. Rozumiem. - Tregaron kiwnął głową. - To znaczy, że będzie jeden długi pokój.

-Tak.

- Stąd aż do drzwi wejściowych?

- Ach... - Ambrose zerknął niepewnie przez dziurę na przeciwległą ścianę przyległego pokoju. - No... - Cate zaczęła machać rękami w nadziei, że przyciągnie uwagę jedynie stryja, i kiwać gorączkowo głową. - Tak!

- Nie będzie ścian między pokojami?

-Ja... - Ambrose wsunął sobie rękę w potargane włosy i rozczochrał je jeszcze bardziej. Cate wymachiwała ramionami jak szalony dyrygent. Gdy i to nie pomogło, wskazała na wejście do pomieszczenia. - Drzwi! -krzyknął w końcu Ambrose. - Właśnie. Pokoje będą oddzielone od siebie rozsuwanymi drzwiami. Od wewnątrz będą w nich umieszczone okna, a po drugiej... - Cate wyciągnęła przed siebie dłoń wnętrzem zwróconą do twarzy -... po drugiej stronie lustra. W ciągu dnia drzwi można zostawiać otwarte, aby... - zawahał się. Cate przewróciła oczami i wskazała na okno. - Wpadało tu światło słoneczne. A zamykać się można, aby posiedzieć sobie w ciepłe i spokoju.

Dopiero teraz Cate przypomniała sobie, że ten aspekt mógł nie być odpowiednio odzwierciedlony w projektach. Zrobiła to zresztą celowo na wypadek, gdyby końcowy efekt okazał się zbyt ekstrawagancki albo gdyby markiz odrzucił ten pomysł, zanim przekonali go, jak bardzo takie rozwiązanie pasowałoby do wystroju rezydencji.

Tregaron stał w milczeniu jak kamienny posąg. Tylko młotek w jego dłoni kołysał się lekko jak ogon rozdrażnionego kota. Cate wstrzymała oddech. Stryjowie w napięciu wpatrywali się w markiza. Gordie z szeroko otwartymi oczami stał w progu jak posąg. Nawet Lucy, która przez cały czas wierciła się i prze-stępowała z nogi na nogę, aby zwrócić na siebie uwagę markiza, zastygła w bezruchu.

- Zamierzacie zburzyć mi ściany - mruknął. Po chwili, która dłużyła się w nieskończoność, uśmiechnął się. Nie był to co prawda szeroki uśmiech od ucha do ucha, ale jednak zmienił nastrój panujący w pomieszczeniu. - Wspaniały pomysł, panowie. Wasz?

Przez głowę Cate przemknęło podejrzenie, że stryjowie sobie przypiszą tę zasługę. Natychmiast jednak zorientowała się, że Ambrose milczał, bo zapomniał nazwisko genialnego architekta, który jako pierwszy zrealizował ten projekt.

- Repton - szepnęła. Ambrose zamrugał zdezorientowany. - Repton! - powtórzyła.

- Klepton! - krzyknął stryj. Markiz wzdrygnął się.

- Repton - powiedziała na głos Cate. - Znów malowałeś Kleopatę, prawda, stryju? Stryj Ambrose -zwróciła się do Tregarona - tworzy przepiękne klasyczne szkice w wolnym czasie.

- Ach, tak? W takim razie pozwól pan, że coś od niego zamówię - zaproponował Tregaron.

Według Cate lord po prostu starał się być uprzejmy i obraz stryja wylądował tam, gdzie większość jego dzieł - na strychu. Ambrose tymczasem cieszył się jak dziecko.

Angus zaczął przestępować z nogi na nogę.

- Lordzie, czy nie przyda się panu rzeźba lub dwie? Cate... to znaczy my stwierdziliśmy, że trzeba się pozbyć tych wszystkich amorków.

- Czyżby? - Tym razem uśmiech Tregarona był znacznie szerszy. Serce Cate z jakiegoś powodu zabiło mocniej. - Kto by pomyślał? Panie Buchanan, o ile mam rację, sądząc, że pan rzeźbi, o ewentualnym zamówieniu porozmawiamy innym razem.

Angus rozpromienił się i zawołał:

- Gordie, przynieś nam jeszcze jeden młotek! Bierzemy się za burzenie ściany. - Gdy robotnik pospiesznie opuścił pokój, Angus zwrócił się do Tregarona. - No, ściągaj, chłopcze, ten płaszcz. Przeszkadzałby ci tylko w pracy.

Cate zdziwiłaby się, gdyby dowiedziała się, że ktokolwiek odważył się kazać markizowi rozebrać, odkąd ten skończył pięć lat. Była natomiast zupełnie pewna, że nikt nigdy nie zmuszał go do pracy. Angus natomiast był święcie przekonany, że oddaje młodemu lordowi przysługę. Markiz zmarszczył brwi i zacisnął usta. Wszystko wskazywało na to, że nie tylko odmówi, ale i w brutalny sposób przywoła stryja do porządku.

- Nie sądzę... - zaczął. - Jeśli panie będą tak miłe... -zakończył niespodziewanie.

Dopiero po dłuższej chwili Cate zorientowała się, że Tregaron w wyjątkowo uprzejmy sposób sugeruje im, by opuściły pokój, żeby mógł się rozebrać. Nie wierzyła własnym uszom. On naprawdę chciał to zrobić. Zamierzał zdjąć swój drogi płaszcz i razem z Buchananami zburzyć ścianę.

Najchętniej odmówiłaby, bo nie podobał jej się pomysł zostawienia go sam na sam ze stryjami. Tregaron jednak chrząknął i wbił w nią morderczy wzrok. Zrozumiała, że nie ma wyjścia.

- Chodźmy, Lucy - powiedziała niechętnie. - Panowie chcą zostać sami.

Wydawało jej się, że czuje na sobie wzrok markiza, gdy opuszczała pomieszczenie. Pewna była natomiast, że plecy pokryła jej gęsia skórka. To nerwy, wytłumaczyła sobie. Zupełnie naturalne zresztą w takiej sytuacji.

W korytarzu spotkały Gordie'ego, który niósł potężny młotek.

- Pilnuj ich - poleciła mu Cate. - Nie zostawiaj ich samych z markizem ani na chwilę. Będę w salonie na wypadek, gdybyś mnie potrzebował.

- Tak, panienko. - Swoim zwyczajem Gordie wierzchem dłoni przetarł pot z czoła. - Mało brakowało.

- Rzeczywiście.

Cate ruszyła w dół korytarza na miękkich nogach. Lucy podążyła za nią.

- Myślałam, że umrę ze śmiechu, Catey. Najpierw jak Gordie się wygadał, a potem stryj Ambrose...

- Lucy - ostrzegawczym tonem rzuciła Cate.

- No, tak było. Rozbawiliście mnie do łez. - Wzruszyła ramionami, gdy siostra syknęła. - Powinnaś mu powiedzieć. Może wcale by mu to nie przeszkadzało.

Cate zatrzymała się.

- Może wcale by mu to nie przeszkadzało - powtórzyła. - Może i nie. Może w przeciwieństwie do wszystkich panów, jakich znam - poza naszymi stryjami - nie przeszkadzałoby mu, że to nie mężczyźni są odpowiedzialni za odnowę jego domu, ale kobieta. Ja. Może wcale by mu nie przeszkadzało, że został oszukany. Może w przeciwieństwie do aroganckich rozpustników, wśród których się obraca, nie odesłałby nas do Szkocji albo, co jest bardziej prawdopodobne, nie wtrąciłby nas do więzienia za oszustwo. Może...

Cate nie była pewna, co bardziej przemówiło do

Lucy, groźba więzienia czy raczej powrotu do Szkocji, ale którejs z tych możliwości siostra wyraźnie się przestraszyła.

- Och, nie wolno ci więc mu mówić, Catey, że „Buchanan i Buchanan” to ty! Nie mów o tym nikomu! To będzie nasza rodzinna tajemnica.

- Tak, rodzinna tajemnica.

Problem niestety polegał na tym, że Cate nie wierzyła, że jakakolwiek tajemnica może się długo utrzymać w rodzinie Buchananów. Choć nie była z natury pesymistką, wiedziała, że już od dawna kuszą los. Odkąd przejęła kierownictwo w spółce, czyli od przebudowy rezydencji hrabiny Maybole, w każdej chwili spodziewała się najgorszego.

Wzdrygnęła się na odgłos pierwszego uderzenia młota o ścianę.

Tregaron był przekonany, że tynk powpadał mu nawet do spodni, choć nie bardzo potrafił wyobrazić sobie, jak to się stało. Udało mu się przetrzeć jedynie twarz i dłonie. Czuł, że cały jest zakurzony, wszystko go swędziało.

Gryffydd rozłożył się zadowolony kilka metrów dalej na pluszowym dywanie lady Tregaron. Przednie łapy wyciągnął sztywno do przodu, tylne - za siebie. W takiej pozycji odpoczywały tylko owczarki walijskie. Pies spał spokojnie, lekko pochrapując.

Babka za nic nie chciała go pogłaskać. Twierdziła, że poszarzała od kurzu sierść zwierzaka sprawia co najmniej niepokojące wrażenie i grozi poważnym zniszczeniem jej sukni i mebli. Tregaron zrobił, co mógł, żeby wyczyścić Gryffydda, ale wiedział, że pomoże mu jedynie kąpiel. Nie chciał rozczarować babki, więc przyszedł tak, jak obiecał. Zamierzał zostać tylko na chwilę, wytłumaczyć, co się stało, i szybko wrócić do Albany. Plan ten oczywiście spalił na panewce.

Lady Tregaron nie przyjmowała do wiadomości jego wyjaśnień. Przewróciła oczami, cmoknęła i poleciła służącej rozłożyć na krześle ręcznik, zanim wnuk zdążył usiąść. Mimo to nie pozwoliła mu wrócić do hotelu, a Gryffyddowi zbliżyć się do siebie. Gdy służąca postawiła talerzyk z herbatnikami na podłodze zamiast na stoliku, zaczęła ostro krytykować tę, jak ją nazwała, nierozgarniętą dziewczuchę. Tregaron uznał, że lepiej nie wytykać babce, że takie uwagi odnoszą lepszy skutek, gdy wygłasza się je w obecności osoby, o której mowa, a nie

gdy pokojówka dawno opuściła pokój, a uszczęśliwiony pies opróżnił talerz do ostatniego okruszka.

- Dwie ściany? - kolejny raz powtórzyła starsza pani. - Ty?

- Nie sam - wyjaśnił cierpliwie. - Buchananowie mieli znaczący udział w burzeniu.

Lady Tregaron prychnęła.

- Skandal. Robotnicy burzą ściany ramię w ramię z markizem.

W moich czasach...

- W twoich czasach, babciu, sama chwyciłabyś za młotek.

Przez usta starszej pani przemknął lekki uśmiech.

- Cóż, może rzeczywiście.

- Było to niepokojąco przyjemne doświadczenie.

- Wcale się nie dziwię. Sugeruję, abyś przypomniał sobie to uczucie jutro, gdy będą cię bolały wszystkie kości.

Tregaron uśmiechnął się.

- Och, grandmare, przykro mi, że uważasz mnie za słabeusza.

- Dobrze wiesz, że to nieprawda. Jesteś okazem zdrowia, Colwinie, choć nie da się ukryć, że się starzejesz.

Tregaron był z siebie tak zadowolony, że nie miał ochoty ani kłócić się z babką, ani przyznawać jej racji. Stwierdził, że najwyższy czas znaleźć sobie jakąś fizyczną rozrywkę. W Walii z braku innych zajęć dużo spacerował i jeździł konno. Jeśli w Londynie nie znajdzie sobie jakiegoś zajęcia, szybko straci kondycję. Co prawda jazdę konną można byłoby uprawiać i w mieście, ale na zatłoczonych ulicach nie sprawiałaby mu przyjemności i nie przynosiła korzyści zdrowiu.

Pomyślał, że zapisze się do klubu szermierczego albo bokserskiego. Pod warunkiem oczywiście, że zgodzą się go przyjąć.

Rozważania przerwał mu głos babki.

- Muszę przyznać, że cieszę się, iż czymś się wreszcie zainteresowałeś. Powiedz mi coś więcej o tych Buchananach. Jest trzech braci, prawda?

- Dwóch. I dwie siostrzenice.

W tym momencie pokojówka wniosła herbatę. Tregarona rozbawił fakt, że jako pierwszego obsłużono psa, choć nie zazdrościł Gryffyddowi uwagi, którą mu poświęcano. Miał ogromną ochotę na herbatę i gotów był poczekać. Wiedział, że cały jest pokryty kurzem, nawet w gardle czuł pył. Gordie -śmieszny, mały, nerwowy Szkot zadbał, aby piwa im nie brakowało, ale ono pomagało tylko na krótką metę. Świetnie natomiast podsycalo zapach Buchananów do pracy.

Lady Tregaron przyjrzała mu się spod oka, nalewając herbatę.

- Siostrzenice?

- Mhm. - Pierwszy łyk smakował bosko. - Panny Catherine i Lucy Buchanan.

- Czy one bywają u ciebie codziennie?

- Nie sędzę. - Markiz zerknął na lukrowane ciasteczka i zrezygnował z poczęstunku. Wyglądały zbyt sucho jak na jego gust. - Wydaje mi się, że przyjeżdżają jedynie od czasu do czasu odwiedzić stryjów. Miasto nie oferuje chyba wielu rozrywek mało zamożnym damom z prowincji.

- Ach, więc są biedne? I rozumiem, że brzydkie. Szkotki bardzo przypominają małe myszki.

Zdaniem Tregarona Angielki z kolei przypominały wielkie konie.

- Tak się składa, że młodsza panna Buchanan cieszy się wyjątkową urodą. - Było to oczywiście oględnie powiedziane, ale markiz wiedział, że nie powinien rozwodzić się nad zaletami Lucy. - Ktoś zaprosił je na przyjęcie do Hythe'ów. Założę się, że dziewczyna wyjdzie za mąż za jakiegoś dobrze urodzonego lalusia jeszcze w tym sezonie.

Lady Tregaron uspokojona, że wnuk nie będzie walczył o względy pięknej, lecz ubogiej Szkotki, spytała:

- A ta druga?

- Catherine. Jest...

Wcale się nie zdziwił, że zabrakło mu słów, by opisać Cate, ale zirykowało go to. Łatwo przywołał w pamięci jej obraz - długie nogi, błyszczące oczy, niesforne włosy. Nie potrafił natomiast określić jej charakteru.

- Catherine Buchanan z pewnością nie jest piękna.

- Ach, w takim razie jest miłą, inteligentną osobą. Takie zwykle są brzydkie siostry ślicznych dziewczyn.

Tregaron wybuchnął śmiechem, który jego samego zdziwił równie mocno babkę, jak i rozbudzonego psa.

- Cate? Owszem, jest inteligentna. Ale miła? Boże, co za pomysł. Ani trochę.

Potrafiła być niegrzeczna i uszczypliwa, ale była także mądra, pełna życia i absorbująca. W jej towarzystwie nie można było się nudzić.

- Nigdy nie spotkałem takiej kobiety jak panna Buchanan.

Babka z trzaskiem odstawiła filiżankę na spodeczek.

- Podziwiasz ją.

Czyżby? Tregaron potarł kolano. Jakimś sposobem w tym miejscu udało mu się zrobić dziurę w nowych spodniach.

- Może. Podobnie podziwia się groźnego psa albo nadchodzącą burzę. Nie wybrałbym sobie panny Buchanan na przyjaciela.

- Hmm - tajemniczo mruknęła babka.

Tregaron uświadomił sobie, że najprawdopodobniej Cate również nie chciałaby się z nim zaprzyjaźnić. Przypomniawszy sobie, co o nim powiedziała.

Jest arogancki, gburowaty i wyniosły. Krążą plotki, że pozbył się swojej żony.

Nie wiedział, które stwierdzenie było gorsze. Nie rozumiał też, dlaczego w ogóle słowa Catherine sprawiły mu przykrość. Nie od wczoraj przecież musiał sobie radzić z wrogo nastawionymi do siebie ludźmi. Gdy tylko upewnił się, że nie dojdzie do procesu i nikt go otwarcie nie oskarży, przestał próbować dowieść swojej niewinności. Głównie dlatego, że nie był niewinny i nie chciał, żeby prawda wyszła na jaw.

Ignorancja okazała się bardzo praktyczna, choć czasami uciążliwa. Lepiej, aby się ciebie obawiano, niż kochano, powiedział Machiavelli swojemu księciu. Słowa te trafiły do przekonania również pewnemu markizowi. Przyzwyczał się, że obawiano się go i urągano mu. Nawet zaczęło go to nużyć.

Ziewnął.

- Czy mogę się czuć zaproszony na kolację?

- Tak się składa, Colwinie - odparła lady Tregaron - że Georgina Otley zorganizowała przyjęcie na dzisiejszy wieczór i zaprosiła mnie. Chciałabym się tam wybrać, ale wiesz, że nie znoszę wychodzić nocą do miasta. Zawsze jest tak tłoczno i Bóg jeden wie, jaki łotr może czaić się gdzieś w ciemnościach.

Markiza rzeczywiście rzadko wychodziła po zmroku. W gruncie rzeczy i w ciągu dnia zwykle zostawała w domu. Twierdziła, że nie lubi tłumów i drażnią ją pożądlive spojrzenia na biżuterię. Tregaron winił raczej jej niechęć do opuszczania domowych pieleszy niż strach przed ewentualną kradzieżą. Babka co prawda nosiła na sobie więcej klejnotów niż przeciętna królowa, ale zawsze miała w torebce filigranowy, naładowany, śmiertelnie groźny pistolet. Bardzo o niego dbała.

Lady Otley była jedną z najstarszych przyjaciółek markizy. Obie zaręczyły się ponad pięćdziesiąt lat temu w Londynie, wyszły za arystokratów, przeniosły do posiadłości w Derbyshire i Walii. Tregaron wiedział, że rzadko widywały się ze sobą i każde spotkanie było im wyjątkowo drogie.

Charles Vaer był synem lady Otley. Oznaczało to, że panna Elspeth Vaer na pewno zjawi się na przyjęciu, wymuskana i wystrojona dla szukającego żony markiza o nieco nadszarpniętej reputacji. Tregaron pomyślał, że chętnie rzuciłby się z młotem na kolejną ścianę. Wolał to, niż znosić towarzystwo Vaerów.

- Dobrze - zgodził się, nie chcąc rozczarować babki. - Z przyjemnością zabiorę cię dziś do Otleyów.

Lady Tregaron klasnęła w dłonie z radości.

- Cudownie. Bardzo się cieszę. Dobry z ciebie chłopak, Colwinie. I - nachyliła się do przodu i spojrzała na wnuka rozjaśnionym wzrokiem - bardzo przekonująco starałeś mi się wmówić, że wcale nie wolałbyś przejść się gołymi stopami po rozżarzonych węglach.

- Mając taki wybór - odparł z taką samą ironią - śmiem twierdzić, że bez wątpienia wybrałbym kolację u Otleyów.

- Bardzo słusznie.

- Tak - odrzekł, poprawiając się na mikroskopijnym krzeselku. - Rzeczywiście.

Zapadła cisza.

- Colwinie? - spytała po kilku minutach lady Tregaron.

- Tak, babciu?

- Twoja bestia się drapie.

Gryffydd entuzjastycznie drapał się łapą za zakurzonym uchem. Sądząc po szczęśliwym wyrazie pyska, musiało mu to sprawiać ogromną przyjemność. Tregaron pomyślał, że bycie psem wcale nie jest takie najgorsze.

- Colwinie?

- Tak, babciu?

- Ty też się drapiesz.

Tregaron opuścił rękę i zignorował pełne dezaprobaty spojrzenie babki. W tym momencie wolałby być psem.

Cate zastanawiała się, czy nie pożyczyć od kogoś teriera, żeby wyłapał szczury. Nie była pewna, czy w Londynie coś takiego się

praktykuje, ale w Tarbecie psów nie brakowało. Dyrektor szkoły miał Billy'ego, starsze panie MacDuffy Marigold i Pansy, a kowal Mangusa. Co prawda nie widziała w rezydencji żadnych gryzoni, które zresztą pewnie i tak uciekłyby przed ciągłym hałasem, ale zaniepokoiły ją szmery i szelesty dające się wychwycić w krótkich chwilach ciszy.

Teraz właśnie nadszedł jeden z takich momentów. Lucy wzięła ze sobą „ciotkę Rebeke” i wróciła do domu kilka godzin temu. Stryjowie zniknęli, gdy tylko runęła druga ściana, a pozostali robotnicy już na dziś skończyli. Cate powiedziała Gordie'emu, że odprowadzi ją MacGoun, a MacGounowi, że Gordie, i została sama.

Rozsiadła się na podłodze w salonie tuż przy drzwiach. Oparła się plecami o ścianę, zdjęła buty i wygodnie wyciągnęła przed siebie nogi. Herbata już dawno wystygła i zrobiła się cierpka, ale na wysuszone gardło działała jak nektar. Równie kojąco wpływała na poszarpane nerwy.

Kiedy markiz z zapalem wziął się za burzenie ściany, przestraszyła się, że poprosi MacGouna, by na stałe włączył go do grupy robotników. Nie mogła się doczekać, kiedy wyjdzie.

Cały czas z sercem w gardle podglądała Tregarona i stryjów. Była zła, że zmarnowała tyle godzin, które mogła spędzić o wiele pożyteczniej.

Przekonała się natomiast, że markiz w czasie pracy staje się innym człowiekiem. Z twarzy zniknęła mu kamienna maska. Zamiast niej pojawił się wyraz koncentracji i zmęczenia. Podczas przerw gawędził ze stryjami i popijał tanie piwo.

Prezentował męskie, wilgotne od potu, okryte lnianą koszulą ramię, bark i tors.

Cate starała się nie zwracać uwagi na takie szczegóły. Tłumaczyła sobie, że człowiek, który z takim zapałem wali młotem w ścianę, mógłby równie dobrze niszczyć inne rzeczy. Jednak w ruchach Tregarona nie wyczuwało się nienawiści, raczej stanowczość i arystokratyczny wdzięk.

Bez trudu zjednał sobie stryjów. Lucy o mało nie omdlała na widok jego umięśnionych ramion. Oczywiście ani stryjowie, ani Lucy nie byli znawcami ludzkich charakterów. Irytujący wewnętrzny głos przypomniawszy jej, że i ona miała znaczące braki w tej dziedzinie. Gordie opuścił rezydencję zachwycony ciężką pracą markiza, nawet MacGoun wyraził swoje zadowolenie.

Jak na domniemanego mordercę, którym całe wyższe sfery pogardzają od niemal dziesięciu lat, Tregaron bez trudu znalazł uznanie w oczach Szkotów pracujących w jego rezydencji.

Cate zapomniała, że w budynku mogą się gnieździć szczury, i omal nie wyskoczyła ze skóry, gdy coś włochatego otarło jej się o dłoń. Jedyne dzięki zimnej krwi i opanowaniu, które nabyła, mieszkając pod jednym dachem z nieprzewidywalnymi krewnymi, nie rzuciła się z krzykiem do ucieczki, kiedy wilgotny, czarny nos trącił jej brodę.

Dopiero po chwili w zakurzonej stworzeniu rozpoznała psa lorda Tregarona. Zwierzę oparło jej przednie łapy na kolanach i parę razy liznęło przyjaźnie brodę.

Z jakiegoś powodu Cate poczuła, że musi pochwalić psa za to, że śmiertelnie ją wystraszył, wpakował się jej na kolana i zmoczył twarz jęzorem.

- Jesteś taki śliczny - powiedziała, drapiąc go za dużymi jak u nietoperza uszami. Pies z braku ogona zaczął wiercić zadkiem i chrząkać. - Słodki jesteś.

- Gryffydd!

Oboje odwrócili się do drzwi, ale żadne z nich się nie podniosło. W progu stał Tregaron. Wygląda zupełnie tak samo jak dwie godziny temu, gdy stąd wychodził, pomyślała Cate. Miał na sobie ten sam garnitur, tak samo pokryty kurzem. Tylko nie był równie zadowolony z siebie i na twarz powróciła mu kamienna maska.

- Gryffydd - powtórzył niskim głosem. Pies zszedł Cate z kolan, ale nie przestraszył się ani nie obraził. Po prostu wykonał polecenie. - Przepraszam, panno Buchanan. On czasem nie potrafi się zachować.

- Nie... nie szkodzi. - Rzeczywiście nie miała nic przeciwko zwierzakowi. Był równie miły jak jego... Potrząsnęła głową. - Nie sądziłam, że dziś jeszcze pan tu wróci, lordzie.

Dopiero teraz uświadomiła sobie, że znalazła się w niekorzystnej sytuacji, i to z kilku powodów. Założyła pantofle i szybko, choć może nieco niezgrabnie, wstała. Tregaron zaoferował pomocną dłoń, ale ona grzecznie podziękowała.

- Nie zamierzałem wracać - powiedział, gdy stanęła przed nim - ale wygląda na to, że zostawiłem tu laszkę, a będzie mi potrzebna dziś wieczorem.

Cate nie widziała nigdzie laski, ale z radością poszłaby jej poszukać. Im szybciej markiz opuści rezydencję, niewątpliwie aby oddać się jakimś drogim, i pewnie wyszukanym, rozrywkom, tym prędzej ona pozbiera rzeczy i uda się do domu, gdzie spędzi nieprzespaną noc.

- Proszę poczekać, lordzie, ja...

- Proszę się nie kłopotać. Ja...

Oboje ruszyli do drzwi i utknęli w progu, ramię przy ramieniu. Gdyby Cate nagle nie zabrakło tchu w piersiach, pewnie uśmiełaby się z tej komicznej sytuacji. Tregaron uklonił się i wskazał dłonią na korytarz. Według Cate markiz nie należał do wesołych ludzi. Gdyby było inaczej, może wzięłaby za rozbawienie błysk, który na chwilę rozjaśnił mu oczy.

- Panie przodem - mruknął.

Nie mając innego wyjścia, Cate ruszyła pierwsza, prowadząc Tregarona do pokoju, gdzie kilka godzin temu zaczęło się burzenie.

Po paru krokach poczuła, jak coś trąca ją w kostkę raz, potem znowu. Spojrzała w dół. Okazało się, że to Gryffydd popycha ją nosem. Zatrzymała się. Pies też przystanął, a za nim jego pan. Gdy owczarek niemal wspiął się na nią, Cate poczuła się nieswojo i ruszyła dalej.

Nie przeszła nawet trzech kroków, gdy Gryffydd znów zaczął ją trącać nosem, zupełnie jakby chciał, żeby skreśliła prosto na ścianę. Przystanęła. Pies i Tregaron też się zatrzymali. Markiz westchnął.

- Panno Buchanan? Cate wskazała na psa.

- Popycha mnie.

Przygryzła wargi zażenowana, że skarży na biedne, głupiutkie zwierzę. Ku jej zdziwieniu Tregaron uśmiechnął się.

- Uważa panią za owcę.

- Słucham?

- Tę rasę psów, cilhthed, hoduje się do pomocy przy bydle domowym.

- Ci... - Cate próbowała powtórzyć to walijskie słowo.

- Długie psy. - Tregaron znów się uśmiechnął, widząc jej zdziwienie. - Gryffydd próbował skierować panią w stronę, gdzie sądził, że znajduje się jedzenie, i z dała od tego domu. Nie lubi go.

Podobnie jak jego pan, pomyślała Cate. Ciekawe czy ze względu na złe wspomnienia, czy nadmiar dobrych?

- Ci... - spróbowała jeszcze raz.

Uznała, że łatwiej wymówić ten trudny walijski wyraz, niż zastanawiać się nad przeszłością Tregarona.

- Po angielsku nazywa się je corgi.

Drzwi do salonu były otwarte. Cate z dumą ogarnęła wzrokiem ogromną przestrzeń, która powstała z połączenia trzech pokoi. Rzuciła spojrzenie na markiza, żeby się przekonać, czy docenia to rozwiązanie. Nie sprzeciwiał się wprowadzeniu go w życie i chętnie pomagał przy burzeniu ścian, ale teraz wyglądał na zupełnie obojętnego.

- Światło - wyrwało jej się. - Przestrzeń. - Przestraszona swoją niezamierzoną wylewnością szybko ciągnęła dalej: - Zgodnie z projektami pana Reptona po jednej stronie pomieszczenia będzie

cieplarnia, po drugiej ogromne lustro. Zamówiliśmy... Stryjowie zamówili już szyby przeznaczone na tyły domu...

- Rozumiem, że dostawa się spóźnia.

Cate skrzywiła się, ale nie odpowiedziała. Wolą, żeby Tregaron sądził, że nie wywiązuje się z powierzonych jej obowiązków, niż gdyby miał się dowiedzieć, że na razie szyb nie będzie. Problemy z fabryką, burknął MacGoun. Cate dobrze знаła nadzorcę i ufała mu, więc nie nalegała. Będą po prostu musieli znaleźć inny zakład i mieć nadzieję, że nie stracą zbyt wiele na tej transakcji. Powinni także modlić się, żeby szyby dotarły na Hanover Square, zanim rozochoceni stryjowie wezmą się za burzenie kolejnych ścian.

Żeby jak najszybciej zmienić temat, oznajmiła:

- Między oknami w salonie będą ogromne lustra. Gdy rozsunie się drzwi, oprócz światła dziennego pokój rozjaśni też światło odbite. Lustra optycznie powiększą to pomieszczenie. Całość będzie sprawiała niezwykle wrażenie.

Tregaron chrząknął niezobowiązująco. Cate podążyła za nim do jadalni przez wyrwę w ścianie, którą wcześniej tego dnia pomógł stworzyć.

- Tutaj - mruknął, wskazując na puste miejsce nad kominkiem - jeszcze pięć godzin temu znajdowała się całkiem przyzwoita półeczka.

- Scagliola - natychmiast zareagowała Cate.

- Boże - sucho zauważył Tregaron. - Tylko nie scagliola.

- Kawałki gipsu i marmuru - wyjaśniła Cate, ignorując sarkazm markiza - wykorzystywane do produkcji fałszywego marmuru.

Półeczka była wyszczerbiona, a ten dom zasługuje na coś lepszego.

- Mahoń?

- My... stryjowie wybrali zielony marmur z Irlandii. Drewno z czasem się wypacza.

Tregaron oparł się ramieniem o ścianę w miejscu, gdzie wcześniej znajdował się fałszywy, wyszczerbiony marmur i utkwił w Cate swój nieprzenikniony wzrok

- Zna się pani na rzeczy, panno Buchanan. Proszę mi wybaczyć, bo nie chcę pani urazić, ale zaskakuje mnie pani wiedza.

Cate przygryzła wargi. Tak łatwo było powiedzieć za dużo.

- Całe życie spędziłam wśród architektów - odparła ze wzrokiem utkwionym w wystrzępiony mankiet, który zdenerwowana skubała. - Coś tam wpadło mi do głowy przez te wszystkie lata.

- Jest pani bardzo skromna i sugeruje, jakoby była bardzo stara.

- Mam dwadzieścia sześć lat - rzuciła. Natychmiast zawstydziała się, że dzieli się z markizem takimi osobistymi informacjami.

- Nie jest więc pani jeszcze leciwą matroną.

- Być może, ale dzierlatką też już nie. - Wyprostowała się i uniosła brodę. - Poszukamy pańskiej laski, lordzie. Nie chciałabym pana zatrzymywać.

Tregaron z pewnym żalem podążył za nią. W Cate znów odezwała się oschła, bezpośrednia stara panna, a jeszcze przed chwilą, gdy opowiadała mu o planach przebudowy domu, była ożywiona,

niemal ładna. Przez te kilka minut bardzo przyjemnie im się rozmawiało. Westchnął.

Tak jak się spodziewał, laska stała oparta o ścianę w dawnej jadalni. Nie miał pojęcia, do czego miał służyć ten pokój. Ostatecznie zresztą i tak o jego przeznaczeniu zdecyduje przyszła markiza. Poprzednia zapierała dech w piersiach swoją urodą, gdy stała przy oknie w świetle poranka, a słońce igrało na jej złotych włosach. Nigdy nie przestała go zadziwiać.

Według Buchananów po remoncie w domu ma być jeszcze więcej światła i okien. Tregaron przechylił głowę i spróbował wyobrazić sobie promienie słońca odbijające się od starych kryształów i nowych blond loków.

- Tu będzie naprawdę pięknie.

Tregaron zamrugał i odwrócił się do Cate. Stała w progu. Na jej potarganych włosach osiadł kurz, ręce splotła na łonie.

- Naprawdę - powtórzyła.

Markiz uświadomił sobie, że nadal martwiła się jego opinią o pracy stryjów. Po raz pierwszy zastanowił się nad rolą Cate w rodzinie. Może ona wcale nie tłumi zapału Buchananów, ale jest siłą napędową i jednocześnie głosem rozsądku.

- Proszę się nie obawiać - odparł oschle. - O ile nie zburzycie zewnętrznych murów albo nie pomalujecie wnętrza na czerwono, nie będę protestował.

Cate otworzyła szeroko oczy, które, jak zauważył, stały się teraz ciemnoniebieskie.

- O co chodzi?

Cate tak mocno ścisnęła dłonie, że aż zbielały jej kostki.

- Zamierzamy... Stryjowie zamierzają zburzyć jedną zewnętrzną ścianę, przynajmniej częściowo, żeby wstawić większe okna.

Tregaron oczami wyobraźni zobaczył, jak Angus i Ambrose ruszają na mury z młotami. Zrobiło mu się słabo.

- Każę okno będzie się składało z kwadratu sześć na sześć szyb - wyjąkała Cate. Tregaron zamknął oczy. - Będzie sięgało do podłogi, wzdłuż ram zamontujemy bursztynowe szkło, które nada światłu złotawy odcień... Lordzie?

Tregaronowi wyobraźnia podsunęła wyjątkowo plastyczny obraz Buchananów wyglądających przez wyrąbaną przez siebie dziurę i śmiejących się od ucha do ucha do przechodniów. Tego już nie mógł znieść. Zachichotał. Był to nieco szorstki dźwięk, ale na pewno wesoły. Boże, niedługo chyba będę się naprawdę śmiał, pomyślał ironicznie.

Cate patrzyła na niego z takim zdziwieniem, jakby wyrosły mu rogi.

Tregaron uspokoił się z niejakim trudem.

- Och, Cate - mruknął, zupełnie zapominając o chłodnym opanowaniu, które nie opuszczało go od dawna. - Wygraliście. Proszę powiedzieć stryjom, że daję im wolną rękę. Naprawdę nie zależy mi na tym domu.

Cate nie była w stanie wydusić z siebie ani słowa. Po prostu wpatrywała się w niego z niedowierzaniem. Tregaron dopiero teraz zauważył, że panna Buchanan wygląda jak strach na wróble. Włosy miała w całkowitym nieładzie, suknię o wiele brudniejszą niż

wcześniej, poplamioną gipsem i innymi substancjami, których nie był w stanie zidentyfikować. Nos miała usmolony sadzą, na rękach cement, a na butach najwyraźniej błoto.

Sprawiła wrażenie, jakby niedawno ktoś ciągnął ją po ziemi. Przy niej wyglądał całkiem porządnie.

- Czy spędziła tu pani cały dzień, Cate? Odpowiedziała dopiero po dłuższej chwili. - Tak.

- Dobry Boże, dlaczego?

- Ja... Chciałam zobaczyć, jak burzy się ściany. Odniosłam wrażenie, że było to bardzo zajmujące zajęcie.

- Bzdury. - Zauważył, jak Cate się krzywi. - Została pani, żeby dopilnować, aby nic złego się nie wydarzyło. Tak, chyba wreszcie zaczynam rozumieć, o co w tym wszystkim chodzi.

Nie był pewien, czy zbladła, czy też światło w ten sposób padło na jej zakurzoną twarz. - Dużo pani wie o pracy stryjów. Wydaje mi się, że częściowo ją pani wykonuje. W każdym razie nadzoruje pani robotników. Tak, dochodzę do wniosku, że pani stryjowie są dobrymi architektami, ale kiepskimi organizatorami. Co mnie wcale nie dziwi, bo zwykle genialni projektanci nie mają pojęcia o sprawach praktycznych. - Kiwnął głową z aprobatą. - Pani zajmuje się prostszymi kwestiami, prawda? Pewnie moja obecność wytrąciła wszystkich z równowagi.

Gdyby później wspominał ten moment, uznałby go za wytwór swojej wyobraźni. W tej chwili jednak był przekonany, że Cate na jego oczach zmieniła się w zupełnie inną kobietę. Wyprostowała się dumnie jak królowa i spojrzała na niego z wyższością. Wyglądała jak

mityczna wojowniczką. Gdy otworzyła usta, Tregaron spodziewał się, że popłynie z nich łacina.

- Rozumiem, że jutro już nie zaszczyci nas pan swoją obecnością, lordzie?

Nie powiedziała tego po co prawda łacinie, ale równie dobitnie.

- Nie - odparł.

Wiedział - i wcale nie chciał udowadniać czego innego - że w tym momencie jest intruzem, gościem.

- Jutro nie - dodał. Cate kiwnęła głową.

- Wobec tego dobranoc, lordzie. Zamknie pan za sobą, prawda?

Odwróciła się na pięcie i pośpiesznie opuściła pokój. Słyszał jej kroki najpierw w korytarzu, potem na schodach.

Poniewczasie zorientował się, że poza nią nie widział nikogo w rezydencji. Przeszedł na drugą stronę pomieszczenia i wyjrzał na ulicę. Cate właśnie zeszła na chodnik i szybkim krokiem oddalała się od budynku. Sama.

Tregaron potrząsnął głową. Zastanawiał się, gdzie ta kobieta pobierała lekcje dobrych manier, o ile w ogóle się ich uczyła. Właśnie miał odejść od okna, gdy spostrzegł, że Cate niespodziewanie się zatrzymuje. To, co zobaczył, sprawiło, że zacisnął do bólu dłoń na twardej, żłobionej główce laski.

- Niech mnie licho. Nie spodziewałem się, że cię jeszcze kiedyś spotkam!

Cate krew zahuczała w głowie. Przestraszyła się, że zaraz zemdleje, ale szybko przywołała się do porządku. Przecież nigdy nie poddawała się fantazjom.

Powstrzymała drżenie ust i utkwiała wzrok w mężczyźnie, który stał naprzeciwko niej w towarzystwie dwóch innych.

- Ani ja pana, lordzie Fremont - wykrztusiła z trudem. Chłodno skinęła głową pozostałym. - Panie Gramble. Panie St. Clair-Wright.

Fremont, jak zauważyła u Hythe'ów, nie zmienił się. Nadal był bardzo przystojny, pod warunkiem, że nie patrzyło mu się w jego bladozielone oczy. Gęste blond włosy miał artystycznie potargane, a ubrany był w najmodniejszy strój, na jaki mógł sobie pozwolić za cudze pieniądze. Przyglądając się aksamitnej kamizelce, błyszczącym spodniom i doskonale skrojonemu płaszczowi, Cate zastanawiała się, kto dziś płaci rachunki barona. Gdy się poznali, robiła to lady Maybole.

- Ta moja przeklęta pamięć! - zadrwił. - Zapamiętałem twój ogień, Catey, ale zupełnie zapomniałem o mrozie.

Towarzysze Fremonta zachichotali. Cate zeszywniała, ale milczała. Lodowatym wzrokiem zmierzyła mężczyzn, którzy tak bardzo dali jej się we znaki pod koniec pobytu w posiadłości lady Maybole.

Dla Luciusa Gramble'a ostatnie trzy lata nie okazały się tak łaskawe jak dla Fremonta. Miał pieniądze, których nie posiadał przyjaciel, ale brakowało mu jego uroku, choćby nawet zdraдлиwego. Był w kapeluszu, ale Cate dostrzegła, że znacznie przerzedziły mu się włosy, przez co jeszcze bardziej zwracały uwagę oczy osadzone blisko siebie i wąskie usta. Podczas gdy zaledwie kilka osób wiedziało o tym, że Fremont powiększa sobie barki i uda wpychanymi pod ubrania poduszkami, Gramble nie potrafił ukryć bawełnianych dodatków i końskiego włosia. Cate poczuła do niego niechęć od pierwszego wejrzenia i on nigdy o tym nie zapomniał.

Edgar St. Clair-Wright z perspektywy czasu wydawał się najlepszy z całej bandy. Niewiele mówił. Pozostali się z niej okrutnie naigrawali - on był jedynie leniwy, samolubny i głupi. Młode damy pod grzywą czarnych włosów widziały rozmarzone oczy poety, Cate natomiast w końcu dostrzegła obojętne oczy krowy albo spasionego psa.

Trzech mężczyzn było nieobecnych: Freddie Fortescue, Charles Reynolds i Beau Graham. Cate obawiała się, że są gdzieś w pobliżu, bo zawsze trzymali się razem. W Szkocji podbijali serca kobiet swoją buńczucznością i teatralnym znudzeniem. Każdy z osobna był, jak przekonała się Cate, równie interesujący jak stos węgla.

Mądry człowiek po szkodzie, wyrzucał jej wewnętrzny głos. Jak długo możesz ignorować własną głupotę, Catherine?

- Wyglądasz... zupełnie tak samo - oznajmił Gramble, mierząc ją złośliwym wzrokiem od zabłoconych stóp do rozczochranej głowy. Jego towarzysze roześmiali się. Na pewno przypomnieli sobie, jak

kiedyś brała ukryte obelgi za komplementy. - Nie straciłaś nic ze swojej... imponującej postury.

- Nie ze wszystkimi czas obchodzi się łagodnie, panie Gramble - mruknęła. - Niektórym odbiera coś, czego wcześniej mieli pod dostatkiem.

Poczuła spóźnioną, ale jednak satysfakcję, gdy jego dłoń powędrowała do przerzedzonej fryzury.

- Zapomniałem już, że jesteś długa jak ogrodowa tyka - odezwał się bezczelnie St. Clair-Wright.

Cate ugryzła się w język, żeby nie przypomnieć mu, że gdy się ostatnio widzieli, nosił pantofle na wysokim obcasie. Zwykle nie lubiła wytykać ludziom ich niskiego wzrostu.

A jednak oni nie wahali się drwić z naiwnej młodej kobiety.

- Ja w ogóle sobie pana nie przypominam - skłamała i od razu poczuła się trochę lepiej.

Nagle jęknęła, bo Fremont chwycił ją za nadgarstek. Gdyby wiedziała, że zrobi coś takiego, stawiałaby opór, ale była tak roztrzęsiona, że bez wysiłku przyciągnął ją do siebie. Bezstronny obserwator pomyślałby, iż sama chętnie podeszła do mężczyzny. Fremont był mistrzem w udawaniu zakochanego, podczas gdy jego oczy błyszczały niebezpiecznie, a dłonie boleśnie ścisnęły.

- Nie mów, że zapomniałaś o mnie, Catey - powiedział rozbawionym tonem. - O naszej... przyjaźni. Nie zniósłbym myśli, że nie wspominasz naszej znajomości z takim rozrzewnieniem jak ja.

Nie po raz pierwszy Cate zadała sobie pytanie, czy okrucieństwo Fremonta nie ma granic. Najwyraźniej nie wystarczyło mu, że ją

zranił, ośmieszył i o mało nie zrujnował reputacji. Musiał jej jeszcze przypomnieć upokorzenie, którego przez niego doświadczyła.

Wiedziała dlaczego. Przez kilka tygodni zabawiał się, próbując zdobyć jej serce. Nie od razu rzuciła mu się do stóp, ale w końcu zjednał ją sobie pięknymi słówkami i dyskretnymi pieszczotami. Gdy dowiedziała się, że sobie z niej zażartował, odwróciła się od niego. Ignorowała go, nie zwracała na niego żadnej uwagi przez ostatnie parę dni ich pobytu w rezydencji lady Maybole. Tego lord Fremont nie potrafił znieść. Zamierzał znów ją zranić. Zastanawiała się jedynie, jak daleko się posunie.

- Obawiam się, że nie mam w tej chwili czasu na wspomnienia - wykrztusiła przez zaciśnięte zęby, próbując się uwolnić. - Jestem już spóźniona. Do widzenia panom.

Fremont nie rozluźnił uścisku. Kciukiem zatoczył małe koło po wewnętrznej stronie jej nadgarstka. Na dłoniach miał rękawiczki, Cate nie. Opanowała nieprzyjemny dreszcz i popatrzyła na niego chłodno. Uśmiechnął się, raczej nie z podziwem.

- Jaka jesteś zimna, Catey. I jaka oficjalna. Nie pamiętasz, jak słodko mówiłaś do mnie „Rafaelu“?

Tak było. Rafael, jej aniołek. Błagał ją, żeby nazywała go po imieniu. Później dowiedziała się, że naprawdę ma na imię Gerard.

- Do widzenia - powtórzyła i szarpnęła ramieniem.

- Ciii, Catey. Obrażasz mnie. Wygląda na to, że jesteś sama, więc musisz mi pozwolić odprowadzić się do domu. Jakim byłbym dżentelmenem, gdybym tego nie zrobił?

Towarzysze Fremonta, do których przewrotnie skierował pytanie, odparli ze śmiechem:

- Żadnym, absolutnie żadnym!

- Chodźmy, moja droga. Nie pozbawiaj mnie szansy okazania ci uprzejmości. Opowiesz mi, co robisz w Londynie, powspominamy stare dobre czasy.

Cate wolałaby przyprowadzić do domu wygłodniałe wilki niż tę trójkę. Jednak Fremont trzymał ją mocno. Gorączkowo myślała, jak się od niego uwolnić.

- Tak się składa, Fremont, że pani nie jest sama. Nikt nie słyszał, że podszedł do nich Tregaron.

Ale zjawił się, wysoki i groźny. Nawet poplamiony gipsem wzbudzał respekt i, tak, strach.

Zaledwie kilka minut wcześniej sprawił, że poczuła się nikim. Teraz została Andromeda, którą Perseusz ratuje przed wężem morskim. Z drugiej strony, pomyślała niespodziewanie, było w nim coś z lewiatana, ze smoka...

- Panowie - przywitał się krótko. - Kuzynie.

Kuzynie?

- Tregaronie - wymamrotał St. Clair-Wright.

Cate otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia. Prędzej doszukałaby się pokrewieństwa między księciem regentem a cesarzem Chin.

- Doszły mnie słuchy, że jesteś w mieście - mruknął Edgar ze wzrokiem utkwionym w butach kuzyna - ale nie dawałem im wiary.

- Tak to już jest, gdy wiedzę o najbliższej rodzinie czerpie się z plotek - chłodno odparł Tregaron. - Nigdy nie można być pewnym, co

jest prawdą. -Zwrócił się do Cate. - Proszę mi wybaczyć spóźnienie, panno Buchanan. Gryffydd ubzdurał sobie, że po domu buszują jakieś szczury. Idziemy?

Podszedł do niej ze zgiętym ramieniem. Oczywiście nie mogła go przyjąć, dopóki Fremont jej nie puścił. Na pewno o tym wiedział i dlatego utkwiał spojrzenie w twarzy barona. Wyzwanie w jego wzroku było tak subtelne, że można je było przeoczyć. Cate jednak wiedziała, że Fremont miał wiele wad, ale głupota do nich nie należała. Zastanawiała się tylko, czy był bardziej tchórzliwy, czy bezczelny.

Jego reakcja nie rozwiała jej wątpliwości. Puścił ją. Roztarła drugą dłonią nadgarstek, żeby przywrócić w nim krążenie krwi. Fremont skinął Tregaronowi głową.

- Nie wiedziałem, że nasza Catherine jest w pana... towarzystwie. W tym mieście zawsze trzeba się troszczyć o kobiety. Kręci się tu tylu łotrów, a często trudno ich odróżnić od dżentelmenów.

- To dziwne, prawda? - wycedził markiz. - Kiedyś łotrom było łatwiej w Londynie. Nikt ich nie mylił z dżentelmenami.

Otarł się łokciem o łokieć Cate. Nie był to nachalny gest, ale jednoznaczny. Cate z dumnie uniesioną głową przyjęła jego ramię. Było ciepłe i silne.

- Jestem gotowa, lordzie.

- Wspaniale. Panowie.

Kiwnął krótko głową i zagwizdał na psa. Ruszyli w stronę ulicy Oxford. Cate nie odwróciła się, nawet gdy Fremont zawołał:

- Nie rozpaczaj, słodka Cate. Będziemy mieli mnóstwo czasu, żeby wspominać nasze wspólne dni w Szkocji!

Całe to przykre spotkanie nie mogło trwać dłużej niż pięć minut, ale dla Cate ciągnęło się całą wieczność.

Tregaron najwyraźniej wiedział, dokąd iść. Kierował się w stronę ulicy Binney. Przez całą drogę milczał i Cate była mu za to wdzięczna. Zdawała sobie sprawę, że powinna podziękować, wyjaśnić, co się stało.

Nie ośmieliła się jednak tego zrobić. Gdyby otworzyła usta, posypałby się potok słów, a zbierające się w oczach łzy popłynęłyby wartkim strumieniem. Bóg jeden wie, co by wtedy wyznała. Nie, lepiej milczeć i pozwolić temu dziwnemu, tajemniczemu mężczyźnie zapewnić jej bezpieczeństwo. To znaczy odprowadzić ją do domu.

Tydzień później Tregaron zastanawiał się, dlaczego tyle czasu minęło, odkąd ostatnio widział Cate. Kiedy patrzył, jak znika w niewielkim domu przy ulicy Binney, słyszał jej stłumione podziękowania i życzenia dobrej nocy, uznał, że wkrótce znów się spotkają.

Nie zamierzał nazajutrz wstępować do rezydencji, ale zrobił to. Podobnie następnego dnia i następnego. Choć miał wrażenie, że słyszy lekkie kobiece kroki, smukła postać nie pojawiła się w drzwiach.

Braci Buchananów też nie było. Pojechali dopilnować dostawy szkła, marmuru albo płytek, jak informował go nerwowy Gordie. MacGoun, surowy nadzorca, proponował mu sprawdzenie, jak postępują prace, ale już nie zapraszano go, żeby zdjął płaszcz, zakasał

rękawy i przyłączył się do robotników. Nic dziwnego, był przecież markizem, właścicielem rezydencji. Tamto popołudnie, gdy burzył ścianę, stanowiło godny pożałowania wybryk Dla tego też Tregaron grzecznie podziękował MacGounowi i postanowił zająć się sprawami bardziej przystojącymi ludziom z jego klasy.

Udał się do krawca, gdzie zdjęto z niego miarę na ostatnią kamizelkę. Znalazł klub bokserski, w którym przyjęto go z otwartymi ramionami, ale jak okazało się później, jedynie kilku nieopierzonych młodziaków i właściciel odważyli się z nim walczyć. Poszedł na wyprzedaż do Tattersall z Charlesem Vaerem, wypił butelkę lub dwie z Julusem Rome'em i wziął udział w przyjęciu u lady Holland, na które zjawił się razem z ostatnio bardzo towarzyską babką, która niemal natychmiast po przybyciu ukryła się w kącie z Henrym Broughamem, żeby ponarzekać na rządowe gazety. Zostawiła wnuka wystawionego na spojrzenia gości i pod czułą opieką atrakcyjnej, choć nieco pijanej wdowy.

Nie przyjął jej niezbyt subtelnej propozycji, aby udać się na górę do jednego z prywatnych pokoiów gospodarzy. Nigdy nie przepadał za pospiesznymi uściskami po omacku w obcych domach. W dodatku czubek głowy rozochoczonej pani Langston ledwo sięgał mu do ostatniego guzika w kamizelce. Pospieszne uściski po ciemku często z konieczności były brutalne, a on nie chciał później odsyłać do domu posiniaczonej i poobijanej partnerki. Według niego niewysokie kobiety przysparzały więcej kłopotów niż przyjemności.

Odprowadził więc swoją drobną, nieznośną, ukochaną babcię do domu. Potem wrócił do siebie i, jak to miał w zwyczaju od przyjazdu

do Londynu, podzielił się kawałkiem żółtego sera z psem, a sobie zostawił butelkę przedniej madery.

Ten wieczór najchętniej spędziłby w podobny sposób. Nie bardzo wiedział, dlaczego przyjął zaproszenie Hythe'ów do teatru. Trochę z nudów, może z wdzięczności za sympatię, z jaką się do niego odnosili, ale przede wszystkim po to, żeby znaleźć sobie żonę jeszcze przed końcem sezonu. Jak do tej pory nie zachwycała go żadna ze spotkanych młodych dam. Doszedł do wniosku, że w razie konieczności Elspeth Vaer nadawałaby się na żonę, może nawet doceniłby ją bardziej, gdyby lepiej się poznali. Przy odrobinie wysiłku zawarłby znajomość z wieloma pannami na wydaniu, bo zaproszenia na przyjęcia, wieczorki, kolacje i herbatki napływały bezustannie. Tak, postanowił, że musi więcej uwagi poświęcić tej istotnej sprawie.

Usłyszał westchnienie Sibyl Hythe. Najwyraźniej podobnie jak on uznała adaptację „Rywali” Sheridana za niezbyt inspirującą. Nawet błyskotliwa kreacja Margaret Porter jako szlachetnej Lydii Languish nie była w stanie uratować przedstawienia. A trwał dopiero trzeci z pięciu aktów.

Fabuła z życia wzięta, choć nieco zawikłana. Sztuka opowiadała o ukrywaniu własnej tożsamości i poszukiwaniu miłości. Kobiety łatwo dawały się oszukiwać, mężczyźni udawali innych, niż byli w rzeczywistości. Zupełnie jak w życiu, stwierdził Tregaron, tylko że on miał więcej doświadczenia, jeśli chodziło o oszukiwanych mężczyzn i zdradzające kobiety.

W ciągu trzech lat małżeństwa jego piękna młoda żona wiele go nauczyła w tej dziedzinie.

- Chciałabym wiedzieć - mruknęła lady Hythe do nikogo w szczególności - dlaczego tak trudno odkryć, że twój wymarzony partner jest tuż obok.

Jej mąż zachichotał.

- Ciii - syknął.

Lady Hythe odpowiedziała mu tym samym. Na scenie Lydia Languish machnęła przed nosem wachlarzem swojemu wymarzonemu partnerowi (udającemu kogoś innego oczywiście).

- A więc? - ponagliła księżna.

Najwyraźniej piekielnie się nudziła. W gruncie rzeczy Tregaron jej współczuł.

- Żeby było ciekawiej - odparł szwagier Sibyl.

Przez ostatnie pół godziny czytał reportaż z wyścigów konnych. Zrobił na Tregaronie duże wrażenie, bo przyniósł ze sobą świeczkę i do tej pory nie uрониł nawet jednej kropli roztopionego wosku ani na gazetę, ani na spodnie.

- Żeby trzymać ludzi w ciągłym napięciu - szepnęła lady Hythe.

- Jakoś to przeżyłaś, Sibby. Stary Tarquin zdążył cię odnaleźć.

Stary Tarquin chrząknął.

- Faktycznie - mruknęła. - Zajęło mu to zaledwie piętnaście lat.

Tregaron spostrzegł, jak księżę delikatnie podnosi dłoń żony i kładzie ją sobie na sercu.

Ciekawe, pomyślał. Znał Hythe'a od lat i nigdy nie przypuszczał, że potrafi być romantyczny. Oczywiście nie byli bliskimi przyjaciółmi, ale mimo wszystko... W ich życiu było tak mało romantyzmu. Boleśnie przekonał się o tym na własnej skórze.

Teraz jednak dojrzał, zmądrzał i postanowił poprawić swój los. Hythe'owi się udało. Zuchwała, ale ładna, inteligentna i serdeczna Sibyl Hythe stanowiła przeciwieństwo zamkniętego w sobie, surowego męża. Różni od siebie, uzupełniali się nawzajem. Gdyby nie roziskrzone oczy, Tregaron uznałby ją za ideał kobiety, której poszukiwał.

- Według mnie to nudne jak flaki z olejem.

Markiz gwałtownie odwrócił głowę do tyłu.

- Słucham?

- Ten cały przekłety wieczór. - Rome machnął ręką i ziewnął. - Nie wiem, po co tu przyszedłem. Mądry człowiek każdą noc z wyjątkiem wtorku spędza w klubie u Watiera.

- Czy mogę spytać, co mądry człowiek robi we wtorkowe wieczory?

Rome spojrzał wymownie na szwagierkę i uśmiechnął się.

- Lepiej nie, ze względu na obecność damy. W przyszłym tygodniu pójdziemy do Covent Garden, to sam się przekonasz.

Tregaron zainteresował się i zaczął poważnie rozważać możliwość wyjścia do miasta we wtorkowy wieczór. Na pewno przyda mu się trochę prymitywnej rozrywki w towarzystwie ładnej, chętnej kobiety, ale nie oczekującej żadnych obietnic ani deklaracji.

W tym momencie skończył się akt. Julius natychmiast skoczył na równe nogi.

- Dzięki Bogu, znikam stąd. Idziesz ze mną, Tregaron?

Była to kusząca propozycja, ale markiz nie chciał urazić Hythe'ow.

- Nie, dziękuję. Raczej...

- Zmienisz się w kamień. Cóż, baw się dobrze. Młodzieniec pożegnał się jakby nigdy nic z bratem i bratową i dziarskim krokiem opuścił lożę.

Tregaron właśnie podnosił się z fotela, żeby zaproponować przyniesienie napojów, gdy kurtyna odchyliła się i do loży wśliznęła się lady Leverham.

- Boże, cóż to za bzdury - jęknęła. Piórko, które miała przyczepione do turbanu, kiwało się w takt jej słów. - Kto to napisał?

- Sheridan, ciociu Alfie - odparła Sibyl. - To z pewnością nie jest jego najlepsza sztuka, ale...

- To stek bzdur. Żadnego rycerza ani minstrela. - Kobieta z westchnieniem opadła na wolny fotel. - W dodatku aktorzy tak głośno wypowiadają swoje kwestie. Proszę mi powiedzieć, jak można spokojnie porozmawiać, jeśli się jest zagłuszonym przez te krzyki?

Tregaron podejrzliwie obserwował przekrzywiony futrzany kołnierz lady Leverham. Był prawie pewien, że to wcale nie jest kołnierz. Gdy podniósł głowę, napotkał jej badawczy wzrok.

- Tregaronie.

- Lady Leverham. - O ile dobrze pamiętał, nigdy go nie unikała, ale też nigdy nie wahała się wyrażać o nim swojej niepocholebnej opinii. Gdy się jednak zastanowił, doszedł do wniosku, że lady Leverham nie wyrażała się o nim najlepiej jeszcze przed skandalem. W gruncie rzeczy nie miała dobrego zdania i o Belindzie. - Bardzo mi... miło.

Wydawało mu się, że usłyszał, jak prychnęła. Oczywiście mógł to być Hythe, ale on akurat intensywnie wpatrywał się w galerię. Zresztą książkę nie prychnął.

- Podoba się panu sztuka? - spytała lady Leverham. Tregaronowi przeszło przez myśl, żeby pochwalić przedstawienie.

- Niezbyt.

- Ach, tak.

Najwyraźniej w oczach kobiety zdobył punkt, czy może raczej pół punktu.

- Co sądzi pan o tym sezonie? Myślę, że zupełnie inaczej odbiera pan teraz miasto. Przecież pozbył się pan...

- Ciociu Alfie - wtrąciła się Sibyl, rzucając Tregaronowi przerażone spojrzenie, które wcale nie było potrzebne. Pozwoliłby powiedzieć lady Leverham, co tylko by chciała. - Czy nie było z tobą panny Buchanan?

Tregaron natychmiast zainteresował się rozmową. Starsza kobieta rozejrzała się.

- Och, nie. Znów ją gdzieś zgubiłam. Stała tuż za mną zaledwie minutę temu. Z tej dziewczyny nie można spuścić oka. Ciągłe ją napastują jacyś zakochani młodzieńcy.

Tregaron odchylił zasłonę, jeszcze zanim lady Leverham skończyła mówić. Rzeczywiście stała za nią panna Buchanan. On jednak nie był pewien, czy tę z sióstr miał ochotę zobaczyć.

- Panno Lucy.

- Lordzie Tregaronie! - Nieziemską piękność o roziskrzonym wzroku odziana w koronkową suknię w kolorze kości słoniowej

podeszła do niego lekkim krokiem. - Bardzo się cieszę, że tu pana spotykam.

Zabrzmiało to bardzo szczerze, choć słyhać było, że z jakiegoś powodu Lucy brakowało tchu. Towarzyszący jej młodzieniec wcale nie przejął się tym, że dziewczyna straciła nagle dla niego zainteresowanie.

- Tregaronie. - W jego głosie nie pobrzmiwało potępienie jedynie wymuszone rozbawienie. - Czas najwyraźniej był dla ciebie łaskawy.

Markiz nie do końca zgadzał się z tym stwierdzeniem, ale w każdym razie majątku mu nie ubyło, dzięki czemu mógł liczyć na przychylność niezamężnych dam. Evan Althorpe natomiast nie śmierdział groszem.

- Dla ciebie również, Althorpe'ie. Przystojnego Althorpe'a nigdy nie martwiło jego arystokratyczne ubóstwo. Miał tytuł, dom, posesję, która była w stanie na siebie zarobić, i przede wszystkim sporo bogatych przyjaciół, którzy nie żalowali na grog. Tregaron zawsze podziwiał zaradność Althorpe'a i jego beztroski stosunek do życia. Gdyby dano mu okazję, podejrzewał, że nawet mógłby go polubić. Althorpe uśmiechnął się krzywo.

- Przyznam, że chyba tylko jakaś boska interwencja dałaby radę mnie zmienić... Chociaż może i nie. -Ponieważ Lucy wciąż wpatrywała się w Tregarona, odwrócił się do pozostałych osób znajdujących się w loży. - Lady Leverham - oznajmił poważnie - wciąż jest pani najpiękniejszą kobietą na ziemi.

Pochylił się nad dłonią rozanielonej damy. Tregaron skrzywił się, gdy kołnierz, jak się tego spodziewał, zsunął się z karku lady Leverham, wskoczył na ramię Althorpe'a i mocno chwycił jego monokl. Zanim markiz się odwrócił, dostrzegł, jak mężczyzna usiłuje wyrwać przedmiot z pyska małpy. Cały Londyn wiedział, że Galahad uwielbia smak złota.

- Doskonale pani wygląda, panno Lucy – odezwał się Tregaron wpatrzony w artystycznie ułożone loki. Dziewczyna zachichotała.

- Jest pan zbyt uprzejmy dla mnie, lordzie. Obawiam się, że wyglądam jak źle przystrzyżony żywopłot, gdyż musiałam się przeciskać przez straszne tłumy, żeby dostać się do państwa Hythe.

Takiego porównania Tregaron jeszcze nie słyszał, ale pani Malaprop w sztuce Sheridana tak kaleczyła język, że teraz tylko uśmiechnął się rozbawiony.

- Jest pani ananasem doskonałości.

Lucy zamruwała zdziwiona. Najwyraźniej nie znała słynnej kwestii pani Malaprop, która nazwała pewnego dżentelmena „ananasem uprzejmości”. Tregaron zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem Lucy nie była równie piękna jak głupia. W każdym razie dostał kolejną nauczkę, żeby nie żartować, choćby nie wiem jak świerbił go język.

Spoważniał i znów stał się ananasem uprzejmości.

- Czy podoba się pani przedstawienie?

- Och, tak. Uwielbiam teatr!

Niewątpliwie, pomyślał. Ktoś, na kogo czeka się z niecierpliwością, podziwia i obsypuje komplementami przy każdej

okazji, będzie uwielbiał teatr bez względu na to, co dzieje się na scenie.

- A jak miewa się pani rodzina?
- Dobrze, dziękuję. Jest tu dziś moja siostra...
- Tutaj? W teatrze?

Lucy od niechcienia popatrzyła na swój kciuk obleczony w nieskazitelnie białą rękawiczkę.

- Oczywiście uparła się, żeby zostać na fotelu z tyłu widowni. Pozwoli pan, że zapytam, lordzie, jaką w tym można znaleźć przyjemność? Zastanawiam się, po co tu w ogóle przyszła. Nie podoba jej się sztuka i za nic nie chce się pokazać publicznie. Czy ona nie jest dziwna?

Raczej roztropna. Tregaron również wolał fotele w tylnych rzędach. Mruknął coś niezobowiązująco, ale i tak nie miało to żadnego znaczenia. Lucy była w swoim żywiole i paplała jak najęta. Zanim lady Leverham wstała, żeby wrócić na swoje miejsce, zdążyła mu powiedzieć, jaki kolor farby nadawałby się do jego rezydencji, gdzie można kupić najlepsze gatunkowo tkaniny i opisać niezwykle wrażenie, jakie zrobił na wszystkich powóz księcia Conovara w czasie przejażdżki po parku.

Markiz nie bardzo rozumiał, dlaczego Lucy nawiązała do Conovara, ale z drugiej strony i poprzednie tematy nie trafiły na uważnego słuchacza.

Kilka minut zajęło lady Leverham odebranie monokla małpie. Lucy przyjęła propozycję Tregarona i z czarującym uśmiechem pozwoliła mu odprowadzić się na swoje miejsce. Jej przyzwoitka

przyjrzała mu się bacznie, po czym krótko kiwnęła przyzwalająco głową. Galahad utkwiał wzrok w wystającym mu z kieszeni łańcuszku od zegarka.

Do łoży Leverhamów było zaledwie kilka kroków, ale w środku znaleźli jedynie pochrapującego lorda Leverhama.

- Znowu! - westchnęła Lucy. - Uciekła w środku przedstawienia. Jak ona zamierza wrócić do domu?

- Nie żartuj, kochanie. - Lady Leverham dłuższą chwilę sadowiła się w fotelu. - Na pewno wyszła tylko na krótką przechadzkę i zaraz się tu zjawi.

Okazało się, że Cate nie przyszła przed końcem antraktu. Tregaron czekał na nią w łoży, jednym okiem obserwując wejście i jednym uchem słuchając paplaniny Lucy. Gdy przedstawienie się rozpoczęło, wymowne spojrzenia lady Leverham dały mu do zrozumienia, że wystarczająco długo zaszczycił ich swoją obecnością. Pożegnał się więc i wyszedł na korytarz.

Czekał tam kolejny kwadrans.

Cate się nie pojawiła. Przyjrzał się za to dokładnie kuzynowi Edgarowi, Luciusowi Gramble'owi i Beau Grahamowi, którzy wracali do swojej łoży. Oni go nie spostrzegli. Sądząc po ich podniesionych głosach i chwiejnym kroku, widzieli jedynie niewyraźne plamy.

Ten widok znów skłonił go do refleksji. Skąd Catherine Buchanan znała koleżków Fremonta i co ich łączyło? Nie znał odpowiedzi na te pytania i niewiedza dręczyła go tym bardziej, im więcej możliwości podsuwała mu wyobraźnia. Nagle stracił ochotę na obejrzenie sztuki do końca.

Schodząc na ulicę, starał się nie wyobrażać sobie Cate z Edgarem w sielankowej scenerii północnej Szkocji w jakimś wiejskim majątku, gdzie kuzyn był gościem, a Buchananów wynajęto do pracy. Wolał nie myśleć o fatalnej reputacji Fremonta, który słynął z uwodzenia młodych niewinnych kobiet.

W tej chwili nie miał nastroju na rozmowę z kimkolwiek, więc gdy pojawiła się przy nim niewielka postać, wyciągnął tylko rękę z monetą. Ponieważ dziecko nie zainteresowało się szylingiem, zerknął na dół. Okazało się, że podszedł do niego ten sam kominiarczyk, co kilka tygodni temu. Przypomniało mu się, że chyba widział go wcześniej parę razy z daleka, ale nie zwrócił na niego uwagi.

- Dzień dobry panu - przywitało go dziecko i dotknęło palcami daszka czapki.

- Już późno, nie sądzisz? - spytał Tregaron.

Natychmiast jednak pożałował swej rozmowności, bo uświadomił sobie, że dzieci ulicy rzadko chodziły spać o normalnych porach. Zdziwił się, gdy chłopiec odpowiedział.

- Wrócę do domu zaraz po was, szlachetni ludzie. - Tracił ręką kieszeń spodni, w której zabręczały miedziaki. Niewątpliwie świetnie się zebrało - albo kradło - wśród opuszczających teatr gości. - Mama na mnie nakrzyczy, jeśli zaraz nie przyjdę.

- Masz mamę? - Tregaronowi wydawało się, że większość tych dzieci była sierotami, o ile to rodzice nie sprzedali ich do niewolniczej pracy. - A więc ona wie, gdzie jesteś? I co robisz?

- Pewnie. Ona wie wszystko.

- Nie wątpię. Jak ci na imię?

- Billy 'Arris, ale mówią na mnie 'Arris.

- Harrisie - Tregaron dał chłopcu gwineę zamiast szylinga -
najwyższy czas już wracać dziś do domu. Co ty na to?

- Pan też powinien wracać. Wygląda pan, jakby ktoś go kopnął
w ty...

- Dobranoc, Harrisie.

- Ja tak z dobrego serca.

- Dziękuję - wycedził Tregaron. - Zbytek łaski.

- Wcale nie.

Chłopiec uśmiechnął się szeroko i błyskawicznie zniknął w
ciemnej uliczce za teatrem.

Tregaron przywołał dorożkę. Pomyślał, że Harris niewiele
rozminął się z prawdą. Czuł się, jakby mu ktoś dziś porządnie złoił
skórę. Gdy wsiadał do powozu, plecy przeszył mu dotkliwy ból.

Stwierdził filozoficznie, że nawet najlepiej opracowany plan
może spalić na panewce. Opadły go wątpliwości, czy słusznie zrobił,
przyjeżdżając do Londynu. Może lepiej byłoby wrócić do Walii? A
może, i ten pomysł spodobał mu się najbardziej, powinien zrobić coś,
czego nikt się po nim nie spodziewa?

Cate spoglądała zadowolona na odnowiony sufit w głównej sypialni. Kosztował ich cały tydzień pracy. Ze ścian zniknął czerwony jedwab i wszelkie złocenia, a z sufitu niezliczone aniołki. Białe na razie ściany miały być pomalowane na błękitno i dobrze oświetlone. Będą ozdobione wybranymi przez markiza obrazami. Na pewno spodoba mu się nowy wystrój sypialni, bo i czemuż by nie? Dostawał od Buchananów wspaniały dom.

Przez ostatnie dwa tygodnie Cate - nie bez trudu - udawało się unikać Tregarona, mimo że siostra i lady Leverham ciągle nalegały, by brała udział w rozmaitych przyjęciach i wieczorkach, a markiz często wpadał do rezydencji z niezapowiedzianymi wizytami. Po mistrzowsku migła się od spotkań towarzyskich. Żeby nie urazić Lucy i lady Leverham, miewała bóle głowy, zębów, a raz nawet zmogło ją przeziębienie, na szczęście katar i kaszel męczyły ją tylko nocą. Aby nie stanąć twarzą w twarz z Tregonem, ukrywała się w szafach i garderobach. Jednego dnia o mało nie wyskoczyła przez okno, gdy usłyszała, jak wołał MacGouna. Znajdowała się wtedy na drugim piętrze, on na parterze.

Gdy tylko serce przestawało jej walić jak szalone, wstydziła się swoich reakcji i przypisywała je przemęczeniu.

Powoli dom zmieniał wygląd. Każdego dnia robotnicy dodawali gdzieś kawałek kolorowego szkła, lakierowali coś albo malowali. Cate była coraz bardziej dumna z projektu i jego wykonania. Choć

pozostało im jeszcze mnóstwo pracy, przeczuwała, że gdy skończą, trudno jej będzie rozstać się z domem, w którego odnowę włożyła tyle serca.

Pomyślała, że lepiej jest zrobić swoje i pod koniec dnia zapomnieć o wszystkim. Wiedziała, że to słuszna filozofia, ale nie potrafiła wmówić sobie, że tylko dlatego unika lorda Tregarona. Raczej wstydziła się, że był świadkiem przykrego zajścia z Fremontem. Woląca nie mieszać spraw prywatnych z interesami. Przede wszystkim chciała je ukryć przed badawczym spojrzeniem przenikliwych, bursztynowych oczu swojego pracodawcy. Bo nim właśnie był dla niej, nawet jeśli nie zdawał sobie z tego sprawy. Pracodawcą, nikim więcej.

Gryzły ją wyrzuty sumienia, że oszukuje siostrę, ale nie okazały się na tyle silne, by poddała się jej namowom. Zgodziła się uczestniczyć zaledwie w kilku kameralnych spotkaniach. Dwa razy była w teatrze i raz na wieczorku muzycznym u lady Leverham. Nie potrafiła też odmówić sobie nocnego wyjścia do Vauxhall Gardens. W ciemnościach czuła się bezpiecznie. Bez obawy, że zostanie zauważona, obserwowała przybyłych na pokazy ludzi. Wyglądało na to, że cały Londyn, sprzedawcy, służący i arystokraci, świetnie się bawi. Wszyscy zastanawiali się tylko nad jednym - który spektakl obejrzyć jako następny.

Cate z otwartymi ustami wpatrywała się w nieustraszonych akrobatów. Na widok rozświetlających niebo sztucznych ogni krew szybciej krążyła jej w żyłach. Na chwilę zapomniała o dręczących ją troskach i śmiała się w głos. Razem ze stryjem Angusem zjadła za

dużo cukierków i oboje wrócili do domu nieco zieloni na twarzach. Lord Leverham wypił z Ambrose'em tyle szampana, że stryj musiał zanieść go do powozu. Dopiero grupa wesołych żołnierzy odnalazła Galahada wśród jaskrawo ubranych kobiet lekkich obyczajów - fakt ten zataili przed lady Leverham - i jako zapłatę zażądali jedynie uśmiechów młodych dam. Większość zaczęła adorować Lucy, ale dwóch ułożyło się u stóp Cate i nie ruszyło stamtąd aż do końca pokazów. Koniec końców była to magiczna noc.

Teraz w pełni sezonu ciągle się coś działo, każdy wieczór można było spędzać na jakimś przyjęciu czy spotkaniu towarzyskim. Ku gorzkiemu rozczarowaniu Lucy prestiżowe zaproszenie do Almacka nie nadeszło, ale dziewczyna i tak nie narzekała na brak rozrywek. Wszędzie indziej jej obecność była jak najbardziej pożądana.

Stryjowie tymczasem często odwiedzali lorda Leverhama. Twierdzili, że w rezydencji lorda znajduje się nieporównywalny z żadnym innym pokój do gier i świetnie zaopatrzona piwnica. Niekiedy sami wypuszczali się do miasta w poszukiwaniu własnych rozrywek. Uwolniona od jakichkolwiek obowiązków towarzyskich Cate chodziła zwykle spać o dziewiątej. Prawie wcale nie odczuwała, jak cichy i pusty wydawał się wówczas dom. Prawie wcale.

Lucy większość czasu spędzała z Leverhamami i Hythe'ami. Przemiała Sibyl Hythe każde zaproszenie kierowała także do Cate. Młoda księżna na pewno uważała starszą pannę Buchanan za dziwaczkę i nudziarę, ale zawsze gdy się spotykały, odnosiła się do niej ciepło i serdecznie. Już za to Cate chętnie by ją wyściskała.

W te popołudnia, których Lucy nie spędzała z żadną z dam, korzystała z obecności wiekowej, ukrytej w zacisznym kąciku ciotki Rebeki. Cate po powrocie do domu nieodmiennie zastawała w nim nowy bukiet intensywnie pachnących kwiatów, a często i oddanego wielbiciela lub dwóch, mimo że dawno już minęła godzina, do której wypada składać wizyty. Często też spotykała młodzieńców w korytarzu, a nawet na dworze, gdzie czekali, aż Lucy wróci do domu. Na początku współczuła tym biedakom i zapraszała ich na jakiś poczęstunek, szybko jednak zarzuciła ten zwyczaj. Młodzieńcy zawsze zachowywali się nienagannie, ale wcale nie chcieli rozmawiać ze starszą panną Buchanan. Cate też zresztą po ciężkim dniu pracy w rezydencji Tregarona miała jedynie ochotę wykąpać się, zjeść coś i odpocząć. Zaczęła więc ignorować adoratorów siostry.

Obecnie Lucy darzyła czulszymi względami przystojnego markiza, lorda Auberta. Raz była z nim na przejażdżce, kilkakrotnie towarzyszył jej na różnych przyjęciach. Cate знаła lorda z widzenia. Elegancki, bogaty, utytułowany i dobroduszny. Jednak, jak doniosła im lady Leverham, Aubert nie spieszył się do małżeństwa, zresztą ku rozpaczy ojca, księcia Earith. Co dziwne, Lucy wcale się nie przejęła tą nowiną i dalej bawiła się w najlepsze.

W tej chwili zwiedzała muzeum z lordem Althorpe'em, który, jak twierdziła, świetnie nadawałby się na męża, gdyby nie fakt, że był biedny jak mysz kościelna. Dla Cate oczywiście nie miało znaczenia, czy mężczyzna posiada swój powóz i dom w mieście, natomiast Lucy przykładła ogromną wagę do takich spraw. Uważała, że od czasu do czasu miło jest wybrać się do biblioteki, ale dżentelmen powinien

posiadać wystarczające środki, aby wykupić całą księgarnię, jeśli tego zapragnie.

Gdy wspominała Tregarona, to wyłącznie z westchnieniem żalu, że jest taki stary i poważny. Cate powstrzymywała się od komentarzy.

Dziś wieczorem miał się odbyć bal u Tarrantów. Lucy wybierała się na niego z Hythe'ami. Cate musiała jak najszybciej znaleźć wymówkę, jeśli nie zamierzała skorzystać z zaproszenia. Miała zaszczyt poznać wicehrabiego Tarranta i jego żonę. Oboje zrobili na niej jak najlepsze wrażenie: mili, serdeczni, jednym słowem - uroczy. Lady Tarrant bardzo przypominała Cate Sibyl Hythe.

Dlatego ciągle wahała się, czy nie pójść na bal. To prawda, że prawie cała śmietanka towarzyska Londynu zjawi się u Tarrantów, a ona wolała nie natknąć się na Fremonta. Ich poprzednie spotkanie nie okazało się aż tak straszne, jak się tego obawiała - głównie dzięki interwencji markiza - ale mimo to nie chciała go powtórzyć. Lepiej nie prowokować losu - taką miała dewizę.

- Wychodzę, panno Cate. - Cate wyrwał z zadumy głos MacGouna. - Proszę zabrać rzeczy, odprowadzę panią do domu.

Pokręciła głową.

- Muszę jeszcze sprawdzić kilka projektów. Widziałam tu gdzieś stryja Angusa. Pójdę z nim.

Nadzorca chrząknął niezadowolony.

- Za ciężko panienka pracuje.

- Nie tak ciężko jak twoi robotnicy. Świetnie się spisują.

Wygląda na to, że skończymy przed terminem.

MacGoun szybkim spojrzeniem omiół pokój.

- Tak, tak, nieźle im idzie - oznajmił. Cate poznała go na tyle, żeby wiedzieć, iż tymi kilkoma słowami mężczyzna wyraził najwyższy zachwyty. - Całkiem nieźle. - Nałożył czapkę na przerzedzone włosy. - Ma pani dwie minuty, żeby zmienić zdanie.

- To bardzo miłe z twojej strony, Mac, ale naprawdę wolę poczekać na stryja.

- Jak pani sobie życzy. Dobranoc, panno Cate. Proszę się nie dać tu trzymać do rana.

Cate uśmiechnęła się ciepło, gdy nadzorca ciężkim krokiem opuszczał pokój. Może nie poruszał się z wdziękiem, ale za to miał dobre serce. Martwił się o nią bardziej niż stryjowie. W gruncie rzeczy wcale nie była pewna, czy Angus jest w rezydencji. Jakiś czas temu zajął mały, słoneczny pokoik w tylnej części domu i naznosił do niego gliny, gipsu i sporo rzeźbiarskich przyrządów. Cate jeszcze nie wiedziała, co dzieło stryja ma przedstawiać, ale Angus sprawiał wrażenie zadowolonego w ciągu tych kilku godzin, które co tydzień spędzał w pokoiku. Nie mógłby też w znaczący sposób utrudniać pracy robotnikom, gdy rozpoczną odnowę na niższym poziomie budynku. Obaj bracia chcieli jak najszybciej uporać się z nudnymi obowiązkami - choćby nie wiem jak ograniczonymi - w rezydencji, żeby oddawać się swoim ulubionym zajęciom. W gruncie rzeczy Cate im współczuła.

Jeśli stryj nadal rzeźbił, wstąpi po niego, gdy będzie wychodzić. Jeśli nie, po prostu wróci sama. Nieraz musiała to robić, więc po prostu jak zwykle opuści dom tylnym wyjściem przez ogród.

Sprawdzenie projektów pozostałych sypialni nie zajęło jej dużo czasu. Monsieur Henri des-Jardin z Piccadilly, którego prawdziwe nazwisko brzmiało Henry Gordon z Aberdeen, powinien przyjechać w ciągu najbliższego tygodnia z tkaninami, z których dobierze się zasłony, kapy na łóżka i obicia mebli. Później, gdy pozostałe pokoje przestaną wyglądać jak po przejściu tornada i widać w nich będzie rękę Buchananów, do rezydencji przybędzie Archibald Stewart, handlarz dywanów z ulicy Bond, James

Wallace ze srebrnymi kandelabrami i John Paul MacQuarrie z projektami kryształowych żyrandoli.

Stryj Ambrose miał pomalować jedną ze ścian -tylko jedną - pod ścisłym nadzorem Cate. Zgodziła się, żeby ścianę w sali balowej ozdobiła mitologiczna scena, ale pod warunkiem, że nie będzie w niej rzezi. Razem uzgodnili, że będzie to scena dionizyjska: bóg pije wino, Pan gra na dudach, sylfy tańczą. Ambrose już przemyślał, czyje wizerunki wykorzysta w obrazie. Cate miała jedynie nadzieję, że jeśli następca tronu kiedykolwiek zaszczyci dom Tregarona swoją obecnością, nie oburzy się na widok swojej twarzy wieńczącej ciało centaura.

Angus tymczasem rzeźbił coś w tajemnicy przed wszystkimi. Wspominał o hołdzie. Jeśli dzieło miało przedstawiać jego obecnego pracodawcę i być czymś większym niż popiersie, Cate mogła się tylko modlić, żeby stryj odstąpił od surowych klasycznych reguł i dodał przynajmniej listek figowy.

Angus nie przedstawił swojego pomysłu markizowi, ale Cate na razie nie zaprzętała sobie tym głowy. Stryjowie oddawali się temu, co

lubią najbardziej, a ich dzieła, podobnie jak dywany, kryształ i srebro oferowane przez ich starych przyjaciół, świetnie pasowały do nowego wystroju rezydencji.

Choć Henry Gordon, Archie Gulasz, Jem Wallace i Jackie MacQ obecnie mieszkali w Londynie i byli rozchwytywani przez bogatych arystokratów, dla Buchananów na zawsze pozostali starymi kumplami ze Szkocji. Lord Tregaron nawet nie zdawał sobie sprawy, jakie miał szczęście, że zatrudnił właśnie Buchananów.

Cate uśmiechnęła się do siebie i wyszła na korytarz. Przy schodach zatrzymała się i położyła dłoń na pięknej, stylowej poręczy, która wiała się w dół aż do parteru. Obecnie w większości nowoczesnych domów instalowano raczej delikatną mahoniową poręcz wspartą na malowanych, żelaznych prętach o skomplikowanych kształtach, ale Cate za nic nie chciała niczego takiego zamontować w rezydencji Tregarona. Nie było takiej siły, która zmusiłaby ją do usunięcia pełnej gracji, masywnej dębowej poręczy, która mogła w nienaruszonym stanie przetrwać jeszcze sto lat.

Na wyjątkowo dobrym gatunkowo i drogim dębie musiały odcisnąć się setki dłoni i, wesoło pomyślała Cate, dziecięcych zadków. Ta poręcz była wręcz stworzona do zjeżdżania.

Stała u szczytu schodów i spojrzała w dół. Oczywiście nikogo nie dostrzegła. Zebrała spódnicę, usadowiła się na poręczy, odepchnęła i ruszyła. Była to jedna z jej wielu wad, ale tej nigdy nie próbowała wykorzystać.

Podróż trwała dłuższą chwilę. Zaparło jej dech w piersiach, gdy nabierała prędkości na wypolerowanym drewnie. Kiedy zbliżyła się do znajdującego się na dole poręczy kwiatonu, pomogły jej wrodzona odwaga i umiejętności, które szlifowała latami jako dziecko. W ostatnim momencie chwyciła kwiaton w kształcie żołędzia na tyle duży, że mogła go objąć obiema dłońmi i, wykorzystując go jako punkt zaczepienia, w pędzie zeskoczyła na ziemię. Poniosło ją prawie dwa metry od podnóża schodów.

Nie było to jej najlepsze lądowanie. Twardo uderzyła stopami o ziemię i sporo namachała się ramionami, żeby zachować równowagę. Po kilku chwiejnych krokach wpadła na obitą boazerią ścianę. W pierwszej chwili gdy poczuła, że drewno się cofa, pomyślała, że coś zniszczyła. Zaraz jednak odkryła prawdę.

Pojedyncza deska w dolnej części ściany okazała się drzwiami do niewielkiego kredensu. Takie schowki były dość popularne w londyńskich rezydencjach, ale ten Cate zupełnie przeoczyła, mimo że przecież oglądała dokładnie wszystkie pomieszczenia, a w dodatku niejednokrotnie ukrywała się w szafach i garderobach. Nachyliła się i zajrzała do środka.

Wewnątrz znajdował się tylko jeden przedmiot - obraz w ozdobnej ramie. Stał oparty o ścianę i nie widać było, co przedstawia. Cate stwierdziła, że płótno musi pochodzić albo z salonu, albo z jadalni, bo te pokoje były najbliżej. Zaciekawiona wyciągnęła je na zewnątrz.

Był to portret młodej kobiety, zielonookiej blondynki o różanych ustach rozchylonych w tajemniczym uśmiechu. Kobieta zaskakiwała

nieprzeciętną urodą do tego stopnia, że Cate poczuła coś, co rzadko ją nękało. Zaczęła żałować, że Mary Buchanan nie przekazała jej choćby częściowo arystokratycznego czaru, który sama posiadała.

Ze stroju kobiety trudno było odgadnąć, kiedy została namalowana. Równie mało pomocna okazała się fryzura. Najprawdopodobniej portret powstał w ciągu ostatnich trzydziestu lat. Mistrzowskie studium, na pewno nieziemsko drogie. Cate usłyszała za sobą kroki.

- Stryju - zawołała - chodź tu i zobacz. To może być Reynolds.

- Prawdę mówiąc, to sir Thomas Lawrence. Reynolds był wtedy... nieosiągalny.

Przestraszona głosem, którego nie spodziewała się usłyszeć, Cate upuściła obraz.

- Lord Tregaron!

Odwróciła się i zobaczyła stojącego w progu markiza.

- Panno Buchanan - przywitał ją.

Jak zwykle przywdział ciemne kolory i nieodzowną surowość.

W popołudniowym świetle wyglądał na zmęczonego. W przeciwieństwie do swego pana Gryffydd był bardzo zadowolony. Nie pierwszy raz Cate pomyślała, że pies i pan tworzą dziwną parę. Zastanawiało ją, co takiego połączyło przyjaznego, radosnego zwierzaka z tym mrocznym mężczyzną.

- Chyba mogłem to schować gdzieś indziej. - Tregaron wskazał na portret. - To znaczy powinienem był.

Cate nie bardzo zrozumiała to niejasne stwierdzenie.

Niespodziewanie uświadomiła sobie jednak coś innego.

- To pańska żona - oświadczyła. Tregaron kiwnął głową.
- Belinda. Portret powstał w roku, w którym się zaręczyliśmy.
- Jest... Była bardzo piękna.

Markiz uśmiechnął się ironicznie - albo smutno.

- Tak. Była. Bardzo piękna.
- Obraz jest wspaniały. Nie ma powodu żałować, że sir Joshua był... - nie mogła sobie przypomnieć słowa, którego użył Tregaron.
- Martwy, panno Buchanan. Reynolds zmarł dużo wcześniej.

Nie dając Cate czasu, żeby usunęła się z drogi, podszedł do schowka i wrzucił do niego portret.

- Czy pani szuka tu rozrywek? Zażenowanie, które pojawiło się na twarzy Cate, szybko zastąpiła... irytacja. Najwyraźniej rozdrażnił ją swoim pytaniem albo tym, że przyłapał ją na myszkowaniu po domu. Jakkolwiek by na to patrzeć, był u siebie. A ona nie była ani jego pracownikiem, ani gościem. Dziwna kobieta, pomyślał.

Podciągnęła swoje długie nogi i wstała. Nie sądził, by przyjęła jego pomoc, ale mimo to wyciągnął do niej rękę. Nie skorzystała oczywiście. Gdy wyprostowała się, głową sięgała mu do nosa. Uniosła dumnie brodę i oznajmiła:

- Nie zamierzałam otwierać tego kredensu, lordzie, ani żadnego innego. Zrobiłam to niechcący.

- Niechcący - powtórzył z niedowierzaniem. Zaczerwieniła się, bo uświadomiła sobie, jak mało wiarygodnie musiało zabrzmieć to wytłumaczenie.

- Uderzyłam w deskę.

Tregaron westchnął. Przez ostatnie dwa tygodnie na wiele sposobów wyobrażał sobie ich spotkanie, ale coś takiego nie przyszło mu do głowy.

- Cate - powiedział zmęczony - mnie naprawdę nie interesuje...

- Trafiłam w nią, gdy zeskoczyłam z poręczy.

- Słucham?

Teraz jej twarz nabrała koloru, który swobodnie mógł konkurować z ognistymi włosami.

- Zjeżdżałam z poręczy i niefortunnie wylądowałam.

- Ach, tak, niefortunnie pani wylądowała. - Podniósł wzrok na wijącą się balustradę i skrzywił się. - Często pani zjeżdża z poręczy?

- Teraz nie, ale jako dziecko... A pan nie?

- Nie - uciał.

- Nigdy?

- Nigdy!

Cate wyglądała na zaskoczoną. Nie wiedział, czy bardziej jego tonem, czy rewelacją, którą od niego usłyszała. Musiał jednak przyznać, że potrafiła się taktownie zachować, bo nie ciągnęła dłużej tego tematu. Wzruszyła tylko ramionami.

- Cóż, ja miałam bujną wyobraźnię. Ześlizgiwałam się z jednych rzeczy, wspinałam na inne, szukałam skarbów i wrózek. Z wiekiem zmądrzałam.

Tregaron poczuł, że Cate rozbraja go swoimi słowami. Oczarował go także sposób, w jaki uniosła brodę, jakby czekała na atak z jego strony.

- A co ze smokami, panno Buchanan? Cate spojrzała na niego zdziwiona.

- Nie rozumiem.

- Może Szkocja słynie z bajkowych stworów, ale Walia ma swoje smoki.

Z trudem powstrzymał uśmiech, gdy Cate prychnęła lekceważąco.

- Nie wierzy pani w smoki?

- Skrzydlate stworzenia z pazurami pokryte łuskami? Chętnie pożerające odważnych rycerzy i bezbronne dziewice?

- Przyznaję, że nie brzmi to rozsądnie. Ale czy wierzylibyśmy w anioły, gdyby nie nauka kościoła?

- Nie, ale one nie są groźne. Zresztą kościół nie mówi nic o smokach.

Tregaron docenił iskrę wyzwania, która zapłonęła w jej oczach.

- Święty Jerzy - odparł i kolejny raz wyobraził sobie Cate w zbroi z mieczem w dłoni.

- Nie udowodniono, że to autentyczna postać.

- Być może - odparł uprzejmie - ale nie udowodniono, że nie istniał smok.

- Wierzy pan w smoki? - spytała z niedowierzaniem Cate.

Tylko te w ludzkiej skórze, chciał odpowiedzieć. Było jednak coś tak niezwykłego, niemal magicznego w ich rozmowie, że zmienił zdanie.

- Mieszkam w Walii. Jak mógłbym śmiać się z legend? Czy Anglicy śmieją się z opowieści o rodzinie królewskiej? Teraz jednak

chciałbym zamienić parę słów z pani stryjami. Czy są gdzieś w pobliżu?

Zauważył wahanie Cate.

- Stryj Angus jest chyba na dole - odparła szybko. - Jeśli zechce pan poczekać, pójde go poszukać.

Pospiesznie zebrała się do odejścia.

- Cate.

- Tak, lordzie? - Zatrzymała się w połowie schodów, ale nie odważyła się podnieść wzroku i spojrzeć mu w twarz.

W co wierzy pani teraz, jeśli nie we wróżki? chciał zapytać. O czym pani śni? zaciekał się niespodziewanie.

- Pójde z panią.

- Och, nie - zaprotestowała. - Nie ma potrzeby...

Markiz jednak już podążał za nią. Po chwili wahania Cate ruszyła przed siebie. Dom wydawał się dziwnie cichy. Tregaron przyzwyczał się już, że gdy przyjeżdżał, w rezydencji rozbrzmiewało stukanie młotów i zgrzytanie pił, a czasem także urywek jakiejś szkockiej melodii, bo większość robotników pochodziła ze Szkocji. Teraz panowała absolutna cisza i przypomniał sobie, jakie spokojne było zawsze jego mieszkanie. Zawsze, gdy Belinda nie miała gości. Służący chodzili na paluszkach i mówili szeptem. On sam zamykał się w bibliotece ze swoimi książkami.

Nie wiedział, kiedy zaczął tęsknić za normalnym, głośnym domem, którego nigdy nie miał.

Gdy znaleźli się w korytarzu, zauważył, że drzwi wejściowe są uchylone.

- Nierozsądnie - mruknął i zbliżył się do nich, żeby je zamknąć.

Cate szła przed nim, więc to jej stopa trafiła na kawałek papieru. Gdy podniosła nogę, wyraźnie dostrzegł nagryzmołone na nim zdanie. Oszukano cię.

Pochylił się i podniósł papier. Odwrócił go, ale nic więcej na nim nie znalazł. Zmiał kartkę w dłoni.

- Przeklęte tchórze - warknął.

Nie miał pojęcia, kto zostawił tę wiadomość ani co oznaczała, ale jedno było jasne. Informacja brzmiała groźnie. Oszukany. Zwiedziony, że może wrócić do życia, które niegdyś wiódł...

Podniósł głowę. Cate bacznie mu się przyglądała. Pomyślał, że ma oczy błękitne jak morze. Ciekawe, czy gdyby знаła prawdę o jego przeszłości, patrzyłaby na niego z nienawiścią?

Zostałaś oszukana, moja droga.

Nie oczekiwał, że jego dawni przyjaciele i sąsiedzi będą mówić mu, co o nim sądzą, prosto w oczy. Z drugiej strony nie spodziewał się też liścików zawierających groźby.

Stwierdził, że dobrze by mu zrobił kieliszek brandy i godzinka z najnowszymi wierszami Southeya.

- Czy mogę odprowadzić panią do domu? - spytał. Cate spojrzała na niego zdziwiona.

- Nie, nie, dziękuję. Poczekam na stryja. Ja... Czy nie chciał pan z nim porozmawiać?

Czyżby? Tregaron wzruszył ramionami.

- Widziałem już wystarczająco dużo. Więc... -Tak?

- Pójdę już. - Otworzył drzwi, zawiesił sobie laskę na przedramieniu i poszukał w myślach melodii, którą mógłby gwizdać po drodze. - Do widzenia, panno Buchanan.

Do diabła z gwizdaniem, pomyślał. Jak najszybciej wróci do Albany, do swoich książek, brandy i innych rozrywek, które przyniesie wieczór.

Przez chwilę czuł na sobie wzrok Cate. Potem usłyszał trzask zamykanych drzwi.

RS

Wśród braci ciotecznych Tregarona Jason Granville, wicehrabia Tarrant, pozytywnie się wyróżniał. Gdy markiz przypomniał sobie wspólne mile spędzone chwile z dzieciństwa, nabrał ochoty, żeby pójść na organizowane przez kuzyna przyjęcie. Jego nastrój znacznie poprawiło kilka kieliszków brandy, którymi uraczył się wcześniej. Teraz stał oparty wygodnie o ścianę w eleganckiej rezydencji Tarranta przy Berkeley Square z wybornym szampanem w dłoni i sporą ilością alkoholu w żołądku. Był zadowolony.

Oczywiście, pomyślał ironicznie, pozory mogą mylić.

Gospodarz i jego żona byli czarujący. Mogli to słowo dodać do swojego rodzinnego herbu. Tregaron z babką zostali zaproszeni na małe przyjęcie przed balem. Ciepło ich przywitano i serdecznie się nimi zajęto. Tak, sezon rozkręcał się na dobre. Kto wie, może mimo wszystko uda mu się osiągnąć cel? Już ponad godzinę był na przyjęciu i, o dziwo, jeszcze nie wyrywał się do domu.

Odprowadził babkę, może nie tak uroczo, jak pozostali członkowie rodziny, ale bardzo rozbawioną, do pokoju gier. Ostrzegł ją dobrotliwie, choć surowo, by nie pozbawiła pozostałych graczy wszystkich pieniędzy. Zatańczył potem z gospodynią, z Sibyl Hythe i Elspeth Vaer, na co jej matka patrzyła niezbyt przychylnym wzrokiem. Najwyraźniej lady Vaer w przeciwieństwie do męża nie aprobowwała tego związku. Tregaron miał ochotę pocieszyć ją, że on też nie. Z łatwością wytrwał do końca utworu, mimo że panna Vaer

nie powiedziała nic interesującego przez cały ten czas. Gdy zeszli z parkietu, przyniósł lemoniadę, a potem odprowadził partnerkę do jej chichoczących przyjaciółek. Kilka przyglądało mu się z zaciekawieniem. Obiecał sobie, że wkrótce odpłaci im tym samym.

Pomyślał, że właściwie mógłby zatańczyć z Elspeth jeszcze raz, na wypadek gdyby okazała się dziewczyną, która dopiero po jakimś czasie ukazuje swoje prawdziwe oblicze. Z drugiej strony obawiał się, że dwa tańce w ciągu jednego balu zasugerują intencje, których nie posiadał.

Leniwym wzrokiem przesunął po zebranych gościach. Nie szukał oczywiście nikogo w szczególności, ale uważnie sprawdził wszystkie zakamarki pomieszczenia. Wielu mieszkańców Mayfair zjawilo się na przyjęciu. Granville'owie stanowili wyjątkowo liczną rodzinę, ale mimo to w ich domu znalazło się miejsce nie tylko dla krewnych.

- Dużo trunków pochłonałeś, Colwinie? - rozległ się znajomy głos.

Spojrzał w dół.

- Niewystarczająco. Dlaczego?

- Uśmiechałeś się. Zaniepokoiłam się.

- Babciu, ty się nigdy nie niepokoisz.

- Hmm. Rzeczywiście. - Babka sprawnie chwyciła kieliszek z tacy przechodzącego obok lokaja. Pociągnęła z niego kilka łyków, opróżniając naczynie do dna. - Więc kim ona jest?

- Kto?

- Proszę, Colwinie. Tępotą nie pasuje do ciebie w równym stopniu co jowialność. Kim jest ta nieobecna tu dziś kobieta, która sprawia, że się uśmiechasz i przeczesujesz wzrokiem każdy centymetr parkietu?

- Ciekawa przenośnia - mruknął i utkwiał wzrok w jednym punkcie.

- Raczej nie. Robisz uniki - zauważyła i w zamyśleniu popukała brzegiem pustego kieliszka o dolną wargę. - Fascynujące. Czy jest panną?

- Babciu!

Markiza wzruszyła lekceważąco ramionami.

- Cóż, nigdy nie wiadomo. Zawsze uważałam, że mężczyźni więcej myślą o kochankach niż o żonach.

- Babciu, daj spokój!

- Na litość boską, Colwinie. Kiedy ty straciłeś poczucie humoru? Ja po prostu chcę wiedzieć, czy ta kobieta da mi wnuki, które będą mogła publicznie uznać.

Niespodziewanie Tregaron oczami wyobraźni ujrzał długonogie, ognistowłose, piegowate dzieci hasające po nieskazitelnie czystym domu babki.

- Boże, dopomóż.

- Słucham?

Markiz potrząsnął głową.

- Nieważne. Obiecuję ci, babciu, że jeśli kiedykolwiek popełnię ten nieszczęsny uczynek i powołam do życia kolejnych St. Clair-Wrightów, będziesz je mogła uznać z czystym sumieniem.

Babka westchnęła.

- Zachwyca mnie entuzjazm, z jakim podchodzisz do tej sprawy, Colwinie.

- Urodziłem się, by służyć. - Tym stwierdzeniem zakończył niewygodny temat. - Ile wygrałaś?

- Nie warto nawet wspominać. Czy chodzi o pannę Vaer? Tregaron udał, że nie słyszy pytania.

- Ile dokładnie?

- Kilka gwinei. Mam nadzieję, że nie wpadła ci w oko żadna z córek Earitha.

- Lady Zilvia jest cudowna...

- Ona może i tak, ale jej ojciec...

- I zamężna. Lady Chloe jest nadal dzieckiem. Żadnej nic nie grozi z mojej strony. Komu odebrałaś te kilka gwinei? - Zawsze lepiej było znać takie szczegóły na wypadek, gdyby strona przegrana nie umiała przegrywać z honorem. - Mam nadzieję, że nie lady Broadford.

- Ona oszukuje. Nie gram już z nią. O Boże, nie. Powiedz, proszę, że nie chodzi o jej córkę.

Tregaron dawno temu stracił wszelką ochotę do żartów, ale niespodziewanie odzyskał ją teraz.

- Lady Theresa jest wspaniałą osobką - oznajmił.

- Ona flirtuje.

- Ale z jakim dowcipem i inteligencją.

- Przecież ona miele ozorem jak najęta.

- Ale jest prześliczna. Wprost niepowtarzalna.

- Ma rude włosy! - jęknęła wymownie babka. -

O Boże. Przecież wiesz, że nie lubię rudowłosych kobiet. Jak ja to zniosę?

- Babciu, uspokój się - poradził Tregaron, poklepując ją po plecach. - Wszystko wskazuje na to, że lady Theresa mi odmówi.

- Och, Colwinie, czyżbyś się jej oświadczył?

- W bardzo nieformalny sposób. Wygląda na to, że przyjęła moją propozycję jako zaproszenie na przejażdżkę łódką po rzece.

Lady Tregaron zmrużyła oczy.

- Czy ty sobie ze mnie nie kpisz, chłopcze?

- Ja? Co... - urwał, zamrugał z niedowierzaniem i niezbyt przekonująco zakasłał, żeby ukryć śmiech. - Panno Buchanan.

Właśnie przechodziła obok nich. Najwyraźniej nie zauważyła go. On natomiast wypatrzyłby ją nawet na polu bitwy, na którym rozgrywałaby się walka.

Kto panią ubiera, Cate? przemknęło mu przez myśl, ale natychmiast uświadomił sobie, że wcale go to nie obchodzi. Cate była jedyna w swoim rodzaju i jej stroje nie miały tu nic do rzeczy.

Dziś wieczór założyła suknię w kolorze mchu ze zbyt dużą ilością koronki, która przypominała pajęczynę. Ktoś - oby nie ona - próbował ukryć jej piegi pod grubą warstwą pudru. We włosy miała wpiętą ozdobę w kształcie kwiatu. Ogólnie rzecz biorąc, wyglądała, jakby przed chwilą uciekła z nie najlepszej adaptacji „Snu nocy letniej”.

- Panno Buchanan - powtórzył.

Dopiero teraz się zatrzymała. Sposób, w jaki wyprostowała ramiona, kazał mu podejrzewać, że słyszała go już za pierwszym razem. Podejrzenie przerodziło się w pewność, gdy odwróciła się do niego powoli.

- Lordzie Tregaron. - Dygnęła nieznacznie. Markiz o mało nie skrzywił się z bólu, gdy babka dyskretnie, ale mocno wbiła mu w bok kościsty łokieć.

- Babciu, pozwolisz, że ci przedstawię pannę Catherine Buchanan z Argyll. Panno Buchanan, moja babka, lady Tregaron.

Cate ukloniła się uprzejmie. Markiza wykorzystała to natychmiast. Gdy dziewczyna pochyliła się, starsza pani położyła jej na ramieniu swój wachlarz, zatrzymując ją w tej niewygodnej pozycji. Tylko tak mogła patrzeć Cate prosto w oczy.

- Bratanica architekta - mruknęła lady Tregaron. - Starsza, jak rozumiem?

- Tak, proszę pani - odparła Cate. Najwyraźniej nie tylko Tregaron miał w sobie coś ze smoka. Jego drobna, urocza babcia niewątpliwie też potrafiła zionąć ogniem. Cate stwierdziła, że chyba mogłaby polubić tę kobietę. Na razie jednak była zbyt przerażona. - Moja siostra Lucy...

- Jest tą piękną. Tak, tak, wiem. - Lady Tregaron uniosła do oczu ozdobne, filigranowe okulary z rączką. Dopiero po dłuższej chwili wypuściła je z ręki. Przedmiocik z brzękiem opadł na liczne naszyjniki. - Muszę przyznać, że wygląda pani bardzo oryginalnie. Nie jest chyba pani spokrewniona z Hepburnami?

- O ile wiem, nie.

- Byli książętami Bothwell - oznajmiła, jakby ta informacja mogła skłonić Cate do zmiany zdania. - Ten ród już wygasł.

- Niestety, lady Tregaron - odparła Cate - Buchananowie nie są spokrewnieni z tą rodziną.

- Szkoda. Ma pani w sobie coś z Hepburnów. Zawsze uważałam, że przydaje się być spowinowaconym z kimś znanym albo chociaż godnym uwagi. Rozprawianie na temat słynnych krewnych zwalnia z obowiązku opowiadania o sobie.

Coś błysnęło w brązowych oczach starszej pani, bardzo podobnych do oczu jej wnuka, i zniknęło, zanim Cate zorientowała się, czy było to oburzenie, znudzenie... czy coś innego. Odetchnęła głęboko.

- Obawiam się, że my, Buchananowie, za dużo czasu zastanawiamy się, jak sami możemy należeć do jednej rodziny, żeby rozważać dalsze powiązania.

Lady Tregaron spojrzała na nią zdziwiona.

- Wyjątkowa rodzinka, co?

- Niebezpieczna.

- Proszę mi powiedzieć, panno Buchanan, czy pani najbliżsi krewni są równie... inteligentni jak pani?

Cate zawahała się przez chwilę, po czym odrzekła odważnie:

- O wiele bardziej. Dlaczego inaczej nazywałabym ich niebezpiecznymi?

Oczy markizy znów rozbłysły. Zabrała wachlarz i pozwoliła Cate się wyprostować.

- A więc strzeż się, Londynie. - Zwróciła się do wnuka. - Idę namówić Lizzy Melbourne na partyjkę bakarata. Nie jest szczególnie dobra w karty, a ma dziś na sobie interesującą szmaragdową broszkę, która pasowałaby mi do kolczyków..

- Babciu...

- Zatańcz z panną Buchanan, Colwinie. Śmiem twierdzić, że będzie to dla ciebie ciekawe doświadczenie tańczyć z kobietą, która patrzy ci prosto w oczy. - Spojrzała do góry. - Ile ma pani wzrostu, panno Buchanan?

Cate poczuła, jak nieznacznie ugina kolana, i przeklęła w duchu swój słaby charakter. Jeszcze trzy lata temu to pytanie wcale by jej nie rozdrażniło.

- Chyba mam niecałe...

- Och, zresztą nieważne. Przecież ludzkiej postawy i tak nie da się zmierzyć w centymetrach. Nie deptaj jej po palcach, Colwinie - dodała i odeszła, zostawiając ich samych.

Niezręczną ciszę przerwał Tregaron.

- Czy mogę panią prosić?

Żadnych komplementów, ani słowa o przyjemności, honorze czy też innych zaszczytach, na które mężczyźni powołują się, zapraszając kobietę do tańca. Cate była zdecydowana odmówić, podobnie jak zamierzała przemknąć obok niego niezauważona kilka minut wcześniej.

Mimowolnie podsłuchiwała nonszalanckie wywody Tregarona na temat jakiejś tam lady, której planował się oświadczyć. Niechęć i niechętnie poznała również nieprzychylnie zdanie babki markiza na

temat rudych włosów. Niestety słyszała jedno i drugie i teraz wołała przenieść się w jakieś spokojniejsze miejsce, żeby ochłonać.

Zresztą co za różnica, pomyślała. Ilość pudru, którym obficie posypała ją lady Leverham, na pewno skutecznie kryła zaczerwienione policzki.

Cate wcale nie chciała przychodzić na dzisiejsze przyjęcie, szczególnie po tym, jak przeczytała liścik w korytarzu rezydencji Tregarona. Oszukano cię. Dobrze wiedziała, że ta wiadomość nie mogła mieć nic wspólnego z jej rodziną. Mimo to zdenerwowała się. W rezultacie całkiem zapomniała wymyślić jakąś wymówkę, żeby zostać w domu, i musiała towarzyszyć siostrze.

Kilka kieliszków szampana, które wychyliła zaraz po przybyciu na zabawę, dodało jej nieco odwagi. Gdyby pozwoliła sobie na jeszcze jeden, zapomniałyby o całej sprawie.

- Cate?

Wystarczyło, żeby zwrócił się do niej po imieniu i podał ramię. Jedno i drugie robił wcześniej, ale dziś nie potrafiła odmówić. Był bezpośredni i arogancki. Był także prawie zaręczony z jedną kobietą, a z duchem drugiej żył pod jednym dachem. Co najgorsze, w jakiś niewytłumaczalny sposób dał się... lubić, czym zupełnie wytrącił Cate z równowagi. Życie, pomyślała filozoficznie, nie powinno być takie skomplikowane.

W tej chwili jednak było jej wszystko jedno. Chciała tylko jednego - zatańczyć z nim.

Nie musiała patrzeć, żeby wiedzieć, że gdy tylko wyszli na parkiet, głowy wielu gości zwróciły się w ich kierunku. Czy

zawdzięczali to jego reputacji, czy też upudrowanej, nieznannej nikomu kobiecie w zielonkawym stroju, z którą włączył się do menueta? Kobiecie, którą kwadrans wcześniej, gdy zjawiła się na przyjęciu z lady Leverham, wzięto za jej płatną towarzyszkę?

Ta dobitnie wyszeptana uwaga, a potem śmiech zabolowały. Niewątpliwie chodziło o jej nazwisko i wygląd. Rzeczywiście mogła się bardziej postarać, ale...

Po co?

- Nie rozumiem.

Dopóki Tregaron nie zareagował, nie zdawała sobie sprawy, że wypowiedziała na głos swoje pytanie. Westchnęła i zastanowiła się nad szybką, inteligentną repliką.

- Mój wygląd wywołał komentarze wśród gości -odparła i uniosła dumnie brodę.

- Wcale mnie to nie dziwi - stwierdził Tregaron, wzruszając ramionami.

Cate nie chciała okazać, że uraziły ją słowa markiza. Dobrze wiedziała, że nie jest piękną, i nie trzeba jej było o tym dobitnie przypominać.

- A więc „po co”...?

- Wypowiedziałam to pytanie na głos nieświadomie, ale zastanawiałam się, po co mam hołdować modzie. Nie będę lepiej wyglądać po godzinie spędzonej u modystki, której francuski akcent jest równie naciągany jak jej stawki.

- Nie ma sensu, aby w ogóle zaprzętała sobie pani głowę takimi sprawami - uprzejmie odparł Tregaron, ale Cate zauważyła szybkie spojrzenie, którym obrzucił ją od stóp do głów.

- Nie lubię ulegać modzie - mruknęła.

- Ani ja.

Słowa te zabrzmiały szczerze, ale gdy Tregaron obracał się w tańcu, nie mogła nie docenić, jak dobrze leżał na nim modny strój. Czarny kolor świetnie mu pasował, podobnie jak krótkie bryczesy, odsłaniające kształtne łydki. Wiedziała, że nie powinna zwracać uwagi na takie szczegóły, ale ciągle myślała, jak dobrze byłoby Tregaronowi w plisowanej męskiej spódniczce, szkockim stroju narodowym. Surowa śnieżnobiała kamizelka, prosty węzeł krawata, elegancki łańcuszek do zegarka wysadzany szafirami... Wszystko to leżało na nim jak ulał.

- Nie mam wielu sukien - wyrwało jej się niespodziewanie - i nie potrzebuję więcej. Lady Leverham uparła się, żeby ubrać mnie w jakieś średniowieczne, powiewne szaty.

- Wymigała się pani, jak widzę.

- Stwierdziłam, że koronka wystarczy. - Ponuro spuściła wzrok.

- Wyglądała... całkiem przyzwoicie w katalogu. Średniowieczna szata nic by tu nie pomogła, ale lady Leverham była tak strapiona, że pozwoliłam jej się upudrować. Ona nie znosi moich piegów.

- Ach, tak?

- Lucy też. Moja siostra ma piękną... - Urwała zdeglustowana swoim zachowaniem. Paplała jak jakaś trzpiotka, a markiz słuchał jej

uprzejmie bez mrugnięcia okiem i uważał na kroki menueta za nich oboje.

Łaskawy, pełen wdzięku i atrakcyjny. Oczywiście, pomyślała złośliwie Cate, niektórzy ludzie sądzili, że był zdolny do zbrodni.

Zacisnęła zęby i postanowiła panować nad swoim językiem do końca tańca.

- Nie dokończyła pani zdania - grzecznie przypomniał jej Tregaron.

- Nie szkodzi - słodko uśmiechnęła się Cate i pomyliła kroki.

Jego dłoń natychmiast zacisnęła się mocniej na jej palcach. Cate uświadomiła sobie, że nawet gdyby obie stopy zaplątały jej się w koronce, markiz nie pozwoliłby jej upaść. Był wystarczająco wysoki i silny, żeby ją podtrzymać.

Z jakiegoś niezrozumiałego powodu zapiekły ją oczy.

Tregaron czekał cierpliwie, aż włączy się do tańca. Uśmiechnęła się promiennie.

- Zawsze uważałam, że niewiele tańców może równać się z menuetem.

Markiz uśmiechnął się swoim szerokim, czarującym, błyskawicznie znikającym uśmiechem.

- A ja wolałbym chodzić bosy po rozżarzonych węglach.

Cate już miała to odebrać jako kolejną zniewagę, ale Tregaron dodał:

- Niech pani nie udaje, Cate. Chyba nie sądzi pani, że uwierzę, iż lubi pani drobić krocuki w menuecie. Przecież pani przemierza ulice Londynu, jakby to były rozległe wrzosowiska.

-Ja...

- Czy pani tańczy walca?

- Ja... nie. Nigdy nie próbowałam.

- Szkoda. To taniec wymarzony dla długonogich Gracji. A mężczyźni, jeśli mają szczęście, mogą nieco bliżej przysunąć się do partnerek. - Uniósł do góry ich złączone dłonie. - Wiele straciliśmy, żyjąc z dala od stolicy, nieprawdaż?

Cate pomyślała rozmarzona, jak przyjemnie byłoby zatańczyć swojego pierwszego walca z mężczyzną, który nie przeraziłby się, że musi trzymać w ramionach kobietę jej wzrostu. Niestety orkiestra nie grała walca, a ona sama nigdy nie myślała o sobie jako o Gracji. W dodatku zawsze, gdy wykonywała bardziej swobodną sekwencję kroków, na przykład w czasie szkockiego tańca wirowego, spychała z parkietu innych, drobniejszych tancerzy.

- Lubię menuet - powiedziała zdecydowanie.

- Rozżarzone węgle - powtórzył.

Melodia powoli kończyła się. Gdy ucichła, Cate spodziewała się, że Tregaron odprowadzi ją gdzieś w pobliże lady Leverham i tam ją zostawi. I tak pewnie by się stało, gdyby nie stanęła jak wryta w połowie drogi.

Pewnym krokiem zbliżał się do nich olśniewający lord Fremont. Miał artystycznie potargane włosy i radosny uśmiech na twarzy. Najprawdopodobniej był najprzystojniejszym i najdowcipniejszym mężczyzną na przyjęciu. Cate nie wątpiła, że zamierzał zażądać kolejnego tańca. Była również przekonana, że miał złe zamiary.

Czy w tym pomieszczeniu nie można tańczyć? Tydzień po tym, jak zwrócił na nią uwagę, przy dybał ją w cieplarni posesji hrabiny Maybole. Cate nie rozumiała, dlaczego się do niej odzywał, i to w dodatku w taki czarujący sposób. Później uświadomiła sobie, że zaintrygował go jej zupełny brak zainteresowania jego osobą.

Nie wiedział, że obserwowała go, szukała cały czas spod przymkniętych powiek, zachwycona jego urodą.

Czy w tym pomieszczeniu można było tańczyć? Nie, odparła zdecydowanie, choć serce waliło jej jak młotem, gdy odezwał się do niej. W tym pomieszczeniu hodowano nieprzyzwoicie drogie rośliny, które w naturalnych warunkach nie występują w Szkocji. Fremont dłuższą chwilę wpatrywał się w nią bez słowa, po czym odrzucił do tyłu głowę i wybuchnął śmiechem. Cate, przekonana, że mężczyzna naigrawa się z niej, odpowiadała mu półsłówkami, dopóki sobie nie poszedł. Wiedziała, że raczej nie powinna spluwać na jednego z najbardziej hołubionych gości swojej wybuchowej pracodawczyni.

W najśmielszych marzeniach nie wyobrażała sobie, do czego wkrótce dojdzie - olśniewające uśmiechy, urywki wierszy, wielokrotne prośby o spotkanie pod palmami o północy...

Czy w tym pomieszczeniu nie można tańczyć?

Cate o mało nie potknęła się, gdy Tregaron niespodziewanie zmienił kierunek i odwrócił się plecami do zadowolonego Fremonta. Minęli grupkę bacznie obserwujących bal matron, lady Leverham i jej świtę, przecisnęli się przez zatłoczony pokój gier, przecięli niewielki salonik i przez oszklone drzwi wyszli na niewielki, pograżony w cieniu, zupełnie pusty balkon.

Z bijącym sercem dopadła poręczy.

- Lordzie - zaczęła, gotowa się wyrwać, protestować. Zaraz jednak zorientowała się, że nie ma takiej potrzeby. Tregaron dawno ją puścił i stał w odległości półtora metra, tuż przy drzwiach do pokoju. - Dziękuję - powiedziała szczerze. - Nie chciałam...

W nikłym świetle padającym z wnętrza salonu nie dało się dostrzec wyrazu twarzy markiza. Cate widziała jedynie, że oparł się o porośniętą bluszczem ścianę i skrzyżował ramiona na piersi. Mroczny, ale nie niebezpieczny, pomyślała.

Boże, została przechytrzona.

- Co wydarzyło się między panią i Fremontem, Cate? - spytał niskim, chrapliwym głosem, który przyprawił ją o gęsią skórkę.

- Skąd przyszło panu do głowy...

- Czy uważa mnie pani za idiotę?

- Nie - odparła zawstydzona. - Nie uważam.

- Co wydarzyło się między panią i Fremontem?

Cate zapragnęła natychmiast opowiedzieć mu wszystko ze szczegółami. Ale nie potrafiła, choć sam pomysł był bardzo kuszący. Nie dało się logicznie wytłumaczyć tej historii, musiałaby przedstawić się jako naiwną, głupiutką marzycielkę, którą wtedy była.

- Znaliśmy się krótko w Szkocji. Nie dbam o niego. Nic więcej.

- Zupełnie nic?

-Tak.

Odsunął się od drzwi tak szybko i płynnie, że wcale nie zauważyła, kiedy się poruszył. Nagle stanął po prostu w połowie drogi między nią a wejściem do salonu.

- Kłamczucha - powiedział łagodnie. - Ale proszę zachować dla siebie swoje sekrety, jeśli tego sobie pani życzy.

Cate oczekiwała, że Tregaron podejdzie bliżej, ale nie zrobił tego. Odwróciła się i spojrzała przed siebie na pogrążony w mroku ogród.

- Chyba powinnam wrócić do środka.

- Och, tak, jak najbardziej. Nie możemy dopuścić, aby moje towarzystwo niekorzystnie wpłynęło na pani reputację. Proszę wracać, zanim ktoś odczuje pani brak.

Cate nie zdołała powstrzymać śmiechu.

- Mnie nikomu nie będzie brakować. Nie tutaj w każdym razie.

- Czy pani zawsze to robi?

- Co?

Tregaron cofnął się o krok i skrył w cieniu pod ścianą.

- Nie docenia własnej wartości.

Cate zastanowiła się przez chwilę. Do tej pory nikt jej tego nie zarzucił.

- Znam swoją wartość - powiedziała w końcu. - Wiem, co jest we mnie wartościowe - poprawiła się. - Na pewno nie styl ubierania czy piegi - dodała, żeby rozluźnić atmosferę.

Mając do wyboru tyle uprzejmych odpowiedzi, wybrał jedyną, której Cate by się po nim nie spodziewała.

- Nie jestem pewien, czy to ma jakieś znaczenie, ale mnie się podobają pani piegi.

Chciał tylko być z nią szczery, nie zamierzał jej wystraszyć, ale to najwyraźniej osiągnął. Nie spodziewał się, że zwykłe stwierdzenie

faktu przerazi ją do tego stopnia, że rzuci się do ucieczki. O mało nie przewróciła go, z takim impetem wpadła w drzwi.

Udało mu się chwycić ją za nadgarstek.

- Cate.

Pociągnęła ręką, ale nie na tyle mocno, żeby się uwolnić.

- Muszę już wracać.

- Czy czuje pani, że ktoś za nią tęskni?

Jej skóra nawet przez materiał rękawiczki była ciepła w dotyku. Zdziwiony uzmysłowił sobie, że oczekiwał, iż będzie chłodna jak jej zachowanie. Pomylił się. Cate Buchanan trawił wewnętrzny ogień, którego istnienie podejrzewał, a teraz go poczuł.

- Cate - powtórzył.

Pociągnął ją lekko, próbując sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz kobieta przywitała go prawdziwym ciepłem.

Stali teraz tak blisko siebie, że wyraźnie widział rysy jej twarzy. Koloru oczu nie był w stanie rozpoznać, mimo że patrzyły na niego szeroko otwarte. Usta też miała rozchylone w grymasie zdziwienia, przerażenia... albo czegoś innego. Spozrzegł na jej szyi tuż ponad wysokim kołnierzykiem sukni pulsującą żyłę.

Nigdy nie przeczył, że Cate miała w sobie coś pociągającego. Tętniła życiem jak lato, jaśniała jak słońce. Nie przypuszczał natomiast, że może mieć też cechy księżyca: była delikatna i ponętna.

Przyciągnął ją jeszcze bliżej siebie. Stali teraz ramię w ramię.

- Kto by pomyślał?

Cate oddychała szybko.

- Powinam... Nie powinienam...

- Proszę się zdecydować - polecił głosem zaskakująco łagodnym nawet dla samego siebie. Nie wiedział, że się uśmiecha.

Gdyby pociągnął mocniej albo odetchnął głębiej, otarłaby mu się o tors. Ciekawe doświadczenie, trzymać w ramionach kobietę, która patrzy ci prosto w oczy. Wyobraził sobie, jak leżą wyciągnięci na łóżku, pierś na piersi, biodro na biodrze.

- Och, Cate.

- Colwinie - powiedziała z wahaniem. - Czy to pana imię?
Przez chwilę zastanawiał się, czy nie skłamać.

- Nie.

- Ale pańska babka...

- To tytuł, który nosiłem do śmierci ojca - wyjaśnił krótko.

- A więc pana prawdziwe imię... Uśmiech zamarł mu na ustach.

- Niech pozostanie na dziś tajemnicą.

- Dlaczego?

- A dlaczego ma ono jakiegokolwiek znaczenie? Może pani zwracać się do mnie per Tregaron albo Colwin. Moi... przyjaciele tak do mnie mówią, więc co za różnica?

- Duża - odparła oschle. - Ale nie mam prawa nalegać.

Poczuł, jak czar chwili pryska. A wszystko z powodu kaprysu jego ekscentrycznej matki i niezrozumiałej urazy Cate.

- Colwin nie wystarczy? - spytał. Odpowiedziała dopiero po dłuższej chwili.

- Oczywiście, że wystarczy, tak samo jak cokolwiek innego. Rafael, Michał, Gabriel. Albo Lucyfer. Przecież to tylko imiona, prawda?

Imiona archaniołów i jednego upadłego anioła. Tregaron był zdezorientowany.

- Nie rozumiem.

- Nie. - Cate szarpnęła z całej siły i wyrwała się z jego uścisku. - Nie sądzę, żeby pan rozumiał.

Odepchnęła go i kilku sekundach zniknęła wewnątrz domu. Podążył za nią. Zdawał sobie sprawę, że popełnił jakiś niewybaczalny błąd najprawdopodobniej mający coś wspólnego z imionami. Gdy dotarł do sali balowej, Cate już tam nie było.

Był za to lord Fremont. Właśnie odprowadzał Lucy Buchanan z parkietu. Uniósł głowę, dostrzegł Tregarona i niemal niedostrzegalnie ironicznie zasalutował mu, po czym zniknął w tłumie razem ze zjawiskowo piękną Buchananówną.

Do końca wieczoru najbliższą Buchananom rzeczą, jaką markizowi udało się odnaleźć, była wyborna szkocka whisky. Dobrze się ją piło, rozgrzewała i mąciła mu w głowie nie bardziej niż pewna długonoga Szkotka.

- Szokujące! - oznajmiła lady Leverham następnego dnia po lunchu i uderzyła pulchną dłoń w niski stoliczek, który stał obok jej krzesła. - Niesłychane! Moja droga, czy naprawdę nie mogłaś okazać nieco więcej dyskrecji? Musiałaś zniknąć z przyjęcia w towarzystwie tego człowieka?

Przemówienie trwało już od dobrych kilkunastu minut. Cate siedziała sztywno wyprostowana. Cieszyła się, że lady Leverham dawała raczej upust swojej gadatliwości niż złości. Karciała, ale serdecznie.

Zerknęła na porcelanowy zegar na kominku. Jak i wiele innych rzeczy należących do gospodyni miał namalowany średniowieczny motyw - rycerza z uniesioną włócznią, damę o przesadnie różowym licu i smoka o równie różowych policzkach. Cate oderwała wzrok od pozłacanych łusek potwora i przeniosła go na złote wskazówki zegara. Było wpół do trzeciej. Poprawiła się na krześle. Rzadko nie stawiała się rano w miejscu pracy i wcale by nie przyszła do lady Leverham, gdyby nie jej wyraźne żądanie.

Lunch był przepyszny, ale dobre wrażenie po łososiu zepsuło kazanie gospodyni.

- Na szczęście - ciągnęła swój wywód starsza pani - chyba niewiele osób zauważyło twoją nieobecność. Ja również nie spostrzegłabym niczego alarmującego, gdybym nie zwróciła uwagi na twój powrót. On ponownie włączył się do zabawy długo po tobie,

więc nie można było niczego stwierdzić z całą pewnością, ale sama dobrze wiesz, że ludzie najpierw się uprzedzają, a dopiero potem ewentualnie sprawdzają fakty.

Lady Leverham przerwała, żeby wyrwać swojemu ulubieńcowi z pyska srebrną łyżeczkę. Zwierzę skrzeczało i wymachiwało piąstką. W końcu zeskoczyło z kolan pani i przykucnęło przy krześle Cate. Małpka wbiła pożądlivy wzrok w błyszczące szpilki do włosów. Cate spojrzała na nią groźnie. Przez dłuższą chwilę mierzyli się wzrokiem, po czym Galahad prychnął szyderczo i uciekł.

- A więc, moja droga - gospodyni złożyła ramiona na piersi i zmarszczyła brwi - co masz na swoje usprawiedliwienie?

W odpowiedzi usłyszała teatralne westchnienie.

- Nic a nic - odparła Lucy, z lekceważeniem oglądając czubek swojego różowego pantofelka. - Nie robiłam nic złego. Spędziłam po prostu miły kwadrans w towarzystwie lorda Fremonta. Nie byliśmy wcale sami.

- Rzeczywiście - oschle zauważyła gospodyni. - Otaczały was książki, a one tak samo nadają się na przyzwoitki, jak pusta biblioteka na rozmowę z obcym mężczyzną. - Odwróciła się do Cate i zamachała rękami. - Ty coś powiedz, kochanie. Ja już nie wiem, jak mam z nią rozmawiać.

Cate niestety nie potrafiła nic powiedzieć. Nie mogła skarcić siostry za to, że ukryła się w zacisznym zakamarku rezydencji Tarrantów z mężczyzną. Sama przecież postąpiła podobnie. O mało nie doszło między nimi do... Na wspomnienie wczorajszego wieczoru

przeszył ją dreszcz, wcale nie nieprzyjemny. Natychmiast jednak nadeszło przerażenie.

Wyszła na pusty balkon z markizem Tregaronem -arystokratą z krwi i kości, aroganckim bogaczem, jeszcze do niedawna wyrzutkiem społeczeństwa. A co najważniejsze, ze swoim pracodawcą. Stała tak blisko niego, że widziała siwe pasemko wśród jego kruczoczarnych włosów. Mało brakowało, a pocałowałyby go tylko dlatego, że wydawało jej się to wówczas najbardziej oczywistą rzeczą na świecie.

Sięgnęła po chusteczkę i niezbyt przekonująco udała kichnięcie. Z irytacją poczuła, że policzki jej płoną. Tak często rumieniała się chyba tylko w wieku dojrzewania, gdy czerwieniała się na sam dźwięk swojego imienia.

Nie, postanowiła, że nie będzie robić siostrze wyrzutów dlatego, że spędziła kilka fascynujących chwil na osobności z nieznanym. Wtrąci natomiast swoje trzy grosze na temat tego mężczyzny.

- Nie chciałabym ci narzucać własnych gustów -zaczęła, ostrożnie dobierając słowa - ale uważam, że zasługujesz na kogoś lepszego niż lord Fremont.

Najwyraźniej mimo starań użyła niezbyt fortunnego sformułowania, bo siostra parsknęła oburzona.

- Och, Catey, naprawdę.

- Ja po prostu myślę...

- Wiem, co myślisz. Według ciebie lord Fremont nie jest interesujący. Cóż, nie jesteś nieomylna. Przypomnij sobie, jakie okropne rzeczy mówiłaś o lordzie Tregaronie, a on okazał się przemiłym człowiekiem, nieprawdaż?

Lady Leverham prychnęła głośno. Cate przymknęła oczy. Przemily to chyba nie najlepsze określenie, stwierdziła. Irytujący, może. Pełen wdzięku. Atrakcyjny. Niepokojący. Niebezpieczny.

- I co? - domagała się odpowiedzi Lucy. - Mylę się?

- Lord Tregaron jest bardzo... uprzejmy - niepewnie odrzekła Cate.

Lucy przewróciła oczami.

- Uprzejmy. Dobrze. Czy mam rozumieć wobec tego, że uważasz, iż lord Fremont jest nieuprzejmy?

- Raczej nijaki. - Cate chciała dodać okrutny, samolubny i próżny, ale wiedziała, że nie może. - Nie wiem, czy ma jakiegokolwiek zalety poza ładną buzią.

- Ale jaka to piękna buzia!

- Hmm. Ten człowiek nie ma w sobie za grosz honoru - wtrąciła się lady Leverham. - Brał udział w czterech pojedynkach i we wszystkich wystrzelił przed czasem!

Cate zaskoczona zamrugała oczami. Nie miała pojęcia, że Fremont się pojedynkował. Zdziwiła się, że z jakiegokolwiek powodu ryzykował zdrowie, a nawet życie. Jednak fakt, że niehonorowo wypalał przed czasem, wszystko wyjaśniał.

- Cztery razy? - spytała Lucy, najwyraźniej poruszona tą informacją. - Nie sądzicie, że jego przeciwnicy powinni mieć nauczkę po pierwszym, a już na pewno po drugim i trzecim razie?

- Mężczyźni - z wyższością w głosie oznajmiła lady Leverham - są najgłupszy, gdy okładają się pięściami po twarzach albo gdy w polu

wygrażają sobie pistoletami. Pojedyńki nie przystoją dżentelmenom. Turnieje to co innego...

- Dlaczego się pojedyńkował? - spytała Lucy.

- Z powodu żon i córek innych mężczyzn - padła szybka odpowiedź.

Po chwili gospodyni doszła jednak do wniosku, że przy swoich młodych gościach powinna wypowiadać się nieco ostrożniej, i dodała:

- Fremont czasem zachowywał się w sposób godny potępienia.

Po trzecim pojedyńku musiał nawet opuścić Anglię, gdy nie wiadomo było, czy jego przeciwnik przeżyje. Obawiam się, że nie jest on dla ciebie najlepszym towarzyszem, Lucy. - Jej zwykle dobrotliwe spojrzenie zaostrzyło się. - Chyba cię nie... napastował?

Cate zacisnęła pięści. Bardzo chciała usłyszeć odpowiedź na to pytanie. Chętnie też dowiedziałyby się czegoś więcej na temat wspomnianych przez lady Leverham żon i córek. W duchu nakłaniała siostrę, by zadała te pytania, ale Lucy nie okazała żadnego zainteresowania plotkami.

- Nie było to na tyle porywające spotkanie, żebym z niecierpliwością oczekiwała następnego. Lord Fremont nie jest zbyt elokwentny.

Cate poczuła, jak kamień spada jej z serca. Lucy nie dała się oczarować Fremontowi. Nieważne, czy przejrzała jego gierki, czy też raczej nie spodobało jej się, że Fremont nie mógł się pochwalić ani pokaźną fortuną, ani tytułem. W przeciwieństwie do Cate Lucy rzadko zmieniała zdanie o mężczyznach.

Odliczyła w myślach do pięciu, westchnęła i zapytała od niechcienia:

- O czym rozmawialiście?

- Prawdę mówiąc - Lucy ziewnęła ledwo dostrzegalnie - o niczym. Długo zachwycał się moimi oczami. A potem głównie opowiadał o tobie.

- O mnie?

- Mhm. - Lucy milczała przez dłuższą chwilę, pomagając gospodyni odczepić złotą bransoletkę, która, jak wcześniej zauważyła Cate, do złudzenia przypominała kolczugę, od koronkowej serwetki. – Mówił o cudownych chwilach, które spędziliście razem w posesji hrabiny Maybole.

- Spędziłaś cudowne chwile z Fremontem? - napadła na nią lady Leverham. Po chwili zorientowała się, że położyła nacisk na niewłaściwą informację, i spytała: - Byłaś gościem łatwej Maybole?

- Niezupełnie. Louisa Maybole wynajęła stryjów do odnowy swojej rezydencji. Mieszkaliśmy w domku dla służby. Lord Fremont często przyjeżdżał w odwiedziny, więc się poznaliśmy. Chyba nie powiedział, że byliśmy czymś więcej niż znajomymi, prawda, Lucy?

- Wspominał tamte dni z prawdziwą nostalgią. Oczywiście stwierdził, że cierpiał chyba wtedy na jakiś uraz głowy, skoro mnie nie pamięta. - Lucy uśmiechnęła się szelmowsko. - Dodał też, że byłaś słodką, ufną osobką, z czego natychmiast wywnioskowałam, że nie mogła to być bliska znajomość.

Oby to była prawda. Cate stwierdziła, że musi coś postanowić w związku z Fremontem.

- Wiecie, moje drogie - gospodyni wreszcie udało się uwolnić bransoletkę - bardzo lubię ten stół, ale nie jestem pewna, czy pasuje mi do pokoju.

Najwyraźniej lady Leverham albo zapomniała o Fremoncie, albo na razie wyczerpała jego temat. Cate z przyjemnością włączyła się do dyskusji o stołach.

W salonie gospodyni wśród mahoniowych mebli, gotyckich łuków i jedwabnych obić świetnie czuły się każdy minstrel. W rogu stał nawet drewniany jednorożec, a po obu stronach drzwi dwa komplety zbroi. Stół, jedno z lepszych dzieł Ambrose'a Buchanana, przedstawiał upadek Kartaginy. Niebo w żadnym innym z jego obrazów nie było bardziej mgliste, a lejąca się strumieniami krew czerwiejsza. W pokoju, w którym wszystkie ściany udekorowano maczugami, pikami i sztyletami, stoliczek wydawał się zupełnie na miejscu.

Lady Leverham poklepała go czule po blacie.

- Przeszłość powinna pozostać przeszłością i nie wracać nieproszona.

Cate zgodziła się z nią z całego serca. Taka sytuacja mogła być nie tylko niezręczna, ale i niebezpieczna.

Tregaron jęknął, gdy dobrze wymierzony cios trafił go w brzuch. Stał z czoła coś, co optymistycznie uznał za pot, i w tym samym momencie otrzymał kolejne uderzenie.

Szaleństwo. Gdy miał jasny umysł i chodziło mu jedynie o trochę ruchu, boks wydawał się zaledwie nieroztropnym zajęciem.

Natomiast w taki dzień jak ten, gdy huczało mu w głowie od alkoholu, walka była czystym szaleństwem.

- Dosyć, panie? - spytał przeciwnik.

- Nie! - rzucił Tregaron i wymierzył prawy sierpowy. Wówczas jednak oczami wyobraźni zobaczył Cate i momentalnie opuściły go siły.

Chwilę później siedział już na deskach zamroczony i obolały.

- Szaleństwo - powiedział na głos. - Auć. Niech to szlag trafi.

Rob MacDougal na szczęście nie spytał, czy nic mu się nie stało, ani nie przeproszał. Zamiast tego wyciągnął rękę do markiza i pomógł mu wstać. Tregaronowi dawno przestało przeszkadzać, że MacDougal jest niższy od niego o głowę. To właśnie znany pięściarz i właściciel klubu bokserskiego zwykle patrzył na niego z góry, gdy siedział albo leżał rozłożony na deskach jak flądra. MacDougal przypominał potężne drzewo. W dodatku miał pięści jak kowadła.

- Chciałbym pana o coś zapytać - oznajmił markiz, chwiejnym krokiem zbliżając się do ławki. Jego partner szedł tuż za nim z ręką wyciągniętą na wypadek, gdyby potknął się albo zachwiał. - I proszę tego nie brać do siebie.

- Postaram się, lordzie.

- Dobrze. Chodzi o was, Szkotów. - Tak?

Tregaron westchnął.

- Czy umiejętność sprowadzania na ziemię ludzi takich jak ja macie wrodzoną, czy też się jej uczycie?

- Owsianka bardzo pomaga... Och. - MacDougal pokiwał głową.

- Znalazł pan sobie dziewczynę z gór?

Markiz nie miał zielonego pojęcia, co znalazł, ale wiedział skąd.

- Dokładnie z Argyll.

- Bóg niech ma pana w swojej opiece.

- Dziękuję, MacDougal.

- Nie ma za co. - Bokser przyglądał się zatroskany, jak Tregaron powoli siada na ławce. Zastanawiał się pewnie, czy nie uszkodził go poważniej, niż to wyglądało na pierwszy rzut oka. - Radziłbym panu zakopać topór wojenny i spędzać z nią w ramionach przed kominkiem tyle czasu, ile się da. Będzie pan wtedy najszcześniejszym człowiekiem na świecie.

Tregaron chrząknął z niedowierzaniem.

- Tak się tylko panu wydaje.

- Taka jest prawda. Ja też miałbym do pana pytanie, lordzie, jako do przedstawiciela najszlachetniejszej klasy społecznej.

- Tak bym tego nie nazwał - mruknął Tregaron -ale proszę, słucham.

- O co chodzi w tych wyścigach? - MacDougal postawił stopę na ławce i oparł łokieć na kolanie. Oczom markiza ukazała się w pełnej krasie jego ogromna dłoń z wydatnymi kostkami i powykęcanyimi palcami. - Po co pchać się na dach powozu i pędzić na złamanie karku? Przecież to jakby prosić się o śmierć.

Tregaron ostrożnie pomacał się po obolałych żebrach, po czym popatrzył na przekrzywiony nos boksera. Stwierdził, że każdy oddaje się takim rozrywkom, do jakich się nadaje.

- Obawiam się, że nie jestem w stanie odpowiedzieć na twoje pytanie, przyjacielu.

- Ani pan, ani żaden z moich klientów. Nikt do tej pory nie był w stanie mi tego wytłumaczyć.

- Widocznie masz wrażliwych gości. - Albo członkom klubu od licznych uderzeń w głowę zlasował się mózg. On sam nie był w tej chwili pewien własnej poczytalności. -I o ile ma to jakiegokolwiek znaczenie...

-Tak?

- W moich żyłach płynie więcej walijskiej krwi niż angielskiej. MacDougal uśmiechnął się szeroko, ukazując niepełny rząd nierównych zębów.

- Kto by pomyślał? Wszyscy moi przodkowie, poczynając od pradziadków z Muli, pochodzą z hrabstwa Yorkshire w Anglii.

Kwadrans później Tregaron nieco doszedł do siebie i ruszył w drogę powrotną do hotelu. Gryffydd, któremu zabroniono wstępu do klubu bokserskiego po tym, jak okazało się, że gryzie kostki każdemu przeciwnikowi markiza, niecierpliwie czekał na spacer. Jego pan natomiast nie mógł się doczekać gorącej kąpieli.

Vaera spostrzegł dopiero, gdy ten niemal wpadł na niego.

- Tregaronie!

Markiz skrzywił się na dźwięk podniesionego głosu mężczyzny. W nozdrza uderzył go ostry zapach alkoholu. Vaer najwyraźniej wracał z suto zakrapianego winem lunchu.

- Ty podstępny lisie! Czekałem, że odwiedzisz moją córkę, ale nie. - Mężczyzna stanął chwiejnie tuż przed Tregaronem. Nos miał czerwony, krawat przekrzywiony, a na różowej kamizelce ślady po winie. -Rozumiem, że czekasz, aby porozmawiać o posagu.

- Szczerze mówiąc...

- Bardzo słusznie. Pieniądzy ci nie brakuje, więc na pewno zainteresujesz się ziemią. Mam parę ładnych hekarów... hektarów.

- Vaer. - Tregaron rozejrzył się dookoła w poszukiwaniu dorożki, do której mógłby wsadzić swojego przyszłego teścia. Chciał też zorientować się, czy zaczęli już wzbudzać zainteresowanie. Na razie niewielkie. Jakiś przechodzień zatrzymał się po drugiej stronie ulicy. Kilku sprzedawców wyglądało przez szyby sklepów. - Może wezwiemy ci doro...

- Zwierzęta w takim razie. Żaden Anglik nie jest w stanie oprzeć się zgrabnym nogom i zdrowym zębom.

Tregaron mógł tylko przypuszczać, że Vaer mówi o koniach.

- Tregaronie!

Tego głosu, twarzy i rudych włosów nie dałoby się pomylić z nikim innym. Jakiś mężczyzna zbliżał się do nich w szybkim tempie.

- Earith - mruknął markiz.

- Dom w Irlandii - ciągnął Vaer. - Właściwie zamek.

Czterdzieści parę pokoi. Można tam urządzić romantyczne gniazdko miłosne.

- Czego potrzeba, żeby odesłać cię z powrotem do Walii? - spytał napastliwie Earith.

W tym momencie wystarczyłaby szybka dorożka i krótki przystanek przed Albany, żeby zdążył zabrać psa. Oczywiście nie powiedział tego na głos. Powstrzymał się także przed przypomnieniem Earithowi o pewnej przygodzie jego syna i dziedzica. Chłopak pisał wówczas listy miłosne do o wiele od siebie

starszej, choć niezaprzeczalnie pięknej żony wicehrabiego, który słynął z ognistego temperamentu. Tak się złożyło, że Tregaron uczestniczył w balu w domu wicehrabiny akurat tej nocy, gdy syn Earitha rozgościł się w sypialni gospodyni. Niestety wybrał sobie moment, gdy wicehrabia akurat szukał takich zadurzonych w żonie intruzów. Zupełnie nie wiedząc dlaczego, Tregaron wypchnął młodego idiotę przez drzwi prowadzące do drugiego pokoju i sam stawiał czoło gospodarzowi. O mało cała sprawa nie skończyła się pojedynkiem o świcie. Parobkowie wicehrabiego nieźle mu wtedy złoili skórę.

- A więc? - warknął Earith. - Czego potrzeba? Pieniędzy? Ołowianej kulki?

- On nigdzie nie idzie! - zaprotestował Vaer. - Dyskutujemy teraz o ważnych sprawach.

Książę zignorował go.

- Kręcisz się wokół mojej Chloe, a ja tego nie zniosę, słyszysz mnie?

- Słyszysz cię, książę, połowa Londynu - odparł zrezygnowanym głosem Tregaron. Wokół nich trzech zebrał się już spory tłumek gapiów. - Może moglibyśmy przenieść tę...

- Nie myśl, że wkradniesz się z powrotem w łaski uczciwych ludzi, jeśli ożenisz się z moją córką. Może nie jest najostrzejsza, ale należy do rodziny Somershamów i ma swoją wartość. Nie dla ciebie jednak. Prędzej wylądujesz w grobie, niż splamisz moje nazwisko!

- Zamknij się, Reggie. Próbujesz wydać tę dziewczynę za mąż od roku - oznajmił Vaer, po czym chwyciła go czkawka. - Bardzo

proszę, chłopcze, wkradaj się w łaski mojej córki. Godna szacunku jak żona króla i przy tym niebrzydka.

- Więc lepiej naucz ją posługiwać się pistoletem -zjadliwie dociał mu książkę.

- Och, nonsens - odparł Vaer. - Mężczyźni pokroju Tregarona nie popełniają drugi raz tego samego błędu. Elspeth będzie przy nim bezpieczna.

Więcej markiz nie był w stanie znieść. Sam nie wiedział, co było gorsze: pogrożki Earitha bardziej zatroskanego o dobre imię rodziny niż jej członków, czy też sposób, w jaki Vaer próbował sprzedać córkę jak towar na ulicznej aukcji. Godne pożałowania, ale wcale nie dziwne, jak się nad tym zastanowić. Ojciec Belindy zachowywał się podobnie. Rozpaczał, że Walińczyk dołącza do jego nieskazitelnego rodu, ale jednocześnie za wszelką cenę pragnął arystokraty za zięcia.

- Panowie - powiedział Tregaron na tyle głośno, żeby zwrócić ich uwagę. - Dostyc tego. - Popatrzył na Earitha, którego twarz nabrała purpurowego koloru. - Najbliżej pańską córkę widziałem z kilkunastu metrów w zatłoczonej sali. I choć nie słyszałem, że nie należy do najbystrzej szych, sugerowałbym, żeby popracowała nad swoim podskakiwaniem. Takie zachowanie trochę wytrąca z równowagi. - Zwrócił się do Vaera. - Nie potrzebuję pieniędzy. Mam dużą posiadłość w Walii, na której znajduje się również zamek, który mogę przekształcić w każde gniazdko, jakie zechcę. Lubię zgrabne nogi i zdrowe zęby, ale bydlę na nic mi się nie przyda. Jeśli zapragnę wkradąć się w łaski, zrobię to gdzie indziej. I chociaż doceniam pańską hojność, nie sądzę, aby pańska córka miała o niej takie samo

zdanie. W tej chwili nie chcę nic od panów ani nie mam nic do zaoferowania. Jednym słowem, małżeństwo mnie na razie nie interesuje. O ile o mnie chodzi, powinniśmy teraz zgodnie każdy pójść w swoją stronę.

Earith patrzył na niego wściekły, zaciskając i rozluźniając pięści. Tregaron zawsze uważał go za prostaczka, ale nie za idiotę. Szybko zorientuje się, że nie ma już o czym dyskutować. Vaer natomiast patrzył przed siebie i drapał się po okrągłym brzuchu. Istniała szansa, że gdy wytrzeźwieje, będzie zachwalał zalety córki przed kimś innym albo rzuci się na niego z naładowanym pistoletem.

Prawdopodobieństwo zaistnienia obu sytuacji było jednakowe.

- A teraz, panowie, o ile skończyliśmy...

Nie czekając na odpowiedź, Tregaron trącił palcami kapelusz, odwrócił się na pięcie i odszedł.

- Francuska brandy? - wybełkotał jeszcze Vaer. - Świeżo przeschmuglowana z Calais!

Markiz zacisnął zęby, ale się nie zatrzymał.

Zrobił to dopiero na widok kuzyna, który stał nieopodal w towarzystwie Charlesa Reynoldsa, Luciusa Gramble'a i Freddie'ego Fortescue. Wszyscy mieli najmodniejsze stroje i fryzury. Bardziej ucieszyłby się na widok gangu reporterów.

- Niech mnie licho, jeśli to nie była komedia i dramat w jednym, Tregaron - radośnie oznajmił Gramble. - Mogłeś pobierać trzypensową opłatę od każdego widza.

- Nawet sześciopensową - wtrącił Reynolds.

- Mając was jako konkurencję? - Tregaron uśmiechnął się słabo.
- Macie wyłączność na błazenadę. Ja bym natychmiast splajtował.

- Porto? - krzyczał Vaer. - Bordo? Markiz westchnął.

Edgar w jaskrawożółtej kamizelce i zielonym płaszczu ziewnął.

- Nadal nie rozumiem, po co wróciłeś do Londynu, skoro nie zamierzasz dać się zakuć w małżeńskie kajdany. Nikt cię tu nie chce.

Tregaron pomyślał, że Edgar rzeczywiście mógłby uwierzyć, że nie przyjechał do miasta po żonę. Kuzyn zawsze był mało rozgarnięty. Z drugiej strony na pewno liczył na odziedziczenie tytułu i majątku. Może nie życzył Tregaronowi szubienicy za morderstwo, ale pewnie miał nadzieję, że zaszyje się gdzieś daleko w jakimś zamku w Walii...

- Lepiej się stąd wynieś. I zgnij w spokoju.

- Och, kuzynie. - Tregaron pokręcił głową. - Nigdy nie potrafiłem odgadnąć, jakie myśli krążą po pustych korytarzach w twojej głowie.

Edgar przyjął tę uwagę z uśmiechem pełnym wyższości. Rzadko kiedy rozumiał, że ktoś go obraża. Tregaron z kolei nie lubił naśmiewać się z idiotów, więc skąpo dawkował „komplementy”.

Jeszcze raz trącił kapelusz i ruszył przed siebie. Gramble co prawda nie uderzył go w goleń połączanym końcem laski, ale mało brakowało. Tregaron mógł wyrwać mu ją i wyrzucić albo połamać, ale stwierdził, że nie warto się fatygować.

- Jakaś sztuka Marlowe'a czy tam kogoś innego wchodzi na scenę w Covent Garden w piątek -oznajmił Gramble z dobrze udaną uprzejmością. -Czy wybierasz się na to przedstawienie? Utwór stary, ale zabawny. Komedia.

Tregaron nawet lubił Marlowe'a. Luciusa Gramble'a nie znosił.

- „Poniża się, aby zwyciężyć”, prawda?

- Chyba tak.

- Chyba nie. Tę napisał Goldsmith, jak mogłem zapomnieć. Nie, chyba chodzi o „Szkolę obmowy”.

Gramble przytaknął.

- A może to Sheridan? - Tregaron wzruszył ramionami. -

Widzisz, ja nie przepadam za komediami. Cóż, pozostaje mi tylko życzyć miłej zabawy.

Znów spróbował odejść.

- Ale mnie tam nie będzie - zawołał za nim Gramble. - W tę sobotę jest przyjęcie u Jermynów. Zakładam, że nie zostałeś zaproszony, o, przepraszam, że nie przyjąłeś zaproszenia.

- I jesteś na tyle uprzejmy, że zatroszczyłeś się, abym się nie nudził w ten wieczór. - Chłodny uśmiech nie opuszczał ust Tregarona. Nie, rzeczywiście nie został zaproszony. Od ośmiu lat, odkąd on... odkąd Belinda... Jakie to typowe dla tej bezlitosnej kreatury nawiązywać do tego tematu. - Dziękuję za zainteresowanie, Gramble. Mógłbyś zostać moim osobistym doradcą.

Mężczyźni rozbłysły oczy. Na pewno ze złości, że nie udało mu się wyprowadzić markiza z równowagi.

- Zawsze do usług. Gdybyś kiedykolwiek chciał porozmawiać o kobietach...

Tregaron znieruchomiał.

- Interesujące istoty, nieprawdaż? Rzadko są takie, za jakie chcą uchodzić. W dodatku zawsze pętają się przy nich ojcowie. Albo stryjowie, oczywiście.

- Oczywiście. - Tego już było za dużo. Gdyby chciał zapewnić sobie ból głowy na całe popołudnie i wieczór, zostałyby u MacDougala. - Stryjowie. Do widzenia, Gramble. Edgarze.

Z najbardziej znudzoną miną, na jaką było go w tej chwili stać, odsunął czubkiem buta stojącą mu na drodze laskę Gramble'a.

Postanowił nieco zmienić plany i zamiast ruszyć w kierunku Piccadilly, skręcił na północ. Gdy pijany Vaer i hałaśliwy Earith udali się każdy w swoją stronę, ulica opustoszała z gapiów. Tregaronowi udało się nawet przejść kilkanaście metrów, zanim szczupła postać nie oderwała się od wystawy sklepu z kapeluszami i zbliżyła do niego.

- Spieszysz się do domu, Tregaronie? - spytał Fremont z nieźle udaną uprzejmością. - Jak idzie odnowa domu? Już od jakiegoś czasu mam ochotę wpaść i obejrzeć postępy. Bo widzisz, ja znam twoich architektów.

- Zdaję sobie sprawę, że spotkałeś kiedyś pannę Buchanan. - Ciekawość przewyciężyła obrzydzenie. - Poznaliście się przez jej stryjów?

- Ależ skąd. - Fremont z zainteresowaniem przyglądał się mankietowi płaszczka. - Jesteś zadowolony z ich pracy?

- Tak. Nie sądzę jednak, abyś chciał, bym ich zarekomendował, skoro znasz ich dłużej niż ja.

Fremont uśmiechnął się chytrze. Nieruchomości posiadał niewiele więcej niż to, co miał na sobie.

- Rekomendacje? Nie, skądże znowu. Po prostu spytałem po przyjacielsku, co o nich sądzisz.

Przyjacielski jesteś jak wąż, pomyślał Tregaron. Powoli zaczął podejrzewać, że, o ile nie użyje siły, nie wydobędzie z Fremonta więcej informacji o Cate, niż ona sama mu podała.

- Chętnie podzielę się swoim zdaniem o Buchananach z każdym, kto mnie o nich zapyta.

- No, tak. Jestem pewien, że byłaby to fascynująca rozmowa. Tyle niuansów do omówienia. - Fremont machnął ręką do kogoś, kto przechodził właśnie za plecami Tregarona. - Tylko pilnuj, żebyś dostał tylko to, czego się spodziewasz.

- Jakże nieprzyjemna byłaby taka sytuacja - sucho odparł markiz. - Na szczęście mało kto ośmiela mi się sprzeciwić. Chyba ludzie uważają to za nierozsądne.

- Tak, myślę, że masz rację. Niestety we współczesnym świecie roi się od takich niegodziwych typów. - Fremont pstryknął palcami w rondo kapelusza. - Do widzenia.

Razem ze swoimi nieprzyjemnymi koleżkami odeszli w kierunku ulicy Bond. Tregaron dręczony myślą, że nie zrozumiał jakiejś aluzji Fremonta, skierował się w przeciwną stronę. Zamierzał wstąpić do rezydencji i upewnić się, że nadal stoi. Chętnie również zamieniłby parę zdań z Buchananami. Dopiero potem miał wrócić do hotelu, ale spacer z Gryffyddem i tak musiał poczekać. Pan potrzebował kieliszka lub dwóch brandy.

Gdy dotarł na Hanover Square, okazało się, że architektów nie było w rezydencji.

- Czy wrócą dziś po południu? - spytał małomównego MacGouna.

- Nie mam pojęcia, lordzie.

- Czy w ogóle byli tu dzisiaj?

- Oczywiście. Codziennie dokładnie omawiam prace z jednym z Buchananów.

Tregaron w zamyśleniu rozejrzył się po sypialni. Musiał wdrapać się na górę, bo MacGoun najwyraźniej nie zamierzał zejść do niego. O ile dobrze pamiętał, nigdy dotąd nie był w tym pokoju. Belinda przeznaczyła go dla gości, którzy przyjeżdżali wyłącznie wtedy, gdy jego nie było w domu. Z czasem nauczył się ignorować to pomieszczenie, podobnie zresztą jak wiele innych spraw związanych z żoną.

W ścianach nie było dziur, ale z okien usunięto wszystkie szyby. Do środka wpadała więc chłodna popołudniowa bryza, a nawet, co sugerowało porozrzucane po podłodze pierze, ptaki.

Musiał mieć chyba bardzo nachmurzoną minę, bo MacGoun spojrział na niego ponuro i wyjaśnił:

- Dziś wieczorem zakryjemy okna brezentem, a jutro wstawimy szyby. Panna Cate... - chrząknął i umilkł.

- Co zrobiła panna Cate? Nie sędzę, żeby zbiła wszystkie trzy okna. Może jedno swoimi długimi ramionami, ale na pewno nie trzy.

- Niczego nie zbiła - warknął MacGoun. - To panna Cate - dodał już spokojniej - zauważyła, że kit skruszał. Jedna porządniejsza burza i miałby pan odłamki szkła na całej podłodze i kałużę pod łóżkiem.

Tregaron nagle poczuł się bardziej bezsilny niż na ringu u MacDougala. Westchnął i przesunął dłonią po włosach.

- Wiesz co, MacGoun - powiedział zmęczonym głosem. -
Miałem koszmarne dzień. Zastanawiam się, czy nie powinienem
położyć się do łóżka i zacząć go od nowa.

Ku jego ogromnemu zdziwieniu ponury nadzorca położył mu
ciężką dłoń na ramieniu i lekko uściśnął.

- Niech się pan napije się whisky. Sporo.

Chrząknął, odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju.

RS

W każdej pracy nadchodził moment, w którym wszystkie szczegóły wreszcie zaczynały łączyć się w spójną całość. Moment, kiedy więcej było zrobione, niż pozostało do zrobienia. W tym punkcie znalazła się odnowa rezydencji przy Hanover Square.

To prawda, że trzeba jeszcze było wykończyć podłogi i sufity, zainstalować nowe kraty w kominkach. Kamieniarze dopiero zaczęli wypełniać szczeliny w fasadzie budynku, a stryj Ambrose malował swoją dionizyjską scenę w żółtym tempie, ale zadanie Cate było prawie wypełnione.

Kusiło ją, żeby pospacerować po świeżo pomalowanych pokojach. Lubiła wyobrażać sobie, jak ostatecznie właściciel umebluje pomieszczenia, choć nie miała ich przecież nigdy zobaczyć. Południowa ściana salonu była wymarzonym miejscem na dwie małe komódki z marmurowym wierzchem, kominek wymagał jedynie wzorzystego parawaniku w kolorach jesieni. Do jadalni wyłożonej błękitno-zieloną tapetą pasowałyby chińskie wazy. Znajdujący się w północnej części domu pokój wypoczynkowy przy głównej sypialni aż prosił się o ozdobiony brokatem fotel z jedwabnymi poduszkami.

Cate zamierzała przyjść jeszcze raz do rezydencji, gdy tapicerzy będą kończyć pracę, choć widziała już projekty Henry'ego Gordona. Henriego desJardina, poprawiła się z uśmiechem. Prawdę mówiąc, pomagała mu dobrać odpowiednie jesienne kolory i delikatne tkaniny pasujące do tapet. Żyrandole MacQuarrie'ego będą gotowe do

zawieszania, gdy tylko wyschnie ostatnia kropla farby. Dywany, nowe i stare przyniesione ze strychu i oczyszczone, już czekały, aby rozłożyć je na lśniących podłogach. Oddany uczeń Capability Brown, słynnego projektanta ogrodów, zdążył przekopać pół podwórka. Zarzekał się, że jeszcze na długo przed końcem sezonu przygotuje piękne klomby.

W drzwiach jadalni pojawił się Gordie.

- Przepraszam, że przeszkadzam, panienko, ale właśnie nadeszły cegły z Sussex.

- Dzięki Bogu, najwyższy czas - mruknęła pod nosem Cate, podążając za robotnikiem. - Czy to te, o które nam chodziło?

- Pokryte czarnym szklivem, panienko. Nadają się nawet na wykończenie królewskiej rezydencji.

Cate uśmiechnęła się, schodząc ze schodów. Cegły nadawały się na kolejny Carlton House albo Brighton Pavilion, ale były przeznaczone do kuchni i kominków w mieszkaniu Tregarona. Rzeczywiście pozwoliła sobie na ekstrawagancję, zamawiając je, ale widok płomieni odbijających się od czarnej, lśniącej powierzchni na pewno zachwyci właściciela.

Na parterze rozładowujący cegły MacGoun mrucał coś pod nosem.

- Czyste zdzierstwo - utyskiwał, spoglądając na rachunek.

Już wcześniej poróżnili się na ten temat i Cate nie miała ochoty kontynuować kłótni.

- Czy są wszystkie? Chcę, żeby je ułożyć, zanim Jamie wstawi kraty.

- Tak, tak, są wszystkie. Ale proszę na to spojrzeć, panno Cate. - Machnął jej przed nosem rachunkiem. - Niech pani spojrzy na podatek.

Nie musiała. Gdyby to zrobiła, na pewno skrzywiłaby się i tym samym dała MacGounowi powód do dalszych narzekań.

- Wolałbyś się nauczyć francuskiego, Mac?

- Jakby ten Napoleon miał jakąś szansę - burknął MacGoun. - Nasi chłopcy nie dadzą mu nawet stopy postawić na brytyjskiej ziemi.

- No tak, ale ktoś musi płacić tym chłopcom i kupować im różne przyrządy do strzelania i bicia. Na nasze cegły jest nałożony podatek i będziemy go płacić. To znaczy nie my, tylko lord Tregaron.

Nadzorca ani wcześniej, ani teraz nie zadowolili się tą odpowiedzią.

- Mówię, że zdzierstwo, to zdzierstwo - mruknął i poszedł szukać robotników do noszenia skrzyń.

Cate natomiast musiała znaleźć Jamie'ego. Cegły i kraty powinny znaleźć się w kominkach, zanim wypoleruje się podłogi. Trzeba było również dopilnować tapicerów, zatwierdzić kolor farby i zająć się wieloma innymi drobnymi sprawami. Najtrudniejszą część pracy mamy już za sobą, pocieszyła się i ruszyła w stronę schodów.

Z sali balowej łagodny baryton śpiewał o bitwie pod Culloden. Klan Fraserów ponosił właśnie sromotną klęskę.

Cate wetknęła głowę do sali. Stryj Ambrose stał na szczycie swojego rusztowania i dopracowywał głowę centaury, podczas gdy obok nieszczęsny Fraser tracił swoją od miecza przeciwnika.

- Wygląda doskonale! - zawołała.

Ambrose przestał śpiewać i uśmiechnął się do niej przez ramię. Cały pokryty plamami farby sam przypominał ofiarę wojny.

- Nieźle, nieźle, naprawdę. Poznajesz go? - Wyciągnął pędzel w kierunku potężnego, radosnego Dionizosa życzliwie witającego gości.

- Oczywiście, taki sam z niego przystojniaczek jak i w życiu.

Bóg wina i świętowania miał twarz Ambrose'a, ale z obrazu spoglądało więcej znanych osób. Był tam Angus jako bożek Pan o ciele gęsi, co nie mogło mu się spodobać i co, według Cate, było zemstą Ambrose'a za to, że brat wykorzystał jego wizerunek w zwalistym ogrodowym posągu przedstawiającym Goliata. Była to zdrowa próba sił dwóch artystów, która na pewno będzie się ciągnąć latami.

Piękna, złotowłosa nimfa miała twarz Lucy. Siebie Cate odnalazła w postaci ślicznej, smukłej i uzbrojonej towarzyszkii Artemisa.

- Dziękuję ci, Dionizosie - wymruczała i posłała stryjowi całusa.

Centaur Wellington pochylał się groźnie nad niedźwiedziem, którego pysk do złudzenia przypominał twarz Bonapartego. Wśród satyrów, włochatych, niezdarnych, lubieżnych stworzeń służących Dionizosowi, Cate dostrzegła delikatnego księcia Walii, niezbyt subtelnego księcia Agryll i trzech mężczyzn, którzy jako ostatni zamawiali u Buchananów figurki ogrodowe.

Ewidentnie brakowało twarzy bardzo ważnego człowieka, a mianowicie mężczyzny, który płacił za tę ekstrawagancję. Tregaron powinien znajdować się w centrum obrazu, ale jego charakter był tak różny od jowialnego, towarzyskiego usposobienia Dionizosa, że Cate

w pełni rozumiała decyzję stryja, nawet jeśli na decyzję Ambrose'a wpłynął częściowo również jego narcyzm. Nie wypadało również dać twarzy Tregarona satyrowi.

- Nie uwzględnisz markiza w obrazie? Ambrose podjął przerwana wcześniej piosenkę.

Szybkim gestem wskazał na górny róg malowidła. W tym miejscu znajdował się nie wypełniony jeszcze farbami szkic i Cate musiała stanąć na palcach, żeby cokolwiek dostrzec.

- Zeus? - spytała wpatrzona w zdecydowany, poważny profil mężczyzny obserwującego rozgrywające się przyjęcie sponad chmur.

- Podoba ci się, Catey? Przyznam, że jestem z niego bardzo zadowolony.

- Doskonały.

Mówiła prawdę. Ale coś nie dawało jej spokoju, jak tak stała przyglądając się Zeusowi. Był dumny, wyniosły, dostojny i... samotny, uświadomiła sobie nagle. Podczas gdy inni mieszkańcy Olimpu weselili się na dole, on obserwował ich z dystansu.

Gdy w balladzie ostatni z walecznych Szkotów padł, Ambrose machnął teatralnie pędzlem.

- To na tyle. Kończę na dziś.

Cate wyjęła z kieszonki mały złoty zegarek, który kiedyś należał do jej matki. Było wpół do czwartej.

- Tak szybko? - spytała raczej żartobliwie niż po to, żeby uzyskać odpowiedź.

Jak zwykle Ambrose nie brał do siebie żadnych uszczypliwych uwag.

- Umówiłem się z Angusem w go... w muzeum.
- W jakimż to muzeum?
- Niewielkim, kochanie. Bardzo malutkim, ale za to panuje w nim wyjątkowo twórcza atmosfera.

Zgramolił się z rusztowania i z roztargnieniem wytarł pędzel w fartuch, który nie zakrywał mu do końca rękawów. Cate dobrze знаła stryja i wiedziała, że bardziej dba o swoje przyrządy malarskie niż o siebie. Nie miało to większego znaczenia, bo goście tawerny, do której wybierali się bracia, pewnie nawet nie spostrzegą kilku plam z farby na ubraniu Ambrose'a.

- Nie masz nic przeciwko temu, żebym poszedł, prawda, Catey?

Jakby jej zdanie mogło wpłynąć na zmianę jego planów. Cate wyprostowała się i pocałowała stryja w umazany farbą, szorstki policzek.

- Idź, idź. Wszystko jest pod kontrolą.

Jakieś dziesięć minut później słyszała, jak wychodzi i zatrzaskuje za sobą drzwi. Z okna głównej sypialni patrzyła, jak znika za rogiem ulicy. Szedł rześkim krokiem w zawadiacko przekrzywionym kapeluszu. Gdy otworzyła okno, do jej uszu dotarło wesołe pogwizdywanie.

Nigdy tego nie powiedział, ale Cate wiedziała, że nie lubił przesiadywać w czyichś domach. Wolał zamknąć się w swoim studiu, gdzie był panem i władcą. Przy odrobinie szczęścia i wysiłku wkrótce skończy malowidło i w ogóle nie będzie musiał przychodzić na Hanover Square. Cate była przekonana, że Ambrose nie może się doczekać tego dnia.

Poczuła chłodny powiew wiatru. Zza pleców dobiegł ją trzask i stłumione przekleństwo. Odwróciła się i zobaczyła młodego murarza podskakującego na jednej nodze, ze złością wpatrującego się w przewróconą stertę pokrytych szkliwem cegieł.

- Przepraszam, panienko - powiedział i zaczerwienił się.

Cate machnęła lekceważąco ręką.

- I jak?

- Pozostała część dojedzie tu do środy. Kraty można instalować od poniedziałku.

- Świetnie. Śliczne są, prawda? Te kraty. Młody człowiek podrapał się po głowie.

- Nie mogę powiedzieć, żebym tak o nich myślał, ale skoro pani tak twierdzi...

Jak na razie jedynie sprzedawcy krat podzielali entuzjazm Cate. Cóż, postawi na swoim, gdy podobne zaczną się pojawiać w innych domach w Mayfair i w całej Anglii.

- Nieważne. Czy cegły zostały już zanesione do odpowiednich pomieszczeń?

- Tak, z wyjątkiem tego zamkniętego pokoju na dole. Jamie powiedział, żeby najpierw skonsultować się z panią.

- Ach, tak, biblioteka.

Od pierwszego dnia, gdy Tregaron zachował się tak grubiańsko, Cate nie wchodziła do tego pomieszczenia. Ani ona, ani nikt inny. Zamierzała dokładnie wypełnić polecenie jego lordowskiej mości i zupełnie nic tam nie zmieniać. Nic z wyjątkiem kominka. Mógł sobie zgnić tam wśród swoich książek, jeśli tego chciał. Cate przypuszczała,

że wymieniając kominek, przyczyni się do tego, bo teraz ani mróz, ani dym nie dostaną się już do biblioteki i markiz w ogóle nie będzie musiał z niej wychodzić.

Drzwi do pokoju zostały odnowione razem z pozostałymi. Nie było powodu, aby ich nowa, lśniąca powierzchnia miała ciemniejszy kolor niż inne ani żeby rowki wyżłobione nad futryną przypominały zęby. Ale tak się stało. Cate skarciła się za zbyt bujną wyobraźnię i energicznie ruszyła w dół korytarza.

Przed drzwiami zatrzymała się na chwilę. Wzięła głęboki oddech, chwyciła za klamkę, a gdy nie udało jej się ruszyć ich z miejsca, popchnęła ramieniem. Drewno poddało się z cichym ni to chrzęstem, ni to westchnieniem. Wyglądało na to, że robotnicy też nie chcieli przeszkadzać temu, co znajdowało się wewnątrz, i zamknęli drzwi, zanim wysechł lakier.

Cate stała na progu przez całą długą minutę. Jej oczy powoli przyzwyczajały się do panującego w środku mroku. Ciężkie zasłony były zasunięte. Nie żeby na zewnątrz świeciło słońce. Dzień był pochmurny, na niebie zebrały się chmury, z których w każdej chwili mógł spaść deszcz.

Cate potrzebowała jak najwięcej światła, ruszyła więc do okna po zaśmieconej podłodze. Uderzyła stopą w twarde, okrągły przedmiot, który sturlał się z zakurzonego dywanu na parkiet. Gdy chwilę później potknęła się o ozdobny stojak, zorientowała się, że przewróciła globus. Zanim dotarła do okna, omijała i potraçała niezliczone książki porozrzucane po podłodze, przybory do pisania, kryształową karafkę i jakiś miękki przedmiot, który jej przerażona

wyobraźnia uznała za niegdyś żywy, dopóki nie przekonała się, że był to kawałek wyściółki z połamanego stołeczka stojącego nieopodal.

Podczas swojej pierwszej bytności w tym pokoju nie oceniła rozmiarów jego zniszczenia, ale teraz odniosła wrażenie, że rozegrała się tutaj mała wojna. Gdy rozsunęła zasłony, rozkichała się od wznieconego kurzu, a potem rozejrzała dookoła. Kawałki drugiej rozbitej karafki walały się w kominku. Kula, którą kopnęła, rzeczywiście okazała się być pieczołowicie wyrzeźbionym i pomalowanym globusem. Potoczył się między szczeble drabinki. Rozbita na dwie części osłona globusa z niebieskim wnętrzem mającym symbolizować niebo leżała pod przykrytym biurkiem.

Materiał do połowy zsunął się z blatu albo nigdy nie był na nim ułożony. W atmosferze panującej w pomieszczeniu wyczuwało się, że zostało opuszczone nagle i nikt do niego nie wracał przez długie lata. Cate zerknęła pod płótno. Na biurku leżał fantazyjny bibularz do osuszania atramentu, pozbawiony połysku nóż do otwierania listów, który najwyraźniej był dziełem mistrza, przewrócony, ale nienaruszony kryształowy kieliszek.

Cate odwróciła się i na ścianie spostrzegła obraz, który z całą pewnością namalował Gainsborough.

O ile się nie myliła, na przeciwległej ścianie wisiał flamandzki gobelin liczący sobie prawdopodobnie co najmniej trzysta lat. Posąg Marsa leżący na kominku pochodził chyba ze starożytnego Rzymu i miał z tysiąc lat. Cate od dziecka żyła wśród artystów i znała się na sztuce. Nie wiedziała natomiast, co myśleć o parze drewnianych łyżek umieszczonych obok posążka, ale nie miała wątpliwości, że są stare i

cenne. Był to pokój pełen wartościowych przedmiotów, który w normalnych warunkach stanowiłby chlubę właściciela.

Na jednej ścianie od podłogi do sufitu stał regał z książkami, na drugiej półki umieszczono pomiędzy kominkiem i obrazem. Obłożone w skórę tomy przykrył kurz, ale nie przyćmił ich świetności.

Cate odchyliła głowę do tyłu i podniosła wzrok na znajdujący się na wysokości ponad sześciu metrów sufit. Na górnych półkach znajdowały się jednakowo oprawione książki z wygrawerowanymi na złoto tytułami. Zaciekawiona wspięła się na drabinę i wyciągnęła jeden z tomów. Na podłogę spadło kilka pajęczyn. Była to jedna z części „Życia Spensera w dwunastu tomach” Carpentera. Miała nieporozcinane strony. Podobnie „Norweskie ballady o rybołówstwie” i dzieła zebrane Arystofanesa przetłumaczone na francuski. Na najwyższych półkach najwyraźniej stały nieprzeczytane książki.

Cate pomyślała, że nigdy nie zrozumie kaprysów bogatych ludzi, i zeszła na dół. Chętnie spędziłaby więcej czasu, przeglądając bibliotekę, ale do tego pokoju przyszła tylko po to, żeby wymierzyć kominek. Potem zamknie za sobą drzwi i nigdy więcej tu nie wróci.

Mimo wszystko zerknęła jeszcze raz na półki. Jej wzrok przyciągnęła mała, gruba książka, „Wykaz parów Wielkiej Brytanii” Kearsely'ego. Wiele lat temu jej matka miała ten tomik u siebie na półce. Stał nie-przeczytany, podobnie jak „Baroneci” Juliana, gdzie autor wymienił ojca Mary Buchanan, sir Jamesa Hamiltona i samą Mary.

Cate uśmiechnęła się do siebie, położyła taśmę mierniczą na biurku i zdjęła książkę z regału. Nie zamierzała więcej spoufalać się z

Tregaronem, ale chciała sprawdzić jego pierwsze imię, które tak skrętnie przed nią ukrywał.

Zerknęła na datę wydania. 1804. Zaledwie kilka lat zanim Tregaron opuścił Anglię. Przekartkowała książkę, żeby znaleźć indeks. M. Marlborough, książę. Przerzuciła jeszcze kilka stron. St. Helier, hrabia. Przewróciła kartkę. Townshend, markiz. Traquair, hrabia. Tregaron, markiz. Strona...

Serce o mało nie wyskoczyło jej z piersi, gdy ktoś wyrwał jej z ręki tomik.

W pierwszej chwili pomyślała, że żaden człowiek postury Tregarona nie potrafiłby poruszać się tak bezgłośnie. Potem przygryzła wargę i przygotowała się na wybuch.

Który nie nastąpił. Tregaron z zaciętą miną zatrzasnął tomik i odstawił go na półkę. Oparł się biodrem o biurko, skrzyżował ramiona na piersi i obcesowo zmierzył Cate wzrokiem. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale wydobył się z nich tylko zawstydzony, niewyraźny pomruk.

- Dzień dobry pani - przywitał się uprzejmie. "Ja-

- Wie pani co, Cate, zaczynam się zastanawiać, czy to jest mój dom, czy pani. Spędza tu pani o wiele więcej czasu niż ja.

Cate zauważyła, że w przytłumionym świetle oczy Tregarona nabrały mahoniowego blasku. Ocieniały je tak gęste i czarne rzęsy, że Cate poczuła ukłucie zazdrości. Zastanawiała się, jak mogła wcześniej nie zwrócić uwagi na ten istotny szczegół jego wyglądu. Po chwili doszła do wniosku, że być może traci zmysły. Rzęsy w tym momencie były przecież najmniej ważne. A przynajmniej powinny być.

Wdzięczna za obecność Gryffydda tuż przy swojej nodze, spuściła wzrok.

- Przyszłam... pomóc...

- Tak, tak - niecierpliwie przerwał jej markiz. - Stryjom. Na litość boską, Cate, proszę przestać na mnie patrzeć, jakbym miał panią zaraz wyrzucić przez okno. Nie przeszkadza mi, że pani tu mieszka. Trudno żeby cały dzień wałęsała się pani po ulicach. Chciałbym się natomiast dowiedzieć, dlaczego postanowiła pani zignorować jedyne polecenie, jakie wam wydałem, i wejść do tego pomieszczenia. - Wymownym gestem wskazał na porzucony tomik. - I w dodatku myszkować? Wykazuje pani niezdrowe zainteresowanie moimi prywatnymi sprawami.

Zauważył, że zaboląły ją te słowa. Zesztywniała obrażona.

- To niesprawiedliwe.

- Czyżby? Niech pani da spokój, Cate. Czy nie przeglądała pani tej zapleśniałej książki, żeby odnaleźć w niej moje imię?

- Ja... Ja... I co z tego! - warknęła. - Tak, szukałam go. Nie lubię, jak się mnie oszukuje. A w każdym razie nie podoba mi się, że zwraca się pan do mnie po imieniu, choć panu na to nie zezwoliłam, i jednocześnie nie uważa pan za stosowne wyjawić mi swojego.

Tregaron pomyślał, że Cate ślicznie wyglądała zdenerwowana. Jak groźna Hera. Stłumił uśmiech.

- Czy mam zacząć zwracać się do pani „panno Buchanan”?

- Nie - odparła odruchowo. - To znaczy... No, nie. Nie przeszkadza mi, że zwraca się pan do mnie po imieniu, tylko fakt, że traktuje mnie pan z wyższością.

Cudownie.

- A więc pani uważa, że nie jesteśmy sobie równi? Cate uniosła wyżej brodę.

- Oczywiście - oświadczyła chłodno. - Jak mogłabym uważać inaczej? Pan jest wszechmocnym lordem Tregaronem. Markizem. Bogaczem. Mężczyzną. Ja...

- Zaraz wpadnie pani na drabinę - poinformował ją rzeczowo. Zatrzymała się i stała sztywna jak posąg. - Och, Cate. Ani przez chwilę nie wątpiłem, że jesteśmy sobie równi. Co więcej, uważam, że pod wieloma względami jest pani ode mnie lepsza. Mimo to chciałbym mieć prawo do prywatności, przynajmniej we własnym domu. Jeśli chce pani dowiedzieć się wszystkich niekoniecznie chlubnych szczegółów z mojego życia, proszę to robić gdzie indziej. Podam pani całą listę imion, niektórych prawdziwych, z której będzie mogła pani wybierać. A teraz - ciągnął dalej usatysfakcjonowany, gdyż dostrzegł w jej oczach zmieszanie - o ile mnie pani nie przekona, że ma ważny powód, aby znajdować się w tym pomieszczeniu, sugeruję, abyśmy je opuścili.

Nie chciał tu przebywać. Nie w otoczeniu tyłu swoich ulubionych przedmiotów, książek, które pragnął przeczytać, ale nie rozcinał kartek, czekając na czas, gdy będzie mógł całkowicie się im poświęcić. Uważał, że nie powinien pozostawać w tym pokoju sam ze wspomnieniami. Albo z Cate.

Ona tymczasem otworzyła i zamknęła usta.

- Przyszłam zmierzyć kominek - wykrztusiła w końcu. - Dla stryjów.

- Ach, tak? - Zerknął bez większego zainteresowania na zimne palenisko. - Po co?

- Żeby się upewnić, że nowe cegły i krata będą tu pasować.

- Proszę mnie poprawić, jeśli się mylę, ale czy tu już nie ma cegieł i kraty?

Cate zaczęła niespokojnie przestępować z nogi na nogę. Do tej pory nie widział, żeby tak się zachowywała. Spuściła wzrok i trącała czubkiem buta zniszczony dywan.

- Czy naprawdę chce pan omawiać te sprawy, lordzie? Ze mną?

- Czemu nie? Proszę mnie oświecić w tej kwestii. W przeciwnym razie będę zmuszony wyruszyć na poszukiwanie pani stryjów, którzy, pozwolę sobie zauważyć, przebywają w nikomu nieznanym miejscu.

- Nie musi pan być złośliwy - skarciła go. - Jestem przekonana, że stryjowie poszli na spotkanie z jakimś... dostawcą.

- Dobrze. Więc proszę mi powiedzieć, co z moim kominkiem.

- Będziemy... To znaczy robotnicy będą instalować nową kratę podłączoną do przewodu kominowego, którym odprowadzany będzie dym z pokoju. Ułożą też cegły pokryte specjalnym szkliwem odbijającym płomień. Jest to, moim skromnym zdaniem, bardzo nowoczesne rozwiązanie, ale ja jestem tu tylko po to, żeby...

- Zmierzyć kominek.

- No, tak.

Tregaron pokręcił głową.

- Dobrze. Zmierzymy kominek.

Cate chwyciła z biurka taśmę i podeszła do paleniska, zanim zdążył zaproponować. Nie zajęła się jednak od razu pomiarem. Najpierw postawiła przewróconą statuetkę. Nie miało to większego sensu, jeśli wziąć pod uwagę stan, w którym znajdowała się biblioteka, ale Tregarona wzruszył ten gest.

Cate przesunęła czubkiem palca po drewnianych łyżkach.

- Czy pochodzą z Dalekiego Wschodu?

- Nie.

- Z Indii?

- Nie, z Walii.

- Och, są celtyckie. Czy znaleziono je w grobowcu? Albo były wykorzystywane do jakichś starożytnych pogańskich rytuałów?

Markiz nie miał ochoty dyskutować na temat łyżek, ale nie był też na tyle grubiański, żeby ją zbyć. Poza tym wolał nie wyobrażać sobie, do jakich pogańskich rytuałów według Cate łyżki te mogły być wykorzystywane.

- Sądzę, że to zależy, co pani rozumie przez starożytne i pogańskie. Tę parę dostaliśmy w prezencie ślubnym. Wyrzeźbiono je już za czasów chrześcijaństwa.

Cate zarumieniła się.

- Przepraszam. Nie chciałam wywoływać...

- Moja babka dostała je w dniu ślubu od jednego z lokatorów dziadka, który je wyrzeźbił. Nazywa się je łyżkami miłości i są częścią walijskiej tradycji podobnie jak...

- Smoki - szepnęła.

- Węgiel i piwo - dokończył sucho.

Cate uniosła jedną łyżkę. Była długa jak jej ramię. Miseczkę miała wielkości dłoni, a na rączce wyryte trzy łańcuchy i celtycki krzyż. Wzór był prosty, nawet prymitywny, ale dumny.

- Krzyż symbolizuje małżeństwo - mruknął i niemal słowo w słowo powtórzył to, co powiedziała babka, przekazując im łyżki. - Liczba łańcuchów oznacza liczbę dzieci.

- I było troje?

-Tak.

Ale dorosłego wieku dożył tylko ojciec.

- A to? - Cate podniosła drugą łyżkę. Na tej wyżłobione były połączone ze sobą serca i kotwica. -Kochankowie i podróż morska?

- Miłość - przyznał lapidarnie - i stałość.

- A czy oni...?

- Cieszyli się jednym i drugim.

Tak rzeczywiście było. Kochali się, byli sobie wierni i małżeństwo przynosiło im tyle radości, że wszyscy im zazdrościli.

- Według mnie te pańskie walijskie łyżki miłości są w gruncie rzeczy pogańskie, a rzeźbią je jasnowidze.

- Ich przepowiednie nie zawsze się sprawdzają -odparł gorzko. - Wystarczy przygotować odpowiednio długą listę prognoz i któraś zawsze okaże się prawdziwa. W przypadku mojego małżeństwa okazały się nic niewarte. - Urwał przerażony swoją szczerością.

Wzdrygnął się, gdy Cate delikatnie położyła mu dłoń na ramieniu.

- Przecież te nie były rzeźbione dla pana - stwierdziła łagodnie. - Pan jeszcze nie zarzucił kotwicy.

Tregaron poruszony zabrał Cate taśmę i ruszył do paleniska.

- Proszę mi powiedzieć, które wymiary są pani potrzebne.

Po dłuższej chwili milczenia Cate odpowiedziała, po czym skrupulatnie zapisywała w kieszonkowym notatniku wszystkie liczby, które jej podawał.

Wymierzanie kominka okazało się sprawą trudną. Tregaron musiał przybierać różne dziwne, niewygodne pozycje. A wszystko dla kraty, która, co do tego nie miał żadnych wątpliwości, będzie odprowadzała tyle ciepła do przewodu kominowego i wypuszczała na pokój tyle dymu co inne. Było jednak coś odprężającego, przyjemnego w dokonywaniu pomiarów, gdy Cate stała obok. Z jakiegoś powodu przebywanie w tym pokoju nie drażniło go tak, jak zaraz po przybyciu, więc zacisnął zęby i wykręcił ramię, żeby osiągnąć ostatniego punktu.

Ten akurat moment wybrał sobie Gryffydd, aby sprawdzić, co robi jego pan. Zwierzak wcisnął mu nos pod pachę i wszedł przednimi łapami w palenisko.

- Gryffydd...

- Och, lordzie, nie...!

Było jednak za późno. Tregaron potracił coś łokciem, trafił w coś pięścią i z przewodu kominowego do pokoju wysypały się gromadzone tam przez lata śmieci. Sadza, brud, liście i różne inne małe przedmioty, nad których pochodzeniem markiz wolał się nie zastanawiać, osiadły na nim i jego psie. Chmura kurzu, która powstała w czasie katastrofy, oślepiła go na dobrych kilka sekund.

Gdy osiadła, Gryffydd uciekł pod biurko, gdzie kichał i drapał się po poczeriałym pysku. Tregaron wypluł piasek z ust, zamrugał oczami, żeby je oczyścić, i wstał.

- Ufam - mruknął i czystą dłonią strącił sobie z nosa piórko - że poradzi sobie pani bez ostatniego wymiaru.

Cate z całej siły starała się nie wybuchnąć śmiechem. Do tej pory jej się to udawało, ale na widok brudnego Tregarona wydostającego się z zawalonego śmieciami kominka poczuła, że traci nad sobą kontrolę. Jedną stronę twarzy, tę zwróconą na pokój, miał prawie czystą. Druga połowa wyglądała, jakby ktoś zanurzył ją w kubie ze śmieciami. Na jego granatowym płaszczu sadza nie odznaczała się tak bardzo jak kurz, natomiast wyraźnie widniała na jego skórze, koszuli i kamizelce. Do spodni poprzyczepiały mu się pióra, a nawet resztki gniazda.

- Sądzę - wykrztusiła z trudem - że wystarczą mi wymiary, które już mamy.

Jednak na widok psa wynurzającego się spod biurka nie potrafiła zapanować nad emocjami. Przez ciało Gryffydda przebiegała wyraźna linia oddzielająca przód od tyłu. Tył zachował swój normalny, żółty kolor, natomiast przód był czarny jak smoła. Jedyne jasne punkciki stanowiły wesoło błyskające oczy zwierzaka i zadowolony pysk.

Cate wybuchnęła śmiechem. Zgięta wpół szukała w kieszeniach chusteczki. Gdy w jej polu widzenia znalazła się czystsza dłoń Tregarona z kawałkiem białego jedwabiu, o mało się nie przewróciła.

- Nie, nie, dziękuję - wymamrotała, machając ręką. - Panu bardziej się przyda niż mnie.

Markiz chrząknął. Gdy w końcu była w stanie odetchnąć spokojniej i wyprostować się, stwierdziła, że Tregaron wykorzystał chusteczkę, żeby przetrzeć sobie twarz i dłonie, a teraz próbował wyczyścić pysk psa. Gryffyddowi jednak wcale się to nie spodobało i znów uciekł pod biurko.

Cate siłą woli zachowała powagę.

- Być może powinien pan wrócić do domu i... wykąpać Gryffydda - zaproponowała, choć w gruncie rzeczy wcale nie chciała, by to miłe popołudnie dobiegło końca.

Wiedziała jednak, że wszystkie przyjemne rzeczy kończą się szybko.

Tregaron ponownie chrząknął, po czym ruszył do drzwi. Cate nie zwróciła uwagi, że wcześniej je zatrzasnął. Przystanął tam w zamyśleniu z ręką na klamce. Pociągnął za nią kilka razy, ale nic nie wskazywało na to, że zamierza opuścić pokój.

Cate poczekała chwilę grzecznie, po czym spytała ciekawie:

- Lordzie?
- Tak, Cate?
- Nie wychodzi pan?

Tregaron rzucił jej przez ramię wściekłe spojrzenie.

- Proszę mi wierzyć, moja droga, że nic nie sprawiłoby mi w tej chwili większej radości.

- A więc? - ponagliła go.
- Nie mogę otworzyć drzwi.

- Co to znaczy, że nie może pan otworzyć drzwi? Co to za idiotyczna wymówka? Oczywiście, że może pan je otworzyć.

Tregaron odwrócił się do niej.

- Chce pani spróbować? - zaproponował wyzywającym tonem.

Oczywiście, że chciała. I działała jeszcze mniej niż on, bo nawet nie znalazła klamki, choć ponad minutę dokładnie obmacywała drzwi, podłogę, a nawet z jakiegoś powodu własną kieszeń.

- Chyba - odezwał się sucho markiz - nie szuka pani tego?

Cate odwróciła się powoli. Stał z wyciągniętą ku niej dłonią, na której leżała klamka.

- Głupie żarty - zdenerwowała się.

Wyrwała mu ją, żeby jak najszybciej otworzyć drzwi i uwolnić się od jego towarzystwa. Wkrótce okazało się, że powstał nowy problem. Oś, która łączyła obie klamki, znajdowała się po drugiej stronie. Oznaczało to, że choć Cate miała w ręce sprawną klamkę, nie była w stanie uruchomić zapadki regulującej pozycję zamka.

Uklękła, żeby pod drzwiami zajrzeć na drugą stronę. Niestety, ten szczegół został, jak wiele innych w tym domu, dopracowany do perfekcji. Drzwi doskonale pasowały do framugi i podłogi. Nawet mysz by się pod nimi nie prześliznęła. Zrezygnowana Cate zwiesiła głowę.

- Odnoszę wrażenie, że mam o wiele lepszy widok niż pani.

Uświadomiła sobie, że wystawiła markizowi na pokaz uniesioną pupę, i szybko przykucnęła.

- Te drzwi zatrzaśkiwały się już wcześniej. Musiał pan poluzować oś, gdy je pan zamykał - oznajmiła ponuro.

- Chyba mogłem to zrobić, choć pozostaje mi tylko zgadywać, co to jest oś. - Tregaron znów stanął przy biurku w znudzonej pozie. - Tylko że ja nie zamknąłem drzwi.

- Na pewno pan zamknął i zapomniał.

- Proszę mi wierzyć, moja droga, że choć pani towarzystwo sprawia mi ogromną przyjemność, jednak nie do tego stopnia, bym zatrzasnął nas w pustej bibliotece.

Z jakiegoś powodu Cate wcale nie oburzyła ta odpowiedź. Nie zamierzała jednak tracić czasu na zastanawianie się, co takiego rozprasającego było w sytuacji, w której się znaleźli. Przytknęła oko do dziurki, w której powinna być oś, i wyjrzała na korytarz. Przybierała bardzo różne pozycje, ale nie była w stanie spojrzeć dalej niż na odległość kilkunastu centymetrów. Po drugiej stronie nie dostrzegła żadnych fragmentów zamka.

- Mac? - zawołała. - Gordie? - krzyknęła głośniej. - Jest tam kto? - wrzasnęła w końcu, ale odpowiedział jej tylko głuchy odgłos uderzeń młota.

- Gdy wchodziłem na górę, nie widziałem nikogo na tym piętrze - powiadomił ją Tregaron.

- Nie mógł pan. Wszyscy są albo na górze, albo w piwnicy. Albo... - Uradowana Cate skoczyła na równe nogi i podbiegła do okna wychodzącego na ogród - pusty ogród. Najwyraźniej pan Patton i jego

ludzie skończyli na dziś i, nie mając czego wsadzić w grządki, wrócili do domu.

- Chyba moglibyśmy wyjść przez okno - powiedziała niepewnie i zerknęła na kamienne patio kilkanaście metrów niżej. - Po powiązanych obrusach.

- Wykluczone.

- Może nam się udać. Proszę tu podejść i zobaczyć.

- Nie.

- Ale ja naprawdę myślę, że może się udać. Dlaczego...?

Tregaron spojrzał na nią groźnie, choć nie tak groźnie jak jeszcze parę dni temu. Chyba zaczynała przyzwyczajać się do jego min. Do niego zresztą też.

- Dlatego - odparł niegrzecznie - że nie zamierzam pozwolić pani zawisnąć na obrusie wywieszonym z okna na drugim piętrze. I prędzej piekło zamarznie, niż ja sam popełnię takie głupstwo.

- Cóż. - Cate w pierwszej chwili chciała się kłócić, ale zmieniła zdanie. W gruncie rzeczy nie do końca podobał jej się pomysł zwisania za oknem na obrusie. Wróciła do drzwi. - Pomocy! - krzyknęła. - Jest tam kto?

- Cate. - Tregaron podszedł do niej, chwycił ją z tyłu za łokcie i podniósł z kolan. - Zaraz pani ochrypnie. - Zabrał jej klamkę i popchnął ją delikatnie w stronę kanapy. - Proszę usiąść na chwilę i pozwolić mi się tym zająć.

Cate znów była gotowa się sprzeczać. Tym razem zdenerwowała ją nadgorliwość markiza. Zamiast tego ostrożnie usiadła na

zakurzonej kanapie, oparła łokcie na kolanach, a brodę na zaciśniętych pięściach i zaczęła z uwagą przyglądać się Tregaronowi.

Markiz ukląkł przed drzwiami i skulił się, żeby zajrzeć do dziurki. Po chwili wsunął do niej palec, próbując uruchomić mechanizm. Przez kilka minut starał się coś zdziałać, ale bezskutecznie. Cate na próżno czekała na trzask uruchomionego mechanizmu. Zamiast niego nasłuchiwała się cichych, ale za to dosadnych przekleństw.

- Nic z tego - oznajmił w końcu. - Potrzebujemy tej części, jak ją tam pani nazwała, która upadła po drugiej stronie.

Ukucnął i zmarszczył brwi. Po chwili wstał i zaczął czegoś szukać pod obrusem na biurku. Otwierał po kolei wszystkie szuflady. Najwyraźniej wiedział, co mu jest potrzebne, tylko nie był pewien, gdzie się to znajduje. O ile w ogóle tam było po tylu latach.

Gdy w końcu z zadowolonym uśmiechem wyciągnął skądś garść piór, Cate nie miała pojęcia, co chodziło mu po głowie. Można było napisać liścik i przesunąć go pod drzwiami na zewnątrz. Miałoby to sens, gdyby ktoś przechodził po drugiej stronie. Wówczas jednak równie dobrze można było walić w drzwi i krzyczeć po pomoc. W dodatku Cate przewidywała niejake kłopoty ze znalezieniem nadającego się do użycia atramentu.

Tregaron wybrał najdłuższe pióro i obrócił je w palcach, jakby badał jego wytrzymałość. Potem, ku zdziwieniu Cate, zamiast poszukać innych przyborów do pisania, wyjął z kieszeni brudną chusteczkę. Przyczepił do niej pióro i podszedł do drzwi. Cate

domyśliła się, co zamierzał osiągnąć, dopiero gdy wcisnął dziwny przedmiot w dziurkę po klamce.

- Rozumiem, że się poddajemy.

Markiz obejrzał swoje dzieło. Uznał, że się nadaje.

- W swoim życiu stoczyłem wystarczająco wiele bojów ze złośliwymi rzeczami martwymi, żeby wiedzieć, kiedy poddanie się jest najlepszym wyjściem.

- Sprytnie - podsumowała Cate, ruchem głowy wskazując na prowizoryczną flagę.

- O ile ktoś ją zobaczy.

Tregaron zadowolony, że zrobił wszystko, co w jego mocy, spoczął obok Cate na kanapie. Mebel zaskrzypiał. Cate przesunęła się na drugi koniec. Markiz postarał się nie okazać, jak go to ubodło. Wyciągnął przed siebie nogi i skrzyżował je w kostkach. Jeśli w ciągu najbliższej pół godziny nikt się nie zjawi, wymyśli coś innego. Na razie pozostawało im tylko czekać.

- Boże - jęknął do siebie - jak ja nienawidzę tego domu.

- Niepotrzebnie. - Cate wpatrywała się w markiza z niby to bezpiecznej odległości metra. - To wspaniały dom.

Tregaron parsknął.

- A od teraz będzie tym, czym pan zapragnie.

- Co to ma, u licha, znaczyć?

Cate zaczerwieniła się. Dziwne, pomyślał, Amazonka się rumieni.

- To znaczy, że dom składa się z kamienia, farby, drewna, szkła, mebli. Tego, co umieszcza się na ścianach i stołach. Jeśli coś się... źle... kojarzy, trzeba to usunąć.

- Po prostu, co?

Naprawdę nie chciał, żeby zabrzmiało to sarkastycznie, ale naiwność sądu Cate zirytowała go. Mogła się domyślać, co wydarzyło się w murach tego domu, ale nie wiedziała na pewno. Była osobą z zewnątrz i, choć inteligentna i rozważna, nie miała takiego doświadczenia życiowego jak on. Nie zrozumiałaby miłości, która wypaliła się tutaj, ani stoczonych tu walk. On sam nie wszystkie znał. Wystarczyły mu te, w których brał udział.

- Niekoniecznie po prostu - odparła Cate. - Nie o to mi chodziło. W taką zmianę trzeba włożyć trochę wysiłku i dać sobie pomóc.

W tej konkretnie chwili Tregaronowi przyszły do głowy setki sposobów, w jakie Cate mogłaby mu pomóc uporać się z przeszłością. Na początek mogłaby na przykład wziąć do ręki miotłę i uprzątnąć ten pokój.

Ta propozycja jednak nawet jemu nie chciała przejść przez gardło. Natomiast inne metody przychodziły mu do głowy, gdy zastanawiał się, jak Cate mogłaby ukoić jego ból. Często o nich myślał, nawet kiedy nie była przy nim. Gdy była, przerażały go swoją siłą. Cate z jej nieprzewidywalnym ciętym językiem i przewidywalnym niemodnym wyglądem. A przecież jemu chodziło o coś zupełnie innego.

Jakby miało to jakiegokolwiek znaczenie, gdy w grę wchodziło niepotrzebne pożądanie.

- Czy oferuje mi pani pomoc? - spytał. Popatrzyła na niego uważnie. Jedną dłonią miała róg fartuszka, który założyła na kolejną ze swoich godnych pożałowania sukni.

- Zawsze starałam się pomagać stryjom w rodzinnym interesie.

Tregaron wątpił, żeby stryjowie chcieli się dowiedzieć, jaki interes miał w tej chwili na myśli. Roześmiałby się, ale przecież śmiał się rzadko, a sytuacja stawała się coraz bardziej poważna.

- A więc? - naciskał. - Mogę na panią liczyć, Cate? Rozerwała kolejny centymetr fartuszka. Ani na chwilę jednak nie spuściła wzroku z jego błyszczących, bursztynowych oczu.

- Czy będę tego żałowała?

Zdziwiła go. Nie była aż tak naiwna, za jaką ją uważał.

- Czy będzie pani żałowała? - zastanowił się przez chwilę. - Nie wiem. Czy pani zwykle żałuje swoich decyzji?

- Tylko tych złych - rzuciła i dumnie uniosła brodę. Zrozumiał.

- Och, Cate. Czy pani wie, co rozpętała?

Jednym płynnym ruchem zsunął się z kanapy i ukląkł przed nią na puszystym dywanie.

W jego twarzy można było znaleźć wszystko: ostrzeżenie i przywołanie, zmęczenie i ożywienie, niegodziwość i czułość tak intensywną, że Cate zadrżała. Przede wszystkim jednak jego oczy wyrażały pożądanie - pragnął jej, nie miała co do tego żadnych wątpliwości.

Dotknął jej.

Cate uważała się za osobę odcytaną. Nigdy nie przyznałaby się do tego przed rodziną, ale wymowne, namiętne poematy Johna

Donne'a należały do jej ulubionych lektur. W dodatku nie była tak całkiem niedoświadczona. Być może z jej krótkich, sekretnych spotkań z lordem Fremontem nic dobrego nie wyniknęło, ale czegoś się nauczyła.

Nic jednak, co przeżyła, nie mogło jej przygotować na markiza Tregarona.

Poruszał się na tyle powoli, że z łatwością by mu umknęła. Tymczasem patrzyła szeroko otwartymi oczami, jak jeden po drugim odpinał guziczki jej bluzki przy nadgarstkach. Siedziała bez ruchu, podczas gdy głos przyzwoitości krzyczał jej w głowie, że jest właśnie rozbierana przez mężczyznę. Markiz delikatnie i bardzo powoli podsunął rękawy nad łokcie. I chwycił ją za przedramiona.

Zadrżała, gdy zacisnął uścisk. Potem jęknęła głośno, gdy jego kciuki dotarły do nagle wrażliwego miejsca, gdzie zginają się łokcie. Gdyby stała, nogi odmówiłyby jej posłuszeństwa. Miała wrażenie, że jej kości się topią. A Tregaron tylko pieścił wewnętrzną stronę jej przedramion.

Podniosła nieco zmałowany wzrok i popatrzyła na niego. Miał nieprzenikniony wyraz twarzy, ale oczy mu płonęły.

- Chodź, Cate - polecił i przyciągnął ją do siebie.

W mgnieniu oka znalazła się przy nim na dywanie. Dopiero wtedy puścił ją i ujął w dłonie jej twarz. Kciukami muskał wargi, najpierw górną, potem dolną, zmuszając je, by się rozchyliły. Cate oniemiała. Bezwolnie odchyliła się do tyłu i przewróciłaby się, gdyby plecami nie oparła się o kanapę.

Tregaron wsunął dłonie w jej włosy i wysupłał z nich szpilki, które do tej pory się w nich zachowały. Sprężysta gęstwina opadła Cate na ramiona. Zaplątał palce głębiej i splótł je z tyłu jej głowy. Cate przymknęła oczy.

- Jeszcze nie - powiedział ochryple. - Popatrz na mnie.

Cate posłuchała go i patrzyła, jak zbliża do niej swoją twarz. Zawsze doskonale uczesane włosy opadły mu częściowo na czoło.

- A więc, panno Buchanan?

Minęła chwila, zanim Cate uświadomiła sobie, że Tregaron czeka na jej pozwolenie, aby kontynuować. Kiwnęła niepewnie głową. Pomyślała, że jeszcze nigdy niczego tak w życiu nie pragnęła. Uśmiechnął się i odczuła ten uśmiech jak pieszczotę.

- Teraz - powiedział. - Teraz możesz zamknąć oczy.

I pocałował ją.

Może dlatego, że smakował i pachniał jak dym. Może dlatego, że byli tak blisko siebie, iż czuła bijące od niego ciepło. A może chodziło tylko o pocałunek. Tak czy inaczej, Cate miała wrażenie, że zaraz jej ciało ogarną płomienie. Jego usta były twarde, ale jednocześnie podatne. I żarłoczne. Bezlitośnie żarłoczne.

Z Fremontem nie przeżyła nic podobnego. Dziewczęce marzenia błądy w porównaniu z rzeczywistością.

Gdy oderwał się od niej, westchnęła rozczarowana.

- I jak? - spytał. - Co powiesz, kochanie?

Cate znowu westchnęła.

- Czy to znaczy, że żałuję, jeśli jest mi przykro, że nie miałam pojęcia, co tracę?

Tregaron zachichotał. Jedną ręką odsunął zza siebie kilka książek i pusty kałamarz. Drugą objął Cate w talii. Położył się i pociągnął ją za sobą. Nachylała się nad nim z dłonią wspartą na jego piersi, a jej włosy tworzyły aureolę wokół ich głów.

To, co się działo, było jednocześnie oburzające i zachwycające.

- Pewnego dnia - szepnął, muskając palcami jej brodę - artyści znów zaczną malować mitologiczne postacie: Hippolitę, Ginewrę, Świętą Joannę. Gdy te czasy nadejdą, ty, Catherine Buchanan, będziesz ich muzą.

Gdyby wiedział, jak łatwo sprawić, by się zaczerwieniła, o wiele wcześniej zacząłby jej prawić komplementy. Rumieniec wzniosł się od szyi aż po kości policzkowe.

- Proszę mi nie schlebiać - powiedziała.

- Dlaczego?

- Bo to puste słowa, a ja ich nie potrzebuję. Tregaron miał inne zdanie na ten temat. Uważał, że każdej kobiecie należy prawić komplementy. Nie po to, żeby połechtać jej próżność, ale aby przyznać, że mężczyźni, banda tępaków, do której bez wahania zaliczał i siebie, zauważają ją.

Cate Buchanan za mało schlebiano. Oczywiście zamierzał temu zaradzić, tylko nie w tej chwili.

- Wróćmy lepiej do tego, co zaczęliśmy - zaproponował i przesunął spoczywającą na jej plecach dłoń na łopatki. - Pocałuj mnie, Cate.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

- Złodziejski bard i hulaka.

Tregaron też uśmiechnął się mimowolnie.

- Żaden ze mnie hulaka.

- Nie wierzę - szepnęła z takim zachwytem, jakby słowo „hulaka” było wspaniałym komplementem.

- Tylko dlatego, że nie masz mnie z kim porównać, kochanie.

Cate natychmiast spoważniała i nagle spostrzegł, że trzyma w ramionach dostojną, surową kobietę.

- Wbrew temu, co sądziłam niegdyś, nie mam absolutnie żadnego porównania. Ale ty... - Spuściła wzrok, jakby mierzyła niewielką odległość między swoją piersią i jego. - Och, Boże...

- Cate... - Trzymał ją, ale zdołała się wyrwać i usiąść obok niego.

- Bardzo ją kochałeś?

- Kogo? - spytał, choć dobrze wiedział, o kogo chodzi.

- Swoją żonę.

- Dobry Boże, Cate. To nie najlepszy moment, żeby rozmawiać o Belindzie.

- Nie zgadzam się - odparła smutno. - Uważam, że to świetny moment. Ona wskazuje mi moje miejsce.

Tregaron uniósł się na łokciach i z niedowierzaniem wbił wzrok w Cate.

- O co ci chodzi? Belinda nie żyje. Nie ma na nic wpływu.

- Na nic? - Cate wzruszyła wymownie ramionami. - Owszem, nie żyje, ale była olśniewająco piękna, była panią tego domu - machnęła dookoła ręką. - Należał jej się tytuł arystokratyczny i świetnie czuła się w tym okropnym mieście.

- Cate, nie mam pojęcia, co próbujesz mi powiedzieć, ale nie poprawia to nastroju.

- Wiem. Głupia jestem, prawda? Znalazłam się w takiej cudownej, nieprzyzwoitej sytuacji i robię wszystko, żeby ją zepsuć. - Obciągnęła rękaw i bawiła się guziczkiem. - Bardzo ją kochałeś?

- Wcale, jeśli wierzyć niektórym moim znajomym -odparł zjadliwie. - Inni twierdzą, że kochałem ją do szaleństwa.

- Do diabła z twoimi znajomymi - odparła zdenerwowana. - Chcę wiedzieć, dlaczego przez tyle lat pamięć o niej nie pozwalała ci wrócić do tego domu i dlaczego nawet teraz prześladują mnie myśli o niej, choć jedyne, co zrobiłam, to położyłam się z tobą na tej brudnej podłodze!

Tę ostatnią uwagę markiz przyjął jak policzek. Prawda czy nie... prawda, ale...

- Tylko tyle według ciebie się między nami wydarzyło?

- A nie? - warknęła. - Nie zamierzałam wyciągać od ciebie żadnej deklaracji. Na pewno nie zamierzałeś zresztą jej składać. Jaki mężczyzna zobowiązałby się do czegokolwiek wobec starej panny, którą zaledwie raz pocałował?

- Boże, Cate. Skąd w tobie tyle goryczy?

Dziewczyna machnęła ręką.

- Proszę mi wybaczyć, lordzie. Jestem roztrzęsiona. Prowadzę proste życie, więc nic dziwnego, że zaistniałe okoliczności wyprowadziły mnie z równowagi...

- Brednie.

- Słucham?

- Brednie! - powtórzył sam już poirytowany. - Jesteś jedną z najinteligentniejszych kobiet, jakie znam, i nie wierzę, że można cię zbić z tropu. Opowiadasz bzdury. Chcesz porozmawiać o miłości i małżeństwie? Dobrze. Małżeństwo to piekło, Cate. Obiecują ci niebo, ale w gruncie rzeczy bez względu na to, jak się starasz, zawsze pozostaje ci tylko wybaczać grzech po grzechu. I nigdy nie wiesz, czy czeka cię za to nagroda, czy więcej zła. Ta męka się nie kończy.

- Ja nie...

- Tak. Kochałem swoją żonę. Na początku. Pod koniec nienawidziłem jej. Było to kolejne aranżowane małżeństwo. Pozostaje jedynie pytanie, kiedy byłem głupszy, na początku czy na końcu.

Zapadła cisza.

- O ile ma to dla pana jakiegokolwiek znaczenie - drżącym głosem odezwała się Cate - nie wierzę, że przyczynił się pan do śmierci żony.

Tregaron bezsilnie opadł na podłogę i wbił oczy w sufit.

- O ile ma to dla pani jakiegokolwiek znaczenie, i mówię to z pełnym szacunkiem, jest pani naiwna, panno Buchanan.

Zanim Cate zdążyła odpowiedzieć, rozległo się delikatne pukanie do drzwi i chrząknięcie.

- E... lordzie? Panno Cate?

Tregaron uniósł głowę. Pióro właśnie zniknęło po drugiej stronie drzwi. Znów rozległo się pukanie.

- Tak, do cholery!

- Jesteśmy tu, Gordie - zawołała Cate, podnosząc się z podłogi.

- Ach, tak... dobrze... eee... Mam tu klamkę. Czy mam otworzyć drzwi, czy wolicie...?

- Otwórz te przeklęte drzwi! - ryknął Tregaron i wstał.

Cate gorączkowo przetrząsała kapę przykrywającą kanapę. Znalazła kilka szpilek i wetknęła je we włosy. Była tak zdenerwowana, że o mało nie powiedział jej, iż niepotrzebnie się martwi. Po tarzaniu, jak sama to nazwała, wyglądała równie nieporządnie jak wcześniej.

Wrócił do biurka, a Cate usiadła na kanapie. W tym momencie rozległ się charakterystyczny trzask i drzwi otworzyły się. Do środka zajrzała zatroskana twarz.

- Zrobione, lordzie - niepotrzebnie skomentował robotnik.

- Dziękuję... Gordie - mruknął Tregaron. - Mieliśmy małego pecha.

- Tak. - Szkot rozejrzał się po pokoju. - Panno Cate?

- Wszystko w porządku, Gordie. - Osoba, która jej nie знаła, nie wyczułaby delikatnego drżenia w głosie. - Nie siedzimy tu długo.

- Gdzie wszyscy, u diabła, byli? - spytał Tregaron. Podał Cate rękę, żeby pomóc jej wstać, ale ona oczywiście ją zignorowała.

- Pracujemy na górze. Zszedłem, gdy usłyszałem...

- Panie przodem. - Markiz położył dłoń na plecach Cate, żeby ją pospieszyć. Nie dotknąłby jej, ale ruszała się jak mucha w smole.

Poczuł znajome ciepło w miejscu, gdzie spoczęła jego ręka. Wyczuł też jej drżenie. - Gordie, przyprowadź stryja panny Buchanan.

Wszystko jedno którego.

- Nie ma ich w rezydencji - głucho odparła Cate. - Są w muzeum.

- W muzeum? Och, na litość boską, powinni tu być i nadzorować prace.

- Lordzie...

- Słucham?

Gordie przeczesał palcami włosy i odchrząknął.

- Ma pan gości.

Odsunął się, żeby Tregaron mógł spojrzeć w głąb korytarza. W odległości zaledwie kilku metrów od nich stała znajoma para.

- Przechodziłyśmy tędy, Tregaronie - oznajmiła wyniośle starsza kobieta - i postanowiłyśmy sprawdzić, które stare plamy postanowiłeś zamalować.

- Lady Reynolds, panno Reynolds. - Markiz przywitał gości głębokim ukłonem. - Gdybym wiedział, że przyjedziecie... - Zamknąłby się w bibliotece i własnoręcznie zniszczył kłamkę.

Caroline Reynolds nie znał prawie wcale. Na przyjęciach, na których pojawiali się obydwój, zdołał jednak zauważyć, że czas spędzała na bezustannym obgadywaniu bliźnich. Więcej wiedział o jej bracie, który należał do bliskich znajomych Fremonta. Ich matka natomiast była najśłynniejszą plotkarką w mieście.

Jednym słowem panie Reynolds były ostatnimi osobami, które miał ochotę spotkać tego dnia. Z drugiej strony chyba nic nie mogło już zmienić zdania, jakie wyrobiła sobie o nim londyńska śmietanka towarzyska.

- Jest dla pana wiadomość w holu, Tregaronie - poinformowała go lady Reynolds. Starła się, jak mogła, zajrzeć do biblioteki. Markiz przytomnie szybko zamknął za sobą drzwi. - Nie chciałam wtrącać się w pańskie osobiste sprawy, ale trudno było nie zauważyć tego liściku.

Caroline uważnie przyglądała się Cate. Cate natomiast wbiła wzrok w swoje buty. Tregaron postanowił zakończyć jak najszybciej to spotkanie, nie przedstawiając sobie pań.

- Proszę o wybaczenie. - W gruncie rzeczy jego zachowanie w tym momencie nie miało żadnego znaczenia. Ktoś, kogo i tak uważa się za potwora, może pozwolić sobie na odrobinę nieuprzejmości. - Obawiam się, że muszę już iść. Panno Buchanan.

Cate nie potrzebowała innej zachęty. Ominęła niepożądanych gości i pospiesznie ruszyła w dół korytarza. Tregaron dogonił ją, gdy siłowała się z drzwiami wejściowymi. Położył rękę na klamce, żeby ją zatrzymać.

- Lordzie, ja... nie mogę... - Nie wpatrywała się już w swoje buty, ale nie podniosła wzroku wyżej niż wystający mu z kieszeni łańcuszek od zegarka. - Nie wiem, co powiedzieć o tym, co się... stało.

- Nie? Nie szkodzi. Może w takim razie wyjaśni mi pani to. - Wskazał dłonią na południową ścianę.

W miejscu, gdzie kiedyś stał ohydny stół wersalski, podarunek ślubny od rodziny Belindy, wisiała wiadomość, o której wspomniała lady Reynolds. Kilkunastocentymetrowe litery nabazgrane były węglem.

Precz, oszuście!

Jeśli naprawdę można było wpaść z deszczu pod rynnę, Cate właśnie się to przydarzyło. Wsiadła z dorożki, do której wpakował ją Tregaron, i zmęczona weszła do swojego mieszkania. Miała wrażenie, że znalazła się w piekle.

- Catey - zawołała Lucy z salonu - to ty?

Cate zdjęła znoszone rękawiczki i filcowy kapelusz, po czym zajrzała do pokoju. Lucy siedziała pośrodku pomieszczenia w otoczeniu kwiatów. Pokojówka Becky w starej sukni żałobnej Lucy udawała ciotkę Rebekeę. Usadowiono ją przed kominkiem, w który wpatrywała się otulona licznymi szalami. Cate stwierdziła, że powinni więcej płacić tej biednej dziewczynie.

Z krzeseł podniosło się czterech mężczyzn. Cate nie знаła dobrze Evana Althorpe'a, ale ucieszyła się na jego widok. Nie wiedziała, kim jest lord Newling, ale była gotowa serdecznie go przywitać. Zniosłaby nawet obecność Edgara St. Clair-Wrighta, który sam z siebie był zupełnie nieszkodliwy. Jednak Cate zawsze widywała go w towarzystwie Fremonta i dzisiejsze spotkanie nie okazało się wyjątkiem.

- Teraz jesteśmy w komplecie - uprzejmie przywitał ją Fremont.

- Panna Lucy powiedziała nam, że może pani później wrócić, co nas bardzo zmartwiło.

- Czyżby?

Cate najchętniej poszłaby na górę do swojej sypialni i zamknęła się w niej na najbliższe dwa tygodnie, ale Althorpe właśnie wskazywał jej krzesło i nie mogła odmówić. Przynajmniej siedziała z dala od Fremonta.

- Dziękuję - powiedziała.

- I gdzie to była pani dziś po południu? - spytał Fremont. Tego człowieka nie wolno było ignorować. - Ślicznie się pani zarumieniła.

Cate sądziła, że wygląda raczej jak ugotowany homar.

Upokorzenie i wściekłość zawsze w ten sposób odzwierciedlały się na jej twarzy. Gdyby mogła wybierać, wolałaby blednąć w takich sytuacjach.

- Wyszłam na spacer - skłamała. - Mamy piękny dzień.

Na pogodę rzeczywiście nie dało się narzekać, natomiast na wydarzenia jak najbardziej.

- Powiedz, że nie byłaś na Oxford - zbesztła ją Lucy. - Przecież wiesz, że potrzebuję tylu rzeczy. Nie powinnaś wybierać się na zakupy bez mojej listy.

- Och, jestem przekonany, że panna Buchanan wcale nie robiła zakupów - oznajmił Fremont, zanim Cate zdążyła się odezwać.

Tajemniczo uśmiechnięty wyglądał olśniewająco w swojej artystycznie potarganej fryzurze, wsparty łokciem o oparcie krzesła i z nogami wyciągniętymi na podniszczonym dywanie. Nawet stare krzesło świetnie się pod nim prezentowało. Cate odwróciła się lekceważąco w drugą stronę. Wydało jej się, że usłyszała jego chichot.

- A skąd pan - chciała się dowiedzieć Lucy - może wiedzieć, czym zajmowała się moja siostra?

Fremont nie odpowiadał przez dłuższą chwilę. Cate zerknęła na niego spod oka. Patrzył prosto na nią. Nie mogła się oprzeć wrażeniu, że przygląda jej się tak jak kot myszy, którą ma za chwilę pożreć.

- Nic nie przyniosła ze sobą - odezwał się w końcu. - Żadnych paczek czy toreb.

Wszyscy spojrzeli na Cate, jakby spodziewali się, że zaraz pokaże jakieś pakunki albo przynajmniej powie coś dowcipnego. Właśnie wróciłam z rezydencji lorda Tregarona, z którym spędziłam wyjątkowo przyjemne chwile, mogła powiedzieć. W porównaniu z pieszczotami markiza pocałunki lorda Fremonta przypominały łykanie powietrza przez wyjętą z wody przerośniętą rybę. To by na pewno dało gościom temat do dyskusji. Oczywiście musiałyby pominąć puentę.

Ale on nie chce mnie tak samo jak ty, lordzie Fremont. Tylko że tym razem bolało tysiąc razy bardziej.

Uratowała ją kucharka. Potężna kobieta o wiecznie czerwonej twarzy przyniosła herbatę i ciasteczka. Najwyraźniej nie była zachwycona, że oprócz swoich obowiązków musi też zastępować Becky. Z trzaskiem postawiła tacę na stole przed Lucy.

- Herbata, panienko - mruknęła. - Miałam przygotować kandelabry, jak panienka prosiła, ale jeśli ma być kolacja na stole, to nie zdążę.

Lucy zupełnie niezbita z tropu zaczęła nalewać herbatę.

- Nie będzie kandelabrow, panowie - oznajmiła wesoło. - Chyba nie będzie to panom bardzo przeszkadzało.

Oczywiście, że im nie przeszkadzało. Lord New-ling z radością zjadłby węgiel, gdyby tylko Lucy podała mu go z uśmiechem i dużą filiżanką herbaty.

Gdy kucharka wyszła z salonu, rozległo się pukanie do drzwi. Cate kątem oka spostrzegła, jak Becky podnosi się z krzesła, żeby otworzyć, po czym opada z rezygnacją na siedzenie. Na pewno za każdym razem, gdy ktoś przychodził, z przyzwyczajenia robiła to samo.

Na szczęście nikt nie zwrócił uwagi na nią uwagi. Nikt też nie zainteresował się zbyt nowo przybyłymi gośćmi. Cate chętnie dowiedziałyby się, kto otworzy drzwi. W końcu postanowiła, że ona się tym zajmie, a potem wyjdzie z domu i będzie długo, długo szła przed siebie. W tym momencie usłyszała kucharkę, a potem przytłumiony, kulturalny, męski głos.

Serce Cate zaczęło niespodziewanie walić jak szalone. Przyszedł. Tregaron przyszedł, żeby ją przeprosić i zabrać ją... gdzieś.

- Proszę mi wybaczyć - mruknęła pod nosem i wymknęła się na korytarz. Zatrzymała się w połowie schodów. Serce o mało nie wyskoczyło jej z piersi na widok szerokich barów, kruczoczarnych włosów i granatowego płaszcza.

Uspokoilo się rozczarowane, gdy mężczyzna odwrócił się.

- Panno Buchanan!

Julius Rome uśmiechał się do niej szeroko. Cate, nie chcąc sprawić przykrości gościowi, również się uśmiechnęła. Przecież to nie wina Juliusa, że nie jest Tregaronem, pomyślała. Rome był tak miłym

i zgodnym człowiekiem, że na pewno gdyby tylko mógł, zmieniłby się w kogoś innego, żeby sprawić jej przyjemność.

- Dzień dobry, panie Rome. Cieszę się, że pana widzę. Proszę wejść.

- Z radością.

Podał kucharce kapelusz i laskę z tak czarującym uśmiechem, że uradowana kobieta wczuła się w rolę pokojówki i nieco niezgrabnie dygnęła.

- Przyszedł pan zobaczyć się z Lucy.

Cate odwróciła się i chciała zaprowadzić go do salonu.

- Ależ nie. Miałem nadzieję spotkać się z panią.

- Naprawdę?

Julius znalazł się przy niej w kilku susach.

- Oczywiście. Uważam panią za swoją przyjaciółkę i, ponieważ nie widywałem pani ostatnio w mieście, postanowiłem panią odwiedzić i sprawdzić, co trzyma panią w domu.

Mile ujęta Cate wskazała na wąskie schody i wyblakłą farbę.

- Nie jest to najpiękniejsze miejsce, ale pańska obecność dodaje mu blasku.

- Tak? - Julius szczerze ucieszył się z komplementu. - Wobec tego cieszę się, że przyszedłem.

W tej chwili w salonie wybuchnął gromki śmiech.

- Wygląda na to, że życie towarzyskie u was kwitnie - stwierdził.

Cate westchnęła.

- Moja siostra ma gości.

Jednym skokiem Julius znalazł się na stopniu za Cate. Żartobliwie pochylił się nad nią i palcem wskazującym uniósł jej brodę.

- Tego grymasu - powiedział - nie można ignorować.

- Och, nonsens.

- Kto panie odwiedził?

- Lord Althorpe.

- Rozrywkowy człowiek, ale groszem nie śmierdzi, więc musi być więcej gości.

- Lord Newling.

- Och. Smutas. Kto jeszcze?

- Pan St. Clair-Wright.

- Ach, tak.

- I lord Fremont.

- Rozumiem. - Julius kiwnął głową. - W takim razie najlepiej będzie, jeśli pójdzie pani ze mną. - Położył jej dłonie na ramionach i zdecydowanym, choć delikatnym ruchem popchnął ją na dół. -

Wyberzemy się do restauracji Gunthera na jakąś przekąskę. Wiem z dobrego źródła, że miał świeżą dostawę lodu z Grenlandii, więc będzie miał w ofercie kilkanaście owocowych smaków.

- Z dobrego źródła? - powtórzyła Cate. Wiedziała, że powinna oburzyć się na Juliusa za spoufalanie się, ale bardziej odebrała jego zachowanie jak namowy starego, dobrego przyjaciela. A kogoś takiego potrzebowała w tej chwili najbardziej.

- Świetnie. Gunther uwielbia umieszczać swoje reklamy w Timesie. Założą się, że wyliczyłyby każde ciastko, gdyby tylko wystarczyło miejsca.

Restauracja Gunthera należała do ulubionych miejsc spotkań londyńskiej arystokracji, szczególnie tej, która przepadała za słodyczkami i nie narzekała na brak gotówki.

- No, nie wiem... - słabo zaprotestowała Cate. - Nie mogę...

- Oczywiście, że może pani.

Julius posłał kucharce kolejny czarujący uśmiech i wziął od niej swoje rzeczy. Kobieta dygnęła, ale nie ruszyła się z miejsca na wypadek, gdyby uroczy pan Rome miał jeszcze jakieś życzenie.

Cate rozejrzała się po korytarzu z zatroskaną miną. Kapelusz i żakiet zostawiła na górze w salonie. Na dole znajdowało się tylko modne kanarkowo żółte wdzianko Lucy. Naprawdę nie mogła iść. Gdyby musiała wrócić na górę, nie potrafiłaby wytłumaczyć, dlaczego wychodzi.

Julius jednak zdjął już szal Lucy z wieszaka. Zanim Cate zdążyła się odezwać, otulił ją nim i podał jej kapelusz.

- Proszę się pospieszyć. - Mrugnął do niej. - Bo lody się stopią.

Właściwie czemu nie? Cate pomyślała, że przydałaby się jej jakaś rozrywka. Postanowiła nie przejmować się, że będzie wyglądała idiotycznie. Zawiązała tasiemki kapelusza pod brodą i wyszła pierwsza.

Do Berkeley Square doszli szybko. Cate nie zgodziła się, żeby wezwać dorożkę. Z radością odetchnęła świeżym powietrzem. Zamierzała wrócić do domu jak najpóźniej.

Przeszli jak zwykle zatłoczoną ulicę Oxford. Cate uświadomiła sobie, że nie będzie miała żadnych wyrzutów sumienia, że przyszła tu bez listy zakupów siostry i w pożyczonym bez jej zgody okryciu. Gdy skręcili w ulicę Bond, spostrzegła na głowach przechodniów takie same kapelusze jak jej. Bez trudu wtopiła się w tłum.

Czuła się jednak jak oszustka, pokazując się w miejscu, do którego nie pasowała. Oszustka.

Precz, oszuście! Cate ścisnął się żołądek, podobnie jak wtedy, gdy po raz pierwszy przeczytała te słowa.

Ktoś wiedział, że ona podaje się za kogoś innego. Nie potrafiła odnaleźć się w Londynie, mieście, gdzie ludzi nie osądza się na podstawie tego, kim naprawdę są. Owszem, będzie jej brakowało teatru, parku Vauxhall, pełnej przepychu ukochanej i znienawidzonej jednocześnie Mayfair.

Będzie tęskniła za niewielką grupką ludzi i jednym małym psem. Jednak to, czego będzie jej brakowało, nie miało znaczenia w porównaniu z tym, co straci rodzina, jeśli nie ukończą pracy i wyjadą, zanim ich sekret ujrzy światło dzienne. A mieli takie dalekosiężne plany. Cate nadal w sekrecie przygotowywałyby projekty i nadzorowała ich wykonanie, a stryjowie udawaliby architektów. Z czasem napływałyby coraz więcej zamówień, co dawałoby braciom więcej czasu na zajmowanie się swoją dziedziną sztuki.

Mogliby umieszczać rezydencję markiza Tregarona wśród swoich osiągnięć w życiorysach. W Manchesterze, Yorku, Edynburgu czekało na nich tyle pracy...

Wszystko to brzmiało tak cudownie, dlaczego więc miała wrażenie, że właśnie zgubiła bilet do raju?

- Czy pani jeszcze o mnie pamięta?

Cate zamrugła i odwróciła się do swojego towarzysza.

- Słucham?

Julius uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Zamyśliła się pani.

- Och, przepraszam. Nie chciałam... Rome poklepał ją po ręce.

- Ja tylko razem z panią naigrawam się z niewłaściwego zachowania próżnego mężczyzny, którego ignoruje śliczna kobieta. Poza tym jesteśmy prawie na miejscu.

Kolejny raz oczarowana dowcipem Juliusa Cate pozwoliła mu się wprowadzić do słynnej restauracji. Gdy wchodzili, odezwał się zawieszony na drzwiach dzwoneczek. Cate z otwartymi ustami wpatrywała się w zatłoczone wnętrze. Stoły ugiwały się pod różnymi wyrobami cukierniczymi.

- Już mnie rozboleł brzuch - poskarżyła się. Julius roześmiał się.

- Nie tak szybko. Może się pani źle poczuć dopiero po zjedzeniu kilku czarek lodów, ciasta owocowego i paru kremówek.

Cate nie miała pojęcia, jak mu się to udało, ale Julius znalazł dla nich miejsce przy oknie. Usiedli przy malutkim, lepkiem stoliku na niewygodnych krzesłach, ale atmosfera panująca w lokalu wynagrodziła im wszelkie niedogodności. W powietrzu unosiła się smakowita woń roztopionego cukru i owoców: gruszek, cytryn, truskawek i porzeczek.

- Najpierw lody - zarządził Julius - a potem ciastka.

Gdy podszedł do nich zmęczony kelner, wyrecytował mu bez zająknięcia listę słodczy, o których marzy każde dziecko. Po kilku minutach Cate trzymała już w jednej ręce łyżeczkę z lodami cytrynowymi, w drugiej szklankę soku z czarnych porzeczek. Julius beztrąsko pochłaniał gruszkę i jakąś błękitną substancję.

- Tutaj - oznajmił, wymachując łyżeczką. - Tutaj jest moje miejsce!

Oszuści... Kto tak bardzo chciał się ich pozbyć? Cate zdawała sobie sprawę, że mogło to być wiele osób. Na przykład niezadowolony robotnik, chociaż nie przypominała sobie, żeby Mac kogoś zwolnił albo żeby kogoś nie satysfakcjonowały warunki umowy. Zawsze jednak ktoś taki się znajdzie. Może ta osoba pracowała z nimi wcześniej. W gruncie rzeczy bardzo łatwo było przejrzeć sekret Buchananów. Wystarczyło częściej przebywać w towarzystwie Cate i mieć oczy otwarte. Fremont mógł się domyślić. Nawet Gramble...

- Halo, halo - przywołał ją do rzeczywistości Julius.

Cate otworzyła usta, żeby go przeprosić, ale machnął lekceważąco ręką. - Niech pani da spokój. Pozwoliłbym pani dumać do rana, ale im bardziej pograża się pani w myślach, tym smutniejszą ma pani minę. Roztrzęsiona Cate o mało nie upuściła łyżeczki.

- Proszę się nie martwić - uspokoił ją. - Nie będę nalegał. Jeśli chce pani porozmawiać... - rozłożył ręce i gestem dłoni zachęcił ją do zwierzeń. - Jeśli nie, trudno.

-Jest pan zbyt uprzejmy - wykrztusiła Cate przez zaciśnięte gardło. Po raz pierwszy od bardzo dawna mówiła szczerze.

- Nonsens. Ja jestem tylko wścibską bestią, która ma trochę cierpliwości. - Mrugnął do niej, po czym wyjrzał przez okno. - Proszę, proszę. Wygląda jak siedem nieszczęść, prawda?

Cate niespodziewanie dla samej siebie wzdrygnęła się na widok Tregarona kroczącego po przeciwległej stronie placu. Nie widziała wyraźnie jego twarzy, ale trudno byłoby pomylić go z kimś innym. Szedł sztywno wyprostowany, laska twardo uderzała o bruk. Nawet Gryffydd sprawiał wrażenie zdenerwowanego.

- Chyba powinienem go zawołać. Gdyby zjadł coś nieprzyzwoicie słodkiego...

- Nie! - zawołała Cate i położyła Juliusowi dłoń na ramieniu, zanim zdążyła się zastanowić. - Na pewno ma do załatwienia jakieś sprawy i nie życzyłby sobie, aby go zatrzymywać.

Julius spojrział na nią zdziwiony, po czym wzruszył ramionami.

- Idzie do babki. Ona mieszka tuż za rogiem. To jedyna krewna, która spędza z nim czas, odkąd...

- Czy pan wierzy w tę historię o jego żonie? - spytała błyskawicznie, zanim opuściła ją odwaga. - Co pan o tym wie?

- Niestety nic. Słyszałem tylko plotki, a one są wyjątkowo nieprzychylnie dla starego Tregarona.

W zamyśleniu włożył do ust ostatnią łyżeczkę błękitnego lodu.

- Czy wierzę? Cóż, to musiał być tragiczny wypadek. Jestem pewien, że nie popchnąłby jej. Ale jeśli ona posunęła się za daleko w swoim zachowaniu, powiedział jej, co o tym myśli, nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Kłótnia na balkonie, pulsujące emocje, kilka kroków w złym kierunku...

- Lubi go pan.

- Bardzo.

- Dlaczego? - spytała Cate. Serce jej się ścisnęło, gdy mężczyzna z psem zniknęli za rogiem. - Przecież jest taki surowy, groźny.

- Rzeczywiście, i jako dziecko bałem się go. Nigdy w życiu nie spotkałem tak twardego mężczyzny. A, moja droga, gdyby znała pani mojego brata, zanim Sibyl wzięła się za niego, wiedziałaby pani, że mam ogromne doświadczenie z ponurymi, bezwzględnymi ludźmi.

- Dlaczego więc...?

- Dlaczego przekonałem się do Tregarona? Bo był dla mnie dobry na swój surowy sposób wówczas, gdy nasze ścieżki się przecinały. Tregaron i Tarquin chodzili razem do szkoły. Tregaronowi został tylko jeden semestr przed wyjazdem do Oxfordu, gdy ja rozpoczynałem naukę, ale zawsze pamiętał moje imię. Przesłał mi kanarka i paczkę słodyczy, gdy Tarquin powiedział mu, że złamałem nogę. Sprawił lanie jednemu dryblasowi za to, że ukraść mi czapkę.

- Zdziwiała mnie - w zadumie powiedziała Cate - jaką lojalność można zyskać, raz czy dwa razy okazując dziecku beztroską uprzejmość.

Julius uśmiechnął się ciepło i przebiegle zarazem.

- Najwyraźniej dzieci mają więcej rozumu, niż się powszechnie sądzi. Ale nie o to chodzi. - Spojrzał za okno w kierunku ulicy, w której zniknął Tregaron. - On zawsze okazywał tę samą beztroską uprzejmość każdemu.

- Nigdzie nie pójdziesz w takim stanie, Colwinie. Tregaron omal się nie uśmiechnął. Jak na osobę, która nie znosi spotkań

towarzyskich, babka miała ostatnio bardzo napięty plan zajęć.

Pomyślał, że dobrze wie, dlaczego. Prawdopodobnie sądziła, że na im więcej imprez go zaciągnie, tym szybciej wnuk zakocha się w jakiejś młodej damie, a przynajmniej polubi ją na tyle, by się z nią ożenić i spłodzić potomka.

Na pewno wiedziała też, że wcale nie miał ochoty wystawiać na pokaz swojej osoby. Jeśli jego „stan”, cokolwiek by to znaczyło, uniemożliwiał mu pojawianie się na balach, zamierzał utrzymać go jak najdłużej.

- Naprawdę, chłopcze, wyglądasz jak miotła wykorzystana niezgodnie z przeznaczeniem.

- A kiedyż to, babciu, ostatnio miałaś w ręku miotłę? Lady Tregaron klasnęła dłonią w oparcie krzesła.

- Nie podskakuj, bobasie! Jak się będziesz tak do mnie odnosił, wysmaruję ci buzię mydłem - powiedziała ze śmiechem. - Może jesteś chory? - spytała po chwili zatroskana.

- Nie.

Markiza kiwnęła głową. Tregaron dostrzegł w jej oczach wyraz ulgi.

- Mimo to wyglądasz strasznie.

- Nie jestem chory, babciu.

- Bardzo miło mi to słyszeć. Nawet nie wiesz, jak bardzo.

- Nie rozumiem.

- Na pewno się zakochałeś.

- Co? - Tregaron myślał, że się przesłyszał.

Lady Tregaron energicznie zadzwoniła po pokojówkę. Gryffydd nauczony doświadczeniem, że w tym domu dzwonek zawsze oznacza jedzenie, zajął miejsce obok krzesła gospodyni. Oboje wyglądali na znacznie bardziej ożywionych niż jeszcze kilka chwil temu.

- Ufam, że masz powody, aby tak twierdzić - mruknął Tregaron.

- Takie oskarżenia odczuwa się jak uderzenie żelaznym rondlem w głowę bez uprzedzenia.

- Jakie ostrzeżenie chciałbyś usłyszeć, mój drogi? A może ciekawia cię moje powody?

- Babciu...

- Och, nie próbuj warczeć i zionąć ogniem, Colwinie. Nie jesteś smokiem mimo tego, co twoja głupia...

- Babciu.

Lady Tregaron całkowicie go zignorowała. Pokojówkę, która właśnie weszła do salonu, poprosiła o przekąski.

- To naprawdę proste. Istnieją tylko cztery sytuacje, w których mężczyźni wyglądają na tak rozbitych, jak ty dziś. Po pierwsze, ciężka choroba. Wiemy już, że nie w tym przypadku. Po drugie - wyliczała, odginając po kolei upierścienione palce - strata pieniędzy na giełdzie. Ty jesteś zbyt rozsądny na to i zbyt bogaty. Po trzecie, śmierć psa albo konia. - Z roztargnieniem podrapała Gryffydda za uszami. Zwierzak zaczął radośnie popiskiwać u jej stóp. - Twoja bestia jest tutaj cała i zdrowa, więc i tę możliwość wykluczamy.

- A po czwarte, jak sądzę - wtrącił sucho - miłość. A nie na przykład śmierć ukochanej starszej krewnej.

- Tak, miłość - upierała się „ukochana starsza krewna”. -I proszę, uwierz mi, Colwinie, Belindą nie byłeś nawet w połowie tak zauroczony.

Tregaron nie czuł się na siłach spierać z babką. Gdy coś sobie ubzduriała, nie dało jej się tego wyperswadować przy użyciu żadnych argumentów.

- Nie bardzo mam ochotę rozmawiać o Belindzie.

- Wcale ci się nie dziwię. Popełniłeś straszny błąd.

- Babciu.

- Ależ tak, Colwinie. Od samego początku stanowiliście mieszkankę wybuchową. Nic dziwnego, że ją...

- Wypchnąłeś z balkonu? - dokończył zmęczonym głosem.

- Drogi chłopcze, gdybym tam była, wyręczyłabym cię.

Tak, raczej na pewno by to zrobiła.

- Nie byłby to przypadek - dodała. Teraz też jej uwierzył.

- Zaskakuje mnie, że znając moją przeszłość i mając o niej takie zdanie, jakie masz, namawiasz mnie, bym się ponownie ożenił.

- Tak jak powiedziałam, popełniłeś błąd, ale nie zrobisz tego ponownie. Dojrzałeś na tyle, by cenić w kobiecie nie tylko piękną buzię i chęć do zabawy. A ja wcale cię nie namawiam... - Wzruszyła ramionami. - Dobrze. Proszę bardzo, patrz tak na mnie dalej. Czuję się, jakbyś wbijał mi sztylet w serce. A ja tylko chcę, żebyś był szczęśliwy. Nie oszukasz mnie, wiesz? Niektórzy mężczyźni są stworzeni do małżeństwa i ty do nich należysz. Od razu widać, że tylko udajesz zadowolonego z siebie samotnika. Jesteś oszustem, Colwinie. Rozczarowałeś mnie.

Precz, oszuście!

Do tej chwili nie zastanawiał się dłużej nad tymi słowami. Raz spojrzął na kartkę i to mu wystarczyło. Wybiegł z domu, wepchnął Cate do dorożki i wysłał ją domu, choć ciało nadal mu płonęło na wspomnienie jej dotyku i zapachu.

Och, Cate. Energiczna, pełna życia, cudowna Cate. Nie bała się śmiać z niego, drażnić się z nim i namiętnie go całować.

Źle postąpił. Był wobec niej bezlitosny, odepchnął ją i ukarał za to, że zachowywała się zupełnie naturalnie, zadawała oczywiste pytania. Zapakował ją do dorożki i odesłał do domu.

Mimo że wiele tygodni temu uświadomił sobie, jak bardzo jej pragnie, popełnił karygodny błąd. Sądził, że może wrócić do stolicy, spotykać się z ludźmi, którzy go osądzali, i znaleźć między nimi następczynię Belindy, by porwać ją do swojej walijskiej twierdzy. Teraz płacił za swoje oszustwa i arogancję.

Źle czuł się w Londynie wśród osób, które uważał za równe sobie tylko ze względu na urodzenie. Poza tym szczegółem nie miał z nimi nic wspólnego. I ktoś miał czelność - już dwukrotnie - wypomnieć oszustowi z Walii jego kłamstwa.

- Naprawdę, Colwinie, to nie może być aż tak straszne.

- Hmm?

- Wyglądasz, jakbyś zastanawiał się nad czymś koszmarnym. Po co? Idź, porwij dziewczynę w ramiona, czy też zrób coś, co teraz robią młodzi mężczyźni, i już.

Tregaron nie miał bladego pojęcia, co teraz robią młodzi mężczyźni. Dziesięć lat temu, gdy zauroczyła go Belinda, wystarczyło

przez dwa tygodnie udawać szarmanckiego amanta, a potem porozmawiać z jej chciwym ojcem.

Westchnął.

- Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, babciu, że na tym świecie jest mnóstwo kobiet, które się mnie brzydzą?

- Bzdury! A twój tytuł? Majątek?

- Właśnie.

- Och, Colwinie, daj spokój. Jesteś świetną partią.

- A ty, babciu, nie jesteś bezstronna. Lady Tregaron prychnęła.

- Nie o to chodzi. Widziałam, jak na ciebie patrzyła na balu u Tarrantów. Jeśli cokolwiek ją wtedy w tobie brzydziło, to jestem królową Elżbietą.

- Nie wiem, o kim mówisz.

- Uwierzę, że jesteś trochę szalony, Colwinie, ale nigdy nie uwierzę, że szwankuje ci pamięć. I choć muszę przyznać, że nie jestem zachwycona, że poślubisz rudą kobietę, to nie mam nic przeciwko temu.

- Babciu, ja nie...

- Przestań zaprzeczać, Colwinie. Robisz się nudny. Po prostu przyznaj, że nie pomyliłam się co do tej Hepburnówny.

- Buchananówny.

Lady Tregaron uśmiechnęła się przebiegle.

- Widzisz, znów mam rację. Przyznaj to, a od razu poczujesz się lepiej. O, proszę, jest nasza herbata!

Tregaron z trudem powstrzymał cisnący mu się na usta uśmiech. Babka oczywiście miała rację. Zakochał się w Cate. Tak chciał przewrotny los.

RS

- Wstyd! - oświadczyła lady Leverham, stukając pulchną dłonią o ścianę swojego powozu. - Niesłychane! Czy rzeczywiście nie mógł być pan nieco bardziej dyskretny w obecności tej plotkarki Reynolds i jej zbzikowanej córki? Czuję się w obowiązku poinformować pana, że nie traciły czasu i rozpowie-działy tę historię komu się dało. Boże, boję się nawet pomyśleć, jakie plotki jeszcze do mnie nie dotarły!

Kazanie trwało już od kilku minut. W pojeździe było gorąco i kobieta szybko opadała z sił. Piórko ozdabiające jej bizantyjski kapelusz opadło na bok. Długi szal odłożyła na siedzenie obok siebie.

- Naprawdę nie lubię strofować ludzi - ciągnęła. - Wyczerpuje mnie to. Ale zaniedbałabym swoje obowiązki jako przyjaciółka i sąsiadka Buchananów, gdybym nie zareagowała. Słucham, co ma pan na swoje usprawiedliwienie?

Tregaron uśmiechnął się do swojej rozmówczyni i spojrzał groźnie na jej małpę, która przycupnęła na siedzeniu naprzeciwko. Mała bestia od jakiegoś czasu wpatrywała się uważnie w jego złoty łańcuszek od zegarka.

- Co życzy pani sobie, abym powiedział?

- Jak to co! Że to wszystko nieprawda! - zawołała ochoczo.

- Obawiam się, że nie mogę.

- Tak też myślałam, ale spytał mnie pan o zdanie, więc je wyraziłam.

Tregaron kiwnął głową.

- Klnę się na swój honor, o pani, że nie było mym zamiarem zniesławić twych zacnych przyjaciół.

- Hmm - odrzekła enigmatycznie, ale Tregaron odniósł wrażenie, że uśmiechnęła się lekko.

Spróbował przypomnieć sobie jakieś inne średniowieczne słowa i wyrażenia, ale do głowy przyszło mu jedynie mało przydatne „zaiste”. Miał nieprzepartą ochotę na filiżankę mocnej kawy, mniej więcej godzinną lekturę Timesa i jeszcze pół godziny spokoju. Nie przywykł, by odrywano go od śniadania. Lady Leverham czekała na niego w swoim powozie stojącym przed hotelem. W liściku napisała, że nie ruszy się z miejsca, dopóki do niej nie zejdzie.

Oczywiście zjawił się na dole, gdy tylko odpowiednio się ubrał.

Była to zbyt wczesna pora na wysłuchiwanie surowych wyrzutów zirytowanej matrony. Tym bardziej nieodpowiednia, by dowiedzieć się, że nieszczęsne wydarzenia wczorajszego dnia są już na ustach mieszkańców Londynu. Zastanawiał się, czy nowiny dotarły do Cate.

- Rozważę dziś, co powinienem zrobić w tej trudnej sytuacji...

- To tragiczna sytuacja! Catherine nie ma żadnej pozycji w społeczeństwie, a panu brakuje odpowiedniej reputacji, by uciszyć plotki. Zrobię co w mojej mocy, ale Bóg jeden wie, co mimo to będzie z Lucy.

- Z Lucy? - Sądził, że rozmawiali o Cate.

- Tak, Lucy. Catherine to wspaniała dziewczyna i bardzo ją lubię, ale jej wcale nie zależy na dobrej reputacji. Ona wcale nie myśli

o małżeństwie, zresztą nigdy nie myślała. Jej siostra wprost przeciwnie. Te plotki mogą jej zaszkodzić.

Rzeczywiście mogą, tylko że jego nie martwił los Lucy. Dziewczyny jej pokroju zawsze lądują na cztery łapy jak kot. Świetnie rozumiał, że Cate znalazła się w o wiele gorszej sytuacji. Nie wierzył, że nigdy nie marzyła o małżeństwie. Na pewno pragnęła wyjść za mąż i plotki jej zaszkodzą o wiele bardziej niż Lucy.

- Obiecuję, że odwiedzę pannę Buchanan - oznajmił niepewny, co dobrego takie spotkanie może przynieść. - Jeszcze dziś rano.

- Hmm.

- Jeśli ma pani inne sugestie...

- Niech pan wraca do domu, Tregaron.

- Słucham? - spytał zirytowany. Miał już serdecznie dosyć ludzi, którzy radzili mu wyjeżdżać do Walii. Z rozkoszą by tam pojechał, ale z własnej nieprzymuszonej woli.

- Niech pan wraca do swojego domu. Catherine tam jest.

- Och. - Dopiero teraz zrozumiał. Najwyraźniej czekała go kolejna wizyta w rezydencji. - Dziękuję pani. Już idę. Lady Leverham i Galahad odwrócili się od niego. Najwyraźniej rozmowa dobiegła końca. Tregaron miał wrażenie, że przesłuchiwała go inkwizycja i że nie poszło mu zbyt dobrze. Otworzył drzwi powozu i wyszedł na ulicę.

- Do wi... - zaczął.

- Niech już pan idzie! I tym razem po przyjeździe niech się pan nigdzie nie kryje! - warknęła. - Ruszaj! - krzyknęła do woźnicy.

Tregaron ledwo zdążył zatrzasać drzwiami i cofnąć się.

- Wygląda pan na zmarnowanego. Obok stał znajomy obdartus.
- Dzień dobry, Harrisie. Chyba jesteś zajęty? -Chłopiec był brudny jak zawsze 'y oblepiony pierzem. - Jadłeś dzisiaj?

- Tak. Owsiankę o świcie. Teraz odpoczywam sobie chwilkę.
Dopóki mnie nie przegoni w każdym razie.

Kątem oka Tregaron spostrzegł portiera czającego się w drzwiach hotelu.

- Jeśli daje ci się we znaki - wskazał na wejście -tylko mi powiedz. Ja się nim zajmę.

Harris uśmiechnął się.

- Dzięki, ale umiem sam o siebie zadbać.

- Tak, chyba masz rację.

- Za to pan... - Harris wetknął sobie za koszulę koniec krótkiego zakrzywionego kijka i podrapał się. -Panu chyba przydałaby się pomoc. Jakaś dziewczucha, co?

- Jak ty się wyrażasz?

- To żadna odpowiedź.

- Nie muszę ci odpowiadać. - Tregaron sięgnął do kieszeni kamizelki po monetę, która błyskawicznie zniknęła w dłoni chłopca. - Muszę zresztą już iść.

- Lubią kwiaty. I małe, błyszczące przedmiociki.

- Rozumiem, że mówisz o dziewczuchach.

- A o czym by innym? - Dzieciak przewrócił oczami. - Jak na takiego eleganta, myśli pan powoli.

- Chyba tak. Masz jeszcze jakąś radę?

- Tak. Niech im pan obieca niebo. Cale niebo. To ważne.

- Powinieneś ograniczyć swoje rady do dziedzin, o których masz jakieś pojęcie. - Tregaron pokręcił głową z uśmiechem. - Niech Bóg ma mnie w swojej opiece, jeśli w tych sprawach zacznę polegać na słowach dzieciaka.

- Jestem starszy, niż pan myśli. Ale proszę, niech pan adoruje swoją damę po swojemu. - Harris wskazał głową na hotel. - Słyszałem, że kawalerom nieźle się tu mieszka.

Chłopak pstryknął palcami w daszek czapki, błysnął zębami i odszedł.

Tregaron złapał się na tym, że wciąż się uśmiecha, gdy wrócił do pokoju. Nie sądził, żeby Cate żądała kwiatów albo małych, błyszczących przedmiotów. Natomiast całkiem sensowna była trzecia propozycja Harrisa. Obiecać niebo. Łebski chłopak, chociaż całe dni spędza, czyszcząc kominy, pomyślał.

Tregaron nie pierwszy raz przekonał się, że prawdziwa pomoc czasem przychodziła zupełnie nieoczekiwanie.

Cate wiele dni spędziła w dziwniejszych miejscach niż to, w którym się w tej chwili znajdowała. Uciekła tu przed Lucy i lady Leverham i nie zamierzała się stąd ruszyć ani na krok nawet do dnia sądu ostatecznego, jeśli będzie trzeba.

A siedziała właśnie na samym szczycie drabiny w bibliotece. Siostra ganiała ją po całym budynku, domagając się wyjaśnień i oferując niechciane współczucie. Początkowo weszła za Cate i do biblioteki, ale uciekła, gdy MacGoun zajrzał do pokoju i spytał, czy Cate nie widziała tam więcej szcurów. Nadzorca chciał pozbyć się Lucy z rezydencji tak samo jak jej siostra.

Cate zdejmowała książki z półek. Pakowała je do koszyka i spuszczała na podłogę. Schodziła potem na dół, odkurzała je i wkładała do pudełek. Gdy półki zostaną odnowione, wszystkie tomy powrócą na miejsce. Była to powolna, żmudna praca. Najwyżej stały podręczniki medyczne i astronomiczne - w języku niemieckim. Cate nie znała niemieckiego, więc mechanicznie brała jedną książkę po drugiej i układała je w pudełkach.

Nie chciała myśleć o Tregaronie, ale monotonne zajęcie sprzyjało rozmyślaniom.

Po pospiesznym wyjściu z domu przykazał jej tylko, żeby poinformowała stryjów, że mogą zrobić z biblioteką, co chcą.

Nie rozumiała, dlaczego zmienił zdanie. Może z powodu kolejnych nieprzyjemnych skojarzeń, których chciał się pozbyć. Jeśli chodziło mu o to, by wymazać z pamięci te kilka gorących chwil, które spędził na dywanie z bratanicą swoich architektów, to dywan można z łatwością usunąć. Tak czy inaczej, Cate nie była męczennicą, by zadrećcać się rozważaniem przyczyn jego decyzji. Wykonywała po prostu polecenie pracodawcy i projektowała nowy wystrój biblioteki.

Miał być bardzo podobny do starego. Wymieni się tylko część mebli, przede wszystkim połamane krzesła i kanapę. Majestatyczne biurko wystarczy odczyścić. Poplamiony, częściowo zjedzony przez mole dywan nadawał się tylko do śmieci, podobnie jak potłuczone kieliszki i porwane książki. Podłogi i półki odświeży się, a w kominku ułoży nowe cegły i wstawi nową kratę.

Cate niełatwo było przebywać w tym pokoju. Każdy przedmiot przypominał jej Tregarona - dywan, drewniane łyżki, nawet te

niemieckie książki. Były eleganckie, surowe i całkowicie niezrozumiałe. Dokładnie tak jak ich właściciel.

Cate odruchowo mocno przycisnęła do piersi tom, który trzymała w dłoniach.

- Co pani, na litość boską, robi tam na górze?

Przerażona Cate o mało nie spadła z drabiny. Upuściła książkę, która z głuchym hukiem uderzyła o podłogę jakieś pięć metrów poniżej. Przeleciała zaledwie kilka centymetrów od głowy Tregarona.

- Proszę stamtąd natychmiast zejść! - warknął. Cate wpatrywała się w niego zaskoczona.

- Co pan tu robi?

- Mam dziwne wrażenie, że ciągle powtarzam to samo. Proszę zejść z drabiny, żebyśmy mogli porozmawiać. Cate - dodał ostrzegawczym tonem. - W tej chwili.

Dziewczyna zaczerwieniła się oburzona. Jak on śmie tak wchodzić do pokoju i udawać pana na włościach! Nieważne, że to rzeczywiście były jego włości, ona nie miała zamiaru znosić jego impertynencji.

- Nie - rzuciła wściekła. - Tu mi jest wygodnie.

- Przecież siedzi pani na wąskiej drabinie sześć metrów nad ziemią!

- Co z tego?

- Jak wygodnie może pani być... Och, do diabła z tymi przekomarzaniami. Proszę ostatni raz - wycedził przez zaciśnięte zęby. - Niech pani zejdzie na dół.

- To nie była prośba, tylko rozkaz.

- Cate...

- Nie lubię rozkazów, lordzie. I nie życzę sobie z panem rozmawiać w tej chwili. Do widzenia.

Odwróciła się do regału, wyjęła z niego kolejną książkę i zaczęła ją przeglądać. Cały czas starała się nie czuć tak głupio, jak musiała wyglądać.

- Do diabła, Cate.

Drabina zakołysała się lekko, gdy Tregaron chwycił za pręty. Cate zerknęła na dół i zaskoczona ujrzała, jak markiz zaczyna wspinać się na górę. Na drugim szczeblu zatrzymał się.

- Na litość boską - mruknął, gdy zszedł na podłogę. - To jest żałosne!

Patrzył na nią z taką wściekłością, że Cate przestraszyła się, iż zaraz swoimi potężnymi rękami podniesie drabinę i wyrzuci ją przez okno. Po chwili jednak opanował się i puścił pręty.

- W porządku, jak pani sobie życzy - powiedział i podszedł do kominka. Oparł się ramieniem o półeczkę. - Musimy porozmawiać... o nas.

- Wiem.

Nic dziwnego, że się tak wścieka, pomyślała. Znow znalazł się na językach całego Londynu, tym razem nie w związku z morderstwem, co prawda, ale fakt, że plotki łączą go z bratanicą jego architektów, na pewno utrudni mu poszukiwanie żony.

Lady Leverham potwierdziła wszystkie podejrzenia Cate w tym względzie. Kobieta, na przemian załamując ręce i besztając ją, przyznała, że markiz przyjechał z Walii po drugą żonę. Cate zresztą

wcale się nie zdziwiła. Żadna z nich natomiast nie wiedziała, jak daleko sięgnęły plotki. W gruncie rzeczy nie miało to jednak znaczenia. Do wieczora historia ta znajdzie się na ustach wszystkich londyńczyków.

Jeśli Fremont postanowi dodać swoje trzy grosze i opowie o ich związku, reputacja Cate będzie zrujnowana. Co gorsza, cała ta nieprzyjemna sytuacja odbije się na Lucy, a także rodzinnym interesie. Cate nie miała złudzeń. Dobrze wiedziała, jak mało trzeba, by ludzie odwrócili się od nich.

- Bardzo możliwe, że wkrótce wrócimy do Szkocji - oznajmiła, nie do końca pewna, że chciała to powiedzieć na głos. - Do tego czasu nie muszę pokazywać się publicznie.

- A więc zamierza pani odizolować się od społeczeństwa w jeszcze większym stopniu niż do tej pory.

- Nie mam wyboru. I wcale go nie potrzebuję.

Tregaron podniósł z kominka jedną z drewnianych łyżek i zaczął uderzać nią o wnętrze dłoni. Cate krzywiła się po każdym klaśnięciu.

- Ja mam dla pani inną propozycję.

- Ale ja właśnie powiedziałam, że nie chcę...

- Tak, tak. Wiem. Bardzo to szlachetne z pani strony, ale proszę wysłuchać mnie do końca. - Przesunął palcem wzdłuż krzyża wyłobionego w łyżce. - Czuję się odpowiedzialny za tę sytuację.

- Niepotrzebnie - krótko odparła Cate. - Jestem dorosłą kobietą. Nikt mnie do niczego nie zmuszał. - Może uwiódł, ale przecież wcale się nie broniła. -Z godnością stawię czoło konsekwencjom.

- Świadczy to o pani dojrzałości - mruknął - ale proszę być cicho i pozwolić mi skończyć. Czuję się odpowiedzialny za sytuację, w której znalazła się nie tylko pani, ale i cała pani rodzina. Nie pozwolę, aby pani siostra albo interes stryjów ucierpiał z powodu mojego błędu.

Cate nigdy nie uważała się za błąd. Rzeczywiście całowanie się z Tregaronem nie było zbyt rozsądne, ale za to cudowne. Zabolało ją, że jedyna osoba, dla której mogło to być równie wspaniałe przeżycie, zlekceważyła je zupełnie.

- Nie wiem, jakie konkretnie plotki krążą na ten temat - ciągnął - ale domyślam się. Dla mnie nie ma to żadnego znaczenia, bo jestem przyzwyczajony, że strzepi się na mnie języki, ale pani...

- Jakoś przeżyję.

- Nie wątpię. Spodziewam się, że przeżyłaby pani nawet, gdyby ktoś trafił panią strzałą prosto w serce. Tak czy inaczej znalazłem wyjście z tej niezręcznej sytuacji. Musi pani wyjść za mnie.

Cate nie wierzyła własnym uszom.

- Przestanie pani stanowić pożywkę dla plotek z chwilą, gdy ogłosimy oficjalne zaręczyny. Zresztą pani, jak mniemam, nie ma zamiaru bratać się z wyższymi sferami. Co więcej, ponieważ Lucy będzie wówczas moją szwagierką, wyznaczę jej spory posag, żeby mogła poślubić, kogo zechce. Mam też wystarczająco dużo posiadłości, żeby zapewnić pani stryjom pracę na długie lata. -

Odłożył łyżkę na półeczkę. - Co pani na to?

Cate długo nie potrafiła zebrać myśli.

- Czy pan całkiem zwariował? - spytała.

- Zwariowałem? - Tregaron odniósł wrażenie, że źle zrozumiał.

- Tak! Nie tylko znieważył mnie pan, ale te pańskie oświadczenia, o ile w ogóle można je tak nazwać, to najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałam. Równie dobrze mógłby pan zaproponować, abyśmy napili się cykuty!

- Daj spokój, Cate.

- Dosyć tego! - krzyknęła. - Okazałam panu pewne względy, lordzie Tregaron, może nawet niechcący dałam panu do zrozumienia, że będzie pan mógł pozwolić sobie na więcej. Ale nigdy, przenigdy nie zgodzę się, by traktowano mnie jak przygłupią służącą waszej wyimaginowanej wielmożności. Nigdy też nie zezwoliłam panu, by zwracał się pan do mnie po imieniu!

Podniosła do góry książkę, gotowa zrzucić ją na dół dla większego efektu.

- Catey!

Oboje z Tregaronem odwrócili się do drzwi. W progu stał stryj Ambrose, a zza jego ramienia widać było kępkę włosów Angusa.

- Co w ciebie, na Boga, wstąpiło? - spytał Ambrose.

- Bądź grzeczną dziewczynką i odłóż tę książkę - zasugerował Angus i wcisnął się do pokoju - zanim trafisz nią kogoś w głowę.

Przerażona Cate odstawiła tom na półkę.

- Panowie, proszę... - zaczął Tregaron.

- A jeśli chodzi o ciebie, arogancki szczeniaku - Ambrose pogroził markizowi potężnym palcem - uważaj, bo się do ciebie dobiore za dręczenie mojej bratanicy.

- Zaraz, zaraz - mruknął Angus. - Nie wiemy przecież, co się tu wydarzyło.

- On mnie śmiertelnie obraził - wybuchnęła Cate.

- Oświadczyłem się jej! - prędko odparł Tregaron. Zbity z tropu Angus odrapał się po głowie.

- Cóż - powiedział - chyba niektórzy rzeczywiście mogliby uznać takie zachowanie za obraźliwe...

- Och, Angus, ty wariacie - przerwał mu Ambrose. - Przymknij się. - Zwrócił się do Tregarona. - Czy były to poważne oświadczyzny?

-Tak.

Cate prychnęła. Ambrose rzucił jej groźne spojrzenie, po czym odwrócił się do markiza.

- Czy obraza była również poważna?

- Te oświadczyzny to obraza! - warknęła Cate. Ambrose przyglądał jej się dłuższą chwilę.

- Czy robiłaś coś, czego nie powinnaś, Catey? Dziewczyna przewróciła oczami.

- Całą masę rzeczy. - Stryj chrząknął niezadowolony, więc spuściła wzrok i odparła: - Jeśli pytasz, czy lord Tregaron oświadczył mi się, bo musiał, to odpowiedź brzmi „nie”.

- Wspaniale. - Ambrose potarł brodę. - Cudownie. Jesteś pewna, że chcesz go odrzucić?

- Tak.

- On ma całkiem przyzwoity dom.

- Niepotrzebny mi dom.

- Jest bogaty jak Krezus.

- Stryju!

Ambrose wzruszył ramionami.

- Po prostu stwierdzam fakty. Oczywiście, że nie musisz za niego wychodzić, jeśli nie chcesz. Ale skoro te sprawy zawsze i tak sprowadzają się do pieniędzy, pomyślałem, że od razu przejdziemy do rzeczy.

Cate powstrzymała się, żeby nie walnąć go książką. Miała też ochotę sama walnąć głową o ścianę.

- Wiesz co, Ambrose'ie - wtrącił Angus - w chwilach takich jak ta rozumiem, dlaczego się nigdy nie ożeniłeś. Nie masz w sobie za grosz romantyzmu.

- Ach, tak? - Ambrose skrzyżował ramiona na piersiach. - A ty dlaczego nie znalazłeś sobie żony?

- Panowie - próbował zażegnać kłótnię Tregaron.

- Jestem kawalerem nie ze względu na brak romantyzmu - dumnie odparł Angus. - Moja wrażliwość nie ma sobie równych. Ty natomiast nie rozpoznałbyś wrażliwości, nawet gdyby spadła ci na głowę.

- Panowie, proszę. - Tregaron uderzył pięścią w stół. - Nie wydaje mi się, żeby ta dyskusja mogła nam pomóc w rozwiązaniu problemu. Na pewno was obu satysfakcjonuje stan kawalerski...

- I kto to mówi - przerwał mu Ambrose. - To pańskie oświadczyzny zostały właśnie odrzucone.

Markiz zacisnął zęby.

- Wycofuję je! - wycedził. - Następnym razem, gdy postanowie odnowić dom, niech Bóg mi ześle Roberta Adama.

- On nie żyje, lordzie - usłużnie podpowiedział Angus.

- Wiem! - ryknął Tregaron i wyszedł z pokoju.

- To by było wszystko - podsumował Angus.

- Tak. Nie będzie ci się więcej naprzykrzał swoimi oświadczeniami - dodał Ambrose. - Zadowolona?

- Przeszcześliwa. - Cate stwierdziła, że nie ma sensu tłumaczyć stryjom, że w tej chwili czuła się jedynie trochę chora. - Jestem wam potrzebna? - zmieniła temat.

- Nie, nie - Ambrose potrząsnął głową. - Przyszliśmy ci powiedzieć, że dziś rano dostaliśmy kolejne zlecenie. Ponieważ tu już kończysz, chcieliśmy zapytać, kiedy mogłabyś zacząć następny projekt.

- Kolejne zlecenie. - Cate nie ucieszyła się tak, jak się spodziewała, ale biorąc pod uwagę zaistniałe okoliczności, było to zrozumiałe. W każdej chwili los mógł im odebrać tę drobną łaskę.

- Tak. Potem oczekujemy następnego - radośnie oznajmił Angus.

- W Londynie?

- Nie. - Ambrose wzruszył ramionami. - Pierwsze jest niedaleko Yorku. Ten gość przyjechał do stolicy, zobaczył rezydencję Tregarona i napisał do nas po powrocie do siebie. Jego żona chce całkowicie odnowić mieszkanie. Drugie zlecenie, o ile je dostaniemy, jest w Dumfries. Od kuzyna lorda Leverhama.

- York - mruknęła Cate. Dumfries. Niewątpliwie z dala od plotek. Ale i od wielu innych rzeczy.

- Będzie mi bardzo brakowało muzeów - stwierdził Ambrose.

- I kościołów - ponuro dodał Angus.

Cate powoli zeszła z drabiny. Minęła stryjów i stanęła przy otwartym oknie. Chłodna bryza poruszyła jej rękawem. Poniżej

Mayfair pulsowało swoim codziennym życiem. Gdzieś tam siedział pewien mężczyzna. Cate spojrzała w jedną i drugą stronę, ale już go nie dostrzegła. Straciła go nie tylko z oczu.

Tregaron szybkim krokiem oddalał się od rezydencji. Jak ona śmiała, denerwował się. Jak mogła odrzucić jego oświadczenia, jakby było to zaproszenie na spacer po tłuczonym szkłem? Bez względu na swój urok Cate raczej nie dostanie wielu tego typu propozycji. Była zbyt bezpośrednia, zbyt inteligentna, zbyt wysoka dla większości mężczyzn. Tregaron nie znalazł nikogo, kto chciałby związać się na całe życie z jej ostrym językiem, bystrym umysłem i długim... giętkim... ciałem.

On chciał. Pragnął panny Catherine Buchanan do szaleństwa. Ona tymczasem dała mu wyraźnie do zrozumienia, że nie przyjmie go za nic w świecie.

Na rękaw upadł mu kawałek sadzy. Otrzeptał go z obrzydzeniem. Nie, kwiaty nic by nie zmieniły. Wyszedłby na głupka, gdyby tak stał kilka metrów niżej od niej z bukietem w dłoni. Tak samo mały, błyszczący przedmiot. Wolałby sobie nie wyobrażać, co zrobiłby Ambrose Buchanan, gdyby zastał go, jak próbuje wręczyć Cate diamentową broszkę. Najpierw by mu dołożył, a potem zadawał pytania.

Mógł co prawda obiecać Cate niebo. Sprawy raczej nie potoczyłyby się jeszcze gorzej. Może tak właśnie trzeba postępować z kobietami. Obsypywać je kwiatami, klejnotami i składać obietnice, których nie da się dotrzymać.

Przydałby mu się kieliszek brandy. Co z tego, że jeszcze przedpołudnie.

Na ulicy Bond odruchowo skręcił w kierunku St. James. Dochodził już do Piccadilly, gdy przypomniał sobie, że kierownictwo klubu poprosiło go uprzejmie osiem lat temu, by zrezygnował z członkostwa.

Zrobił to bez dyskusji. Wówczas nie zamierzał wracać do Londynu. Teraz miał do wyboru albo znaleźć miejsce, gdzie będzie mógł się upić do nieprzytomności, albo przejść do porządku dziennego nad tą nieprzyjemną sytuacją i zająć się swoimi sprawami. Ruszył na poszukiwanie gospody.

- Nie posłuchał mnie pan, co?

Tregaron zwolnił, gdy niespodziewanie pojawił się przy nim mały Harris, umorusany jak zwykle.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Wygląda pan jak chmura gradowa. Ma pan szylinga?

- Na co? - spytał Tregaron, choć sięgał już do kieszeni.

- Po prostu grzecznie pytam - padła odpowiedź. -Moja mama zawsze powtarza, żeby być grzecznym. Ale dam panu za niego kolejną radę.

- Masz tego szylinga i proszę, nie racz mnie już swoimi radami.

Moneta zniknęła w kieszeni chłopca.

- A więc wraca pan tam, skąd przyszedł? Och, była to kusząca myśl.

- Do Walii. Może.

- Chyba nie przydałby się tam panu lokaj, co? Tregaron miał ochotę się uśmiechnąć.

- Nie, raczej nie, ale mój zarządca na pewno znalazłby ci jakąś lżejszą pracę, oczywiście po lekcjach.

- Szkoła? - Chłopiec otworzył szeroko oczy. - Wysłałby mnie pan do szkoły?

- A co? Myślisz, że już wszystko wiesz o życiu?

Harris parsknął urażony.

- Dużo się zdążyłem nauczyć. Tregaron poklepał malca po głowie.

- Nie mów, że lubisz swoją pracę. Kominiarczyk pomyślał przez chwilę, po czym wzruszył ramionami.

- Nie wybierałem jej sobie. Taki już mój los, ale pomyślałem, że spytam o tę posadę.

-I to grzecznie. Cóż, wiesz, gdzie mnie znaleźć, gdybyś zmienił zdanie i postanowił przyjąć moją pomoc.

- Szyling w zupełności mi wystarczy. A to ja próbuję pomóc panu...

- Dziękuję za troskę, Harris, ale jakoś sobie poradzę. Chłopiec prychnął.

- Głupi jak but.

Tregaron zastanowił się, czy rzeczywiście Harris ma rację. Nie, stwierdził zdecydowanie, na pewno nie jest głupi. Po prostu starał się przejść przez życie bezkonfliktowo. Oczywiście od czasu do czasu los wtrącał swoje trzy grosze.

- Och, Harrisie. Czyż życie nie jest czasem jak szturchnięcie w zadek ostrym kijem?

- Nigdy nie patrzyłem na nie w ten sposób, ale skoro tak twierdzisz...

Tregaron odwrócił się na pięcie. Stał za nim Julius Rome. Po malcu nie było ani śladu.

- Dokąd poszedł?

- Kto?

- Kominiarczyk. Rozmawialiśmy o życiu. Rome spojrział na niego zdziwiony.

- Nie widziałem tu żadnego kominiarczyka, ale oni potrafią przemykać się po ulicach niezauważeni. Może się mylę, ale wyglądasz koszmarnie.

- Czyżby? Niemożliwe.

- Twoje kłopoty można streścić jednym słowem: Buchanan.

Mam rację?

- Mylisz się - odparł Tregaron, ale bez przekonania.

- Często. Masz ochotę na tabakę?

Tregaron nie przepadał za tą używką, ale teraz chętnie by się poczęstował.

- Czemu nie.

Czekał, aż Julius wyciągnie z kieszeni tabakierkę.

- Och, nie wziąłem jej ze sobą. Ale właśnie szedłem do Friburga i Treyera. Może pójdziesz ze mną?

- Właśnie szedłem napić się brandy - odrzekł Tregaron. - Może pójdziesz ze mną?

Rome uprzejmie nie zerknął na zegarek, choć ręka powędrowała mu w stronę kieszeni.

- Tak się składa, że jeszcze nie jadłem. Zapraszam cię na śniadanie do mojego klubu.

- W St. James uważa się mnie za osobę niepożądaną.

- Tak? Nie szkodzi. Połowa członków Klubu White'a jest prawie martwa. W Izbie Lordów nikt nie widzi różnicy między starczym zeszywnieniem i śmiertelnym nudziarstwem.

Tregaron poczuł, jak usta rozciągają mu się w lekkim uśmiechu.

- Mimo to...

- Są kelnerzy - dalej namawiał go Rome. - Jedzenie smakuje jak boska ambrozja.

- Niewiele wiem o niebie.

- Tak, cóż. Poza tym miejsce to nie jest szczególnie święte.

Tędy, przyjacielu.

Markiz pozwolił się zaprowadzić w dół Piccadilly.

- Pomyślałem sobie - zagadnął Julius - że może zainteresowałby cię bardzo ciekawe plotki, które niedawno do mnie dotarły...

Tregaron wyszedł z pokoju dopiero po zapadnięciu zmroku. Założył najlepsze - a w każdym razie najdroższe - ubrania z garderoby przygotowanej przez Schwarza i Noble'a. A do tego stare dziesięcioletnie buty. Wypolerowane do połysku wyglądały całkiem przyzwoicie. Miał oczywiście nowsze, modniejsze pary, ale chciał się ubrać odpowiednio do okazji. W tej chwili liczyła się tylko wygoda.

Gdy tylko wyszedł z hotelu, drogę zabiegła mu mała postać. Tregaron pomyślał, że to Harris, i odruchowo sięgnął do kieszeni po monetę. Ale twarz pod daszkiem czapki nie była buzią znajomego kominiarczyka.

- Lord Trigarun?

- Pewnie tak - odparł.

Kątem oka zerknął na ulicę, żeby sprawdzić, czy nie gdzieś w pobliżu nie ma wolnej dorożki.

- Co?

- Tak, Tregaron.

- Więc to dla pana.

Chłopiec wręczył mu kawałek pomiętego, zatłuszczonego papieru i spojrzął na niego wyczekująco.

Tregaron podał mu szylinga.

- Kto... - zaczął, ale malec zniknął w ciemnościach, gdy tylko chwycił monetę.

Zaprzątnięty swoimi myślami za ledwie rzucił okiem na liścik. Machnięciem ręki wezwał dorożkę. Powiedział woźnicy, dokąd ma jechać, i dopiero wtedy spokojnie przeczytał wiadomość. Okazało się, że dobrze zrozumiał jej treść.

Zostałeś ostrzeżony.

- Niech to szlag trafi - mruknął pod nosem. Nie miał teraz czasu na te gierki. Musiał zająć się sprawami życia i śmierci. Nie mógł odłożyć ich na później.

Na ulicy Oxford zrobił się mały zator. Na środku jezdni zatrzymały się wiejska fura i nowoczesny faeton. Zniecierpliwiony Tregaron wyjrzał przez okno. Węglarz wydierał się na młodego człowieka, który próbował złapać swój wykrochmalony kołnierz jedną ręką, a drugą przytrzymać opadający płaszcz. Starszy mężczyzna był bliski rzucenia się z pięściami na powożącego faetonem. Zirytowani woźnice innych pojazdów wrzeszczeli ze swoich miejsc. Rosnący tłum gapiów świetnie się bawił.

Tregaron walnął pięścią w okno dorożki. Gdyby szukał rozrywki, poszedł by do cyrku.

- Jedź! - polecił woźnicy. - Nie, poczekaj.

Mrucząc coś pod nosem, wysiadł na ulicę i przepchnął się przez tłum. Węglarz złapał właśnie młodego mężczyznę za krawat i podniósł go do góry, tak że ten dotykał ziemi jedynie czubkami palców u nóg.

- Panowie. - Tregaron kiwnął przyjaźnie głową w stronę węglarza. - Panie Reynolds.

Charles Reynolds zbladł, co musiało być dla niego nie lada wysiłkiem, jeśli wziąć pod uwagę, że właśnie był duszony.

- Tregaron - wykrztusił.

- Wygląda na to, że wpakował się pan w niezłą kabałę. Co takiego pan zrobił?

- Nic - padła niewyraźna odpowiedź. - Ten idiota... -

Reynoldsowi oczy wyszły z orbit, gdy potężny mężczyzna ścisnął pięść i mocniej nim potrząsnął.

- Wydaje się, że twój szlachetny przeciwnik ma na ten temat inne zdanie - oznajmił Tregaron. - Czy została wyrządzona jakaś szkoda?

Węglarz wyczuł w Tregaronie niespodziewanego sprzymierzeńca i wskazał kciukiem wolnej dłoni na swój wóz.

- Wypadł z za zakrętu jak ślepy byczek. Musiałem szarpnąć lejcami i moja szkapa zgubiła podkowę. A to - brodą wskazał na faeton - powinno się utopić w Tamizie.

Tregaron przytaknął.

- Zupełnie się z panem zgadzam.

- A do niego powinno się przywiązać tego szczurka.

- Rozumiem. Ile?

Węglarz nawet nie udawał, że nie wie, o co chodzi.

- Gwinea powinna wystarczyć.

- Gwinea? - wykrztusił Reynolds. - Za ten kawałek zardzewiałego... - Pisał, gdy mężczyzna podniósł go kilka centymetrów wyżej.

- Cicho, cicho. Na pana miejscu odzywałbym się trochę grzeczniej - poradził mu Tregaron. - Przecież to pan jest tym ślepym byczkiem. Proszę mu zapłacić - dodał ciszej. Gdy w odpowiedzi usłyszał niewyraźne skrzeczenie, zwrócił się do węglarza. - Niech go pan postawi, żeby mógł zrekompensować panu tę stratę.

Reynolds wylądowałby na swoim okrągłym zadku, gdyby w ostatniej chwili Tregaron nie złapał go za kołnierz.

- Nie mogę zapłacić - wymamrotał.

- Dlaczego?

- Nie mam gwinei.

- Och, Boże. - Tregaron przewrócił oczami. Węglarz złowieszczo postąpił krok do przodu. Do Tamizy było niedaleko, niecały kilometr. - Naprawdę nie wiem, po co się wtrącam.

Puścił Reynoldsa, który z trudem utrzymał się na nogach. Sięgnął do kieszeni po monetę.

- Proszę.

Wręczył gwineę węglarzowi, który wrócił do swojego wozu. Gapie zaczęli się rozchodzić, widząc, że przedstawienie dobiegło końca. Tregaron odwrócił się do Reynoldsa, który na próżno próbował doprowadzić się do porządku.

- Niech pan wraca do domu - mruknął markiz. Reynolds, gdy podniósł wzrok, miał na tyle honoru, by wyglądać na nieco speszzonego.

- Muszę podziękować...

- Nie trzeba. Niech pan po prostu wraca do domu.

Gdy zobaczył, że Reynolds ruszył w kierunku faetonu, zawołał:

- Na piechotę!

Potem zostawił go i wrócił do dorożki. Już miał odjeżdżać, gdy wpadł na pewien pomysł. Odwrócił się na pięcie i jeszcze raz podszedł do młodego mężczyzny.

- Tak się składa, że mam dla pana zadanie. Chcę, żeby dostarczył pan dwie wiadomości. Ufam, że tę pierwszą prośbę ubierze pan w delikatniejsze słowa niż ja w tej chwili. Chodzi o pańską drogą matkę i jej niewyparzony język...

Kilka minut później kontynuował swoją podróż. Szybko dotarł do ulicy Binney. Wsiadł z dorożki, jeszcze zanim się zatrzymała, i podbiegł do drzwi mieszkania Buchananów. Zapukał raz, drugi, ale nikt nie odpowiadał. Wydawało mu się, że czekał całą wieczność, gdy wreszcie otworzyła mu mała pokojówka. Bez słowa minął ją i wszedł do środka.

- Proszę pana! - zaprotestowała słabo.

Bądź co bądź, Tregaron był dwa razy od niej większy.

- Nie obawiaj się - rzucił ponuro przez ramię, przeskakując po dwa stopnie schodów na raz. - Niczego nie ukradnę.

Otwierał po kolei drzwi do jednego saloniku, jadalni, tylnego korytarza. Wszystkie te pomieszczenia były małe, nieco zaniedbane i całkiem puste. W końcu w jakimś pokoiku znalazł zadowolonych Buchananów siedzących przy stole nad butelką porto. Grali w warcaby.

- Lordzie.

Starszy brat wstał chwiejnie. Niechcący potracił planszę, która zjechała w dół.

- Lordzie Tregaron.

Młodszy brat, podnosząc się, przytrzymał się stołu. Plansza wróciła na swoje poprzednie miejsce. Obaj byli już nieźle podchmieleni.

- Panowie - przywitał ich Tregaron. - Proszę, usiądźcie. - Wołał nie ryzykować, by któryś z nich runął zaraz twarzą na podłogę. - Przyszedłem zobaczyć się z Catherine.

Buchananowie usiedli. Starszy z takim hukiem, że markiz poczuł, jak zadrżała podłoga.

- Dobra dziewczyna ta nasza Catey - oznajmił Ambrose. - Przyszedł pan jeszcze raz z nią spróbować?

- Ambrose! - skarcił go brat. - Proszę wybaczyć grubiaństwo mego brata, lordzie. Czasem w ogóle nie potrafi się zachować. Napije się pan? - Wskazał na butelkę, ale Tregaron podziękował. - Więc jak, przyszedł pan jeszcze raz spróbować z Cate?

- Trafne pytanie, Angusie - pochwalił go Ambrose i wstał, żeby poklepać brata po ramieniu. Angus spadłby z krzesła, gdyby pokój był większy. Na szczęście siedział tuż przy zniszczonym, ale solidnym fotelu, który powstrzymał upadek. - To co? Lepiej niech się pan pospieszy. Cate marudzi, że czas się pakować i ruszać na północ. Lucy płacze jak bóbr. A może to ty rozpaczasz, Angusie?

- To przez te kościoły - poskarżył się młodszy brat. - Co ja poradzę, że będę za nimi boleśnie tęsknił?

- Już, już. Daj spokój. A muzea... Tregaron zaczął tracić cierpliwość.

- Panowie, czy Catherine jest w domu? Angus podniósł na niego zamglony wzrok.

- Catherine tutaj? Nie wiem. A ty, Ambrose?

- Ja jestem.

- Ambrose jest.

- Tak, widzę. Dziękuję. A Catherine...?

- Catherine - powoli powtórzył Ambrose. - Becky! - ryknął z taką mocą, że pewnie słychać go było w Szkocji.

- Becky - rozjaśnił się Angus. - Becky jest, lordzie. Mała pokojówka rzeczywiście pojawiła się w pokoju.

- Próbowałam go powstrzymać - tłumaczyła się od progu - ale on jest taki duży.

- Czy Catherine jest w domu? - wrzeszczał Ambrose. Nie był zły, po prostu chciał mieć pewność, że go usłyszą.

- Nie, proszę pana - odparła służąca.

Angus kiwnął zdecydowanie głową i walnął pięścią w stół. Butelka przesunęła się kilka centymetrów w lewo.

- Widzi pan, lordzie. Catherine tu nie ma. Dziękuję, Becky. Możesz odejść.

Tregaron policzył w myślach do trzech.

- Becky. - Dziewczyna zamarła w drzwiach. - Czy wiesz, dokąd panna Buchanan poszła dziś wieczorem? A jeśli tak, to proszę powiedz mi, gdzie ją znaję.

- Tak, lordzie. U lady Leverham, lordzie.

- Dziękuję, Becky. - Tregaron ożywił się. - Panowie. - Ukłonił się na pożegnanie gospodarzom, po czym pospiesznie ruszył do wyjścia.

Cate rozejrzała się po zatłoczonej sali w poszukiwaniu ucieczki. Oszklone drzwi lśniły kusząco w świetle świec, ale dojścia do nich broniło ze dwudziestu uzbrojonych po zęby wojowników.

Kilku miało na sobie skórzane ubrania, inni zbroje. Trzymali włócznie, maczugi, miecze, kusze, a jeden z mężczyzn dzierżył łuk niemal dwa razy większy od niego samego. W gruncie rzeczy Cate nie bała się tych ludzi, ale wolą nie ryzykować przeciskania się między różnymi ostrzami i szpikulcami.

Zachwycającym towarzyszkom wojowników najwyraźniej wcale nie przeszkadzały ostre przedmioty. Wśród dam królowały jedwab, atlas i aksamit w ostrych, jaskrawych kolorach, a także sobole, gronostaje, złoto i klejnoty. Nie brakowało stożkowatych kapeluszy i innych dziwacznych nakryć głowy, a także zwiewnych szali.

W domu lady Leverham odbywało się comiesięczne spotkanie Towarzystwa Miłośników Średniowiecza.

Drobny lord Leverham miał na sobie lśniąca, sądząc po jego minie trochę niewygodną, kolczugę. U boku męża lady Leverham promieniała w czerwonej aksamitnej sukni i wysokim kapeluszu. Wiodła prym wśród gości, z których nie wszyscy przebrali się na tę okazję.

Mówca, stary profesor, od dawna nie wykładający już na uniwersytecie, całą godzinę perorował o tradycji bardów. Jego słuchacze, śmiertelnie znudzeni prelekcją, zebrali się w sali balowej.

Požerali autentyczne średniowieczne potrawy i gawędzili o minstrelach i krzyżowcach, a także debatowali, czy Jan był dobrym królem.

Cate westchnęła zrezygnowana. Miała ochotę wyjść. Była gotowa, żeby opuścić nie tylko to przyjęcie, ale i Londyn.

Wróciłyby do domu, ale wiedziała, że lady Leverham surowo zapowiedziała swojemu potężnemu -kamerdynerowi, że nie wolno mu wypuścić panny Buchanan, dopóki ona sama z nią nie porozmawia.

W dodatku Lucy świetnie się bawiła. Być może otaczało ją mniej adoratorów niż zwykle, ale trudno było się temu dziwić w zaistniałej sytuacji. W swojej eleganckiej, żółtej, jedwabnej sukni, z włosami przytrzymywanymi przez złotą siatkę i przystrojona najlepszymi klejnotami lady Leverham przyćmiewała pozostałe damy. Gdy Cate ostatnio przechodziła obok niej, rozprawiała na temat architektury gotyckiej. I jak to ona pamiętała wystarczająco dużo terminów, żeby zrobić wrażenie osoby znającej się na rzeczy.

Jednym słowem, Lucy była w siódmym niebie, lady Leverham też i Cate nie chciała im psuć zabawy. Postanowiła skryć się w jakiejś spokojniejszej części domu. Przydałoby się jej też trochę świeżego powietrza.

Trzymając się blisko ściany, prześliznęła się przez salę balową i wymknęła na zewnątrz. Lord Leverham, ulegając pasjom żony, kazał z tyłu domu wybudować wieżyczkę z nieociosanych kamieni zakończoną blankami. Jedyne piętro znajdowało się tuż pod dachem na wysokości drugiej kondygnacji rezydencji. W pomieszczeniu z jednym ogromnym oknem bez szyby stała tylko zwykła ławka.

Najwyraźniej historyczna zgodność z rzeczywistością przeważała nad wygodą. Do izby prowadziły spiralne kamienne schody. Jedyne odstępstwo od średniowiecznych realiów stanowiła żelazna poręcz ciągnąca się wzdłuż ściany.

W wieżycze było chłodno i trochę wilgotno, ale Cate musiała przyznać, że panowała tam aura spokoju i odosobnienia. W dzień widok z okna na prześliczny ogród gospodarzy oraz ogrody sąsiadów musiał zachwycać. Nocą panował tu mrok i cisza. Cate usiadła na parapecie. Odetchnęła głęboko i spróbowała oczyścić zmęczony umysł z nękających go nieustannie trosk.

- Dama w swojej wieży z kości słoniowej. Cate zacisnęła usta.

- Nie interesuję się poezją.

- Kłameczucha. Uwielbiasz Donne'a. - Lord Fremont pokonał ostatnie kilka stopni i stanął obok niej. - Naprawdę, Cate. Jak mogłaś pomyśleć, że zapomniałem?

- Wydaje mi się, że pamięta pan tylko niektóre rzeczy - odparowała. - Po co pan tu przyszedł?

- Do ciebie, oczywiście. - Spojrzał na nią i zagwizdał. - Wysoko mierzysz, kiedyś nie byłaś taka wyniosła. - Podeszedł jeszcze bliżej. Ich kolana prawie stykały się ze sobą. Cate musiała odchylić do tyłu głowę, żeby spojrzeć mu w twarz. Wcale nie wyglądał anielsko. - Na szczęście wiem, że nie jestem ci tak obojętny, jak usilnie starasz się to okazać.

Czy arogancja tego człowieka nie ma granic? pomyślała Cate. Raczej nie. Fremont w swoim egoizmie przewyższał Narcyza.

- Czy nie wystarczyło panu wysyłanie wiadomości lordowi Tregaronowi? - spytała zmęczonym tonem.

- Wiadomości? Czyżby powtórzył ci nasze rozmowy?

Interesujące. - Fremont uśmiechnął się szerzej. - Bardzo zabawne. Ciekawe, co spodziewał się przez to osiągnąć? Oczywiście ze mną i tak nie wygra.

Cate przyjrzała mu się uważnie, ale w jego oczach dostrzegła tylko próżność. Więc to jednak nie Fremont był autorem liścików.

- Czego pan chce ode mnie? - spytała.

- A jeśli chcę po prostu ciebie? Cate prychnęła.

- Nigdy mnie pan nie chciał. Zależało panu na moim cielecym oddaniu.

Powiedz mi, że mnie uwielbiasz, Catherine - namawiał ją w księżycowe noce. - Pozwól mi usłyszeć te słowa.

To wydarzyło się po dwóch tygodniach uwodzenia, recytowania poezji i wręczania kwiatów ukradzionych z ogródka gospodyni. Gdy poprosił, by wypowiedziała te słowa, spełniła jego życzenie. Polecił, by zrobiła to głośniej, i posłuchała go. Później okazało się, że chciał, by usłyszeli go koledzy ukryci w krzakach.

Uśmiechnął się szeroko, poklepał ją po głowie i pochwalił: Dobra dziewczynka.

- Cieszył się pan moim uwielbieniem przez jakiś czas - mówiła - ale ono bezpowrotnie minęło, więc niech pan będzie dobrym chłopcem i odejdzie.

Fremont zacisnął usta.

- Wcale tak nie myślisz.

-Ja...

- Nie myślisz - powtórzył i nachylił się ku niej.

Instynktownie odsunęła się od intruza i nagle zorientowała się, że jeśli jeszcze trochę się wychyli, wypadnie z okna. Krzyknęła przestraszona.

- Niech się pan odsunie - poleciła w miarę spokojnym tonem.

- Oczywiście - odpowiedział. - Jak mnie pocałujesz.

- Dlaczego?

- Dlaczego? Boże, co za głupie pytanie. Bo tego wymaga chwila.

Przysunął się bliżej. Cate wychylała się coraz bardziej. Zrobiła błąd, że spojrzała w dół. Wiedziała, że Fremont raczej nie pozwoli jej wypaść przez okno, ale na pewno był gotów jeszcze długo dręczyć ją tą niewygodną pozycją.

Gdyby go pocałowała, wygrałby. Znow wyprowadziłby ją w pole. Jeśli tego nie zrobi...

Niespodziewanie Fremont wykonał w powietrzu zgrabny piruet i po chwili twardo wylądował pod przeciwległą ścianą.

- Gdy dama prosi, żebyś się odsunął - rozległ się znajomy głos - masz słuchać, przebrzydły szcurze.

W tym samym momencie Cate poczuła, jak silne, przyjazne dłonie zabierają ją z jej niebezpiecznego miejsca na parapecie. Lekki szal zatrzepotał na wietrze. Cate poczuła, jak Tregaron przytula ją do piersi.

- Nie pytam, skąd się tu wzięłaś. Zaczynam się przyzwyczajać do znajdowania cię w nieoczekiwanych miejscach.

Serce Cate zaczęło walić jak szalone, gdy spojrzała na niego. To, co zobaczyła, wystarczyło, by przyspieszać jej puls do końca życia.

- Dlaczego tak długo? - spytała.

Przerwało im chrząknięcie z przeciwnej strony izby. Fremont powoli gramolił się na nogi. Jego elegancki krawat był przekrzywiony. W płaszczu miał sporą dziurę, przez którą prześwitywała biała koszula.

- Dla twojego własnego dobra założę, że Reynolds się z tobą nie spotkał.

Fremont zacisnął pięści i postąpił krok naprzód. Gdy jednak spojrzał markizowi w twarz, zatrzymał się i potrząsnął głową.

- Jeśli się pospieszysz - ciągnął Tregaron - może złapiesz go, zanim porozmawia z matką.

- Co mnie obchodzi jego matka? - syknął Fremont.

- Och, będzie cię obchodziła, i to bardzo, gdy zaczniesz rozpowiadać interesującą historię, którą wkrótce usłyszysz od syna. Jest w niej mowa o pewnym splukanym baronie i jego słabości do dramatów kostiumowych.

Fremont rzucił się na schody. Po kilku chwilach jego kroki ucichły.

- Co to miało znaczyć? - spytała Cate.

Tregaron potrząsnął głową.

- Mam dosyć plotkowania na dziś.

Cate nie nalegała. W gruncie rzeczy wcale nie chciała poznać odpowiedzi na to pytanie.

- Jak mnie - nas - tu znalazłeś?

- Poszedłem za nim, gdy wyszedł za tobą z przyjęcia. Wybacz, że nie zjawiłem się wcześniej. Lady Leverham nalegała, bym wziął to ze sobą.

Wskazał na podłogę tuż obok schodów. Cate roześmiała się. Leżały tam kolczuga, sztylet i mały łuk.

- Jestem zaskoczona, że udało ci się wtaszczyć je na górę.

- Twój brak wiary w moją siłę sprawia mi przykrość. - Wyrzwał przez okno. -A niech to diabli.

Niespodziewanie oparł się o nią całym ciężarem. Przestraszona Cate zauważyła, że zbladł. Nie tracąc czasu, zaprowadziła go na ławkę. Usiadł ciężko, pociągając Cate za sobą.

- Lordzie? - Wykręcała sobie palce zaniepokojona kroplami potu, które wystąpiły mu na czole. - L... Colwinie? Pójdę po pomoc.

Tregaron chwycił ją za nadgarstek.

- Nie, nie trzeba. Nic mi nie jest.

- Ale trzęsiesz się jak galareta!

- Dziękuję ci, moja droga, że nie przestajesz raczyć mnie komplementami.

- Idę po pomoc. Jesteś chory. Tregaron westchnął ciężko.

- Nie jestem chory - mruknął - tylko mam lęk wysokości.

- Słucham?

- Słyszałaś. - Zaczął powoli nabierać rumieńców i patrzeć na nią groźnie. Rozczulona Cate zapragnęła usiąść mu na kolanach. - W loży w teatrze nie mogę siedzieć przy barierce.

- Ani zbliżyć się do skraju balkonu.

- Ani zbliżyć się do skraju balkonu.

Cate pokręciła głową nad bezsensowną męską dumą.

- Dlaczego nie powiedziałeś ludziom po... Dlaczego nie wyjaśniłeś, że nie byłbyś w stanie skrzywdzić żony?

- Dlatego - padła cicha odpowiedź - że w ostatecznym rozrachunku i tak nie miało to żadnego znaczenia. Belinda była pijana tamtej nocy. Potknęła się i spadła. Sprawilem, że czuła się nieszczęśliwa. Przeze mnie nadużywała alkoholu, środków uspokajających i miewała kochanków. Równie dobrze mogłem ją zepchnąć z balkonu własnymi rękami. Albo ona mnie.

- Wcale tak nie myślisz... - zaczęła Cate, ale nie skończyła. - Wiesz, że czasem będę cię doprowadzać do apopleksji?

- Niewątpliwie.

- Może nawet gorzej.

- Na pewno. A ja będę zachwycony.

- Cieszę się. - Cate westchnęła zadowolona i potarła policzkiem o płaszcz Tregarona. - Dopiero teraz zorientowałeś się, że mnie potrzebujesz?

Mężczyzna parsknął.

- Skąd. To uczucie spadło na mnie jak bicz wieki temu. Żebym nie wiem jak się wyrywał, i tak bym się nie uwolnił.

Cate przewróciła oczami.

- Jakie to romantyczne. Tregaron przytulił ją mocniej.

- Ty mi powiedz, jak zrozumiałaś, że mnie uwielbiasz.

- Hmm. Cóż, to uczucie powoli we mnie wzbierało jak skwaśniałe mleko. W końcu wypełniło całe moje serce.

- Jakie to romantyczne. Pocałuj mnie.

Cate chętnie wykonała polecenie i zdziwiła się, że ławka nie stopiła się od żaru, który ich ogarnął.

- Lordzie? - rozległ się czyjś cichy głos. - Lordzie Tregaron?

Markiz zirytował się. Chciał całować Cate Buchanan do końca świata. Potem zamierzał obiecać jej kwiaty, małe błyszczące przedmiociki i niebo. Później pewnie znów będą się całować. Nie miał ochoty zadawać się z idiotycznie przebranymi gośćmi lady Leverham, ale wiedział, że musi być uprzejmy. Byli przecież przyjaciółmi Cate:

Odsunął się.

- Czy plotki o nas sprawiły ci dużą przykrość?

Cate zamrugła powiekami.

- Plotki? O Boże, zupełnie o nich zapomniałam. Nie było żadnych plotek, przynajmniej na razie...

- Jak to?

- To znaczy, jakieś rozmowy były, ale zupełnie bez znaczenia.

- Przecież lady Leverham... - zdziwił się Tregaron.

- Lady Leverham - zgryźliwie zauważyła Cate - jest bardzo miła, ale żyje w innym świecie. Wcale nie zauważyła, że wśród tych wszystkich bzdur, które wygaduje się o tobie, nikt nie wspomniał o mnie ani słowa. - Uśmiechnęła się szeroko. - Najwyraźniej jestem nikim. Lady Reynolds nie zna nawet mojego imienia i jedyne, co potrafiła o mnie powiedzieć, to że jestem „wysoka i niechlujna”.

- Och, Cate.

- Wcale się tym nie przejęłam. Obyś tylko ty mówił o mnie dobrze.

- Gdybyś tylko wiedziała...

- Lordzie Tregaron?

- Nasza gospodini mnie wzywa - mruknął.

Cate wcisnęła mu dłoń do kieszeni płaszcza. Tregarona rozczulił ten troskliwy gest. Zeszła z nim ze schodów. Tak jak się tego spodziewali, na dole czekała na nich lady Leverham.

- Zostawił pan broń na górze - warknęła. - Zaraz kogoś po nią pošlę.

- Przepraszam - odparł, z trudem hamując uśmiech. - Przeprowadziłem za to z wieży piękną dziewczinę.

- Widzę - przyznała gospodini. - Ona panu wystarczy. Chodźcie już. Ustawiamy się właśnie do gawota.

- Zatańczymy? - szepnął Tregaron do ucha Cate.

- Tylko jeśli zagrają walca.

- Co za kobieta! - Zapragnął chwycić ją w ramiona i tanecznym krokiem ruszyć z nią prosto do swojego pokoju. - Zabiorę cię do domu.

- Och, nie! - zaprotestowała. - Nie chciałam powiedzieć...

- Muszę pomówić z twoimi stryjami, Cate. Dziewczyna zarumieniła się zalotnie.

- Ach, to co innego.

Tregaron kątem oka dostrzegł niską postać z łukiem i strzałami. Potrząsnął z niedowierzaniem głową, gdy pomyślał, do czego może się posunąć arystokracja, żeby umilić sobie wieczór. Niewątpliwie lady Leverham kazała kilku lokajczykom przebrać się za giermków. Na szczęście nie obciążyla ich kolczugami.

Nie wszyscy jednak wymigali się od zbroi. Gdy Tregaron z Cate wymykali się z sali balowej, podbiegł do nich zdyszany lord Leverham.

- Ten list dostarczono dla pana jakieś pięć minut temu - wykrztusił, wręczając markizowi złożoną kartkę.

Tregaron podziękował.

- Cóż - oznajmił, gdy przeczytał jedyne znajdujące się w liściku zdanie. - W końcu przestali owijać w bawełnę.

- Słucham? - spytała Cate, gdy pospiesznie schodzili ze schodów. - Co tam jest napisane?

Tregaron polecił jednemu ze służących Leverhamów znaleźć dorożkę.

- Czy często wtrącasz się w prywatne sprawy innych ludzi, moja droga? - spytał ironicznie.

Cate natychmiast spuściła wzrok.

- Nie, ja... Cóż, chyba muszę ci coś powiedzieć. -Tak?

- Bo, widzisz, ja... my... O, nie! Będziesz wściekły, jak się dowiesz. Ja...

- Czy może próbujesz mi powiedzieć to?

Machnął jej kartką przed nosem. Cate wyrwała mu ją i przeczytała na głos.

- Angus i Ambrose Buchanan nie sporządzili żadnego z projektów dla twojego domu.

- Nie martw się, kochanie. - Tregaron uniósł dłoń Cate i poklepał ją uspokajająco. - Już jakiś czas temu domyśliłem się, że „Buchanan i Buchanan” to ty. O, mamy dorożkę.

- Jak? - spytała, gdy pomagał jej wsiąść do powozu. - Jak? - powtórzyła, gdy markiz podał adres woźnicy. - Jak?

- Och, Catherine. - Usadowił się obok niej. - Myślisz, że jestem taki tępy?

- Nie...

- Dobrze - mruknął. - Więc nie ma o czym mówić. Chwytał Cate w ramiona i posadził sobie na kolanach. Chciał całować ją do utraty tchu.

Jakiś czas później do domu przy ulicy Binney weszła potargana Cate z rozkosznie spiętym Tregaronem. Doprowadzili się nieco do porządku i wkroczyli do pokoju, w którym wcześniej markiz zostawił braci Buchananów.

Obaj wciąż się tam znajdowali. Siedzieli wygodnie rozparci w fotelach i zamglonym wzrokiem wpatrywali się w ogień. Na widok Cate z wysiłkiem wstali. Z trudem zachowywali równowagę.

- Panowie, zamierzam ożenić się z waszą bratanicą - oznajmił zdecydowanym tonem. - A wy przestańcie wysyłać mi te idiotyczne liściki. Jeśli chcecie mi coś powiedzieć, po prostu zróbcie to!

Epilog

Cate wyglądała przez okno. Właśnie opuszczał rezydencję ostatni z robotników.

- A więc to koniec.

Tregaron stanął tuż za żoną i objął ją w talii. Wtuliła się w niego z oddaniem.

- Dzięki Bogu - mruknął. - Już się bałem, że to nigdy nie nastąpi.

Cate poklepała go po dłoni, która spoczywała na jej biodrze.

- Ja też. Ale teraz ma pan piękny dom, lordzie Tregaron.

- Mhm. Dzięki pani, lady Tregaron. Kiedy możemy wyjeżdżać do Walii?

Cate roześmiała się. Codziennie słyszała to pytanie. Teraz gdy wszystkie ściany zostały już pomalowane, meble obite, a w ogrodzie zasadzone drzewa i krzewy, miała na nie odpowiedź.

- W Sussex nie spędzimy więcej niż dwa miesiące. Twoja babka i ja kończymy przygotowywać te projekty, które mogłam sporządzić, zanim zobaczę jej dom.

- Niech Bóg ma mnie w swojej opiece. Dwa miesiące pod dachem mojej babki wśród Granville'ów.

- Będziesz się świetnie bawił. A Gryffydd utyje.

Piesek, słysząc swoje imię, podniósł się ze słonecznego miejsca pod drugim oknem i przewrócił się na grzbiet u stóp Cate.

- Dwa miesiące - ponuro powtórzył Tregaron. - Ale potem jedziemy do Walii.

- Oczywiście. Do Yorku wyruszam dopiero wiosną.

Powiedziałam już Leverhamom, że o projekcie nowego domu dla ich syna możemy porozmawiać dopiero jesienią. Lady Leverham i Lucy pracują nad gotyckim wystrojem wewnątrz. Stryjowie też są wynajęci. Wszyscy będą mi pomagać przy innych projektach.

- Jeśli tylko sobie tego życzą - padła posępna odpowiedź.

- Życzą sobie - poważnie powiedziała Cate. - Stryjowie, zwolnieni z obowiązku udawania architektów, są dumni, że wreszcie mnie przypisuje się dokonania Buchananów. Tak, tak, wiem, że irytowały cię ich metody, ale oni nie potrafili inaczej... przejść na emeryturę. Może przesadzili z intrygami, ale są z siebie bardzo dumni. A Lucy mówi o swoich planach na przyszły sezon jedynie wtedy, gdy zapyta ją o nie lady Leverham. Wygląda na to, że zupełnie straciła zainteresowanie przyjęciami.

- Tylko dopóki Althorpe nie wróci z Bath. O ile w ogóle wróci.

- Jego ciotka zmarła - skarciła go Cate. - Powinien dopilnować podziału jej majątku.

- Teraz już jego. O ile sformalizuje swój związek z Lucy, stać go będzie na wszystkie modne fatałaszki dla niej. - Zacieśnił uścisk. - Ja natomiast będę cię trzymał od nich z daleka. Cate zadrżała.

- Ty po prostu nienawidzisz mojej garderoby. Nie zaprzeczyl.

- Jest coraz lepsza po każdej wizycie u modystki.

Za oknem rozciągał się widok na Mayfair - zniechęconą, ukochaną Mayfair. Na rogu Hanover Square stał chłopiec. Nie było go wyraźnie widać, ale słyszeć było radosną melodię, którą nucił - piosenkę o miłości i czerwonych różach.

Tregaron pocałował żonę w kark. Cate zalała fala miłości.
Odwróciła się do męża.

- Czy wiesz, jak bardzo cię uwielbiam? Uśmiechnął się szeroko i spojrzał wymownie na stojącą za nimi kanapę. Leżała na niej puszysta kapa i jedwabne poduszki. Stała między oknem a kominkiem - wymarzone miejsce do czytania... i innych rzeczy.

- Pokaż mi.

Najbardziej obecnie wzięta w Anglii pani architekt entuzjastycznie podjęła się zleconego jej przez męża zadania.

RS

Z wykazu parów Wielkiej Brytanii Debretta,

XIII wydanie, 1820

DRACO LLYWELYN ST. CLAIR-WRIGHT, Markiz Tregaron, wicehrabia Colwin; objął spuściznę po ojcu w maju 1792 roku; urodzony 27 września 1780; pierwsze małżeństwo w listopadzie 1806 roku z Belindą, jedyną córką Benjamina Wycombe'a z Lancashire, który zmarł w 1809 roku. Markiz ożenił się ponownie 12 lipca 1817 roku z Catherine, córką Alpina Buchanana ze Szkocji, z którą ma następujące potomstwo: Johna, wicehrabiego Colwina, urodzonego 1 stycznia 1819 roku...

RS